

MAX CZORNYJ

# RZEŹNIK

PRAWDZIWA HISTORIA JEDNEGO Z NAJPOTWORNIEJSZYCH SERYJNYCH  
MORDERCÓW, RZEŹNIKA Z NIEBUSZEWA

FILIA



**MAX CZORNYJ**

# **RZEŹNIK**

**FILIA**

*Ojcu,  
z wyrazami głębokiej synowskiej miłości*

*Prawda nas jeszcze zadziwi.*  
Albert Einstein

## SŁOWO OD AUTORA

Prawda miała stać się jedynie punktem wyjścia do fikcji. Planowałem napisać thriller o seryjnym mordercy wzorującym się na którejś z autentycznych postaci. Gdy jednak zacząłem zgłębiać materiały źródłowe, okazało się, że żadna fikcja nie przebije tego, co wydarzyło się w rzeczywistości.

W pierwszej chwili się zawahałem i pomyślałem, że to zły pomysł. Pewnych kwestii lepiej nie poruszać, a historię zostawić historykom. Jednak, otoczony materiałami źródłowymi, wciąż stawiałem sobie kolejne pytania. A cholernie nie lubię pytań pozostawionych bez odpowiedzi.

Dlaczego ten człowiek to zrobił? Dlaczego stał się tym, kim się stał?

W pewnym momencie zbrodnia zeszła na dalszy plan, a na pierwszy wysunęło się zwykłe życie. Bo jeśli ma się takie życie, to... Muszę w tym momencie umilknąć, aby niczego nie zdradzić.

W każdym razie starałem się wniknąć w umysł Rzeźnika z Niebuszewa; poszukiwałem procesów, które w nim zaszły, domyślałem się ich i je odtwarzałem. Wydarzenia, które rozegrały się w ciągu ćwierćwiecza, całkowicie mnie pochłonęły. Niełatwo jest wtedy spać, odpoczywać i funkcjonować. Historia ta towarzyszyła mi przez cały czas. Odwiedziłem okolice, w których bywał Cyppek, miejsca, gdzie mieszkał i gdzie przechowywał szczątki swoich ofiar. Intensywna praca z notesem, laptopem czy aktami potrafi człowieka nasączyć jak atrament bibułę. W snach odnajdowałem odpowiedź na stawiane pytania. A po przebudzeniu dochodziłem do siebie, przekonując się, że ja to ja.

A nie on.

Mimo to jedyną słuszną narracją wydała mi się narracja pierwszoosobowa. Był moment, w którym zasypiając, starałem się myśleć jak Cyppek i zmobilizować podświadomość do podsunienia mi odpowiedzi na kolejne pytania.

Czasem się udawało.

Nie silę się przy tym na działania podobne do tych, które podejmują profilerzy kryminalni. Nie znam się na tym, choć pracując nad innymi książkami, starałem się sporo o tym dowiedzieć. W przypadku tej książki chciałem napisać po prostu solidną historię. Taką, która w najwyższym stopniu będzie oparta na prawdzie.

Milicyjne notatki, łącznie z tą, którą przeczytacie poniżej, są autentyczne. Fragmenty gazet, przemówień radiowych czy ogłoszeń – również. Zeznania świadków zostały sparafrazowane i odtworzone na podstawie źródeł trzecich. Starałem się jak najlepiej oddać rzeczywistą topografię opisywanych miejsc: nazwy budynków, lokali, ulic, sposób życia i umierania.

Pisząc tę książkę, przejrzałem setki, a może tysiące zdjęć. Wszystko, aby prezentowany obraz był niemalże nagrywanym kamerą dokumentem.

Czytając, pamiętajcie, że najbardziej makabryczne lub absurdalne sceny się wydarzyły lub z wielkim prawdopodobieństwem mogły się wydarzyć. Niemożliwym jest odtworzenie wszelkich szczegółów życia zbrodniarza, jego zachowania i myśli, ale ta próba zdaje się maksymalnie zbliżyć do rzeczywistości. Przynajmniej tak mi się wydaje, choć nie napiszę, że mam taką nadzieję.

Ta książka mogłaby być dłuższa, a jej grzbiet – ładniej wyglądać na półkach księgarni, ale starałem się opierać jedynie na faktach lub najbardziej prawdopodobnych domysłach. Nie wzbogacałem jej na siłę. Nadinterpretację ograniczyłem do minimum, by zachować sedno złowieszczej rzeczywistości.

Fikcja, przynajmniej dla mnie, już nigdy nie będzie tak atrakcyjna jak dotąd. Nie po raz pierwszy prawda z łatwością ją przyćmiła.

Lublin, 2019 r.

## **Z NOTATKI MILICYJNEJ**

**W pokoju na kanapie leżały zwłoki kobiety z odciętą głową, rękami i wyciągniętymi wnętrznościami. Ręce i jedno udo przy szafie. Wnętrzności – w wiadrze pod oknem. W kuchni na zlewie, krzesłach i drzwiach czerwone plamy – część nieudolnie pościerana. Na półce przy kafłowej kuchni miska do połowy wypełniona czerwoną cieczą. Obok maszynka do mielenia mięsa ze świeżymi śladami. Na talerzach serce i wątroba ludzka. Na stole na patelni niedojedzona jajecznica z jakimś tłuszczem. Obok chleb ze smalcem, sałatka z pomidorów i kawałek surowego mięsa, chyba wołowego. Po mieszkaniu wałały się butelki po piwie i wódce.**

**\* \* \***

**Już mnie nienawidzicie? Brzydzicie się mną od samego początku? Posłuchajcie, może uda się wam mnie nawet zrozumieć. A wtedy zaskoczycie samych siebie.**

**PONIEDZIAŁEK, 3 LISTOPADA 1952 R.**  
**GODZINA: 17:19**  
**ARESZT ŚLEDczy W SZCZECINIE**  
**UL. KASZUBSKA 28 (DAWNIEJ:**  
**ELISABETHSTRASSE)**

Stracone pokolenie. Rozumiecie, jak idiotycznie to brzmi? Gdzieś slyszalem, ze wlasnie w ten sposob nazwano tego zapijaczonego pisarzynę i jemu podobnych. Albo sami się tak nazwali. Nieważne.

A kim ja niby jestem? Odmówiono mi nawet prawa do imienia i nazwiska. Józef Cyppek? To przecież ktoś zupełnie inny. Obcy. Kiedy ludzie wymawiają te dwa słowa, reaguję z opóźnieniem. Najpierw mam wrażenie, że zwracają się do kogoś obok. Dopiero po sekundzie czy dwóch przychodzi oprzytomnienie. Ty stary durniu, przecież jesteś tu sam. Tylko oni i ty. Nikt więcej. Każą ci być Józefem Cypkiem i nic z tym nie zrobisz. Już nigdy.

    Nie łudź się. Nie oszukuj.

    Bierz los takim, jaki jest.

Predestynacja – to jedno z niewielu mądrych słów ewangelickiego pastora, które pamiętam z dzieciństwa. Wszyscy jesteśmy predestynowani do śmierci. Amen.

Ale stracone pokolenie? To naprawdę sukinyńska ironia. Szczególnie gdy obok twojego imienia i nazwiska pojawia się artykuł dwieście dwudziesty piąty Kodeksu karnego. A precyzując – jego pierwszy paragraf. Krótki i konkretny.

    Kto zabija człowieka, podlega karze śmierci.

*Verlorene Generation.*

*Verlorene Generation* rządzi się swoimi prawami, więc mogą się podetrzeć tym moralizatorskim bełkotem.



Nie boję się śmierci. Czasem zdaje mi się, że miałem umrzeć już wiele razy. Razem ze wszystkim, co mnie otaczało, co kochałem i czego nienawidziłem. Śmierć towarzyszyła mi od urodzenia. Jest czymś całkowicie naturalnym i chyba już się do niej przyzwyczaiałem. Albo inaczej. Oswoiłem ją. Jeśli ktoś myśli, że nie można oswoić się ze śmiercią, niech dalej tkwi w swojej bajce. Powodzenia.

Wszystko, co przychodzi na świat, musi też z niego odejść. Kto nie dopuszcza do siebie tej myśli, jest głupi albo szalony. Skutki mają swoje przyczyny, a przyczyny niosą skutki. Proste. Prawda?

Poza tym czy w umieraniu jest coś złego?

Absolutnie nie.

Umieranie to taki sam etap życia, jak jedzenie, spanie czy seks. Jedyna różnica polega na tym, że nikt nie potrafi o nim szczegółowo opowiedzieć. Choć spotkałem wielu, którzy byli tak blisko śmierci, że już bliżej się nie da. I wiecie co? W większości wyzbywali się jakichkolwiek obaw. Tak jak pewien tłusty sierżant z mojej kompanii, któremu szrapnel rozorał bebechy. Mówię wam, widziałem, jak mu gówno przepływa w jelitach, a on z tego wyszedł. Niektórzy nazwali to cudem, lecz dla mnie to po prostu był los. Miał umrzeć nieco później, wykurowany, z ponownie zaczerwienioną gębą i pistoletem przytkniętym do skroni. Nikt nie mógł zrozumieć, dlaczego się zastrzelił.

A mnie wydawało się to całkiem proste.

W pewnym momencie przestał się bać śmierci i umierania. Otarł się o ten etap, a życie nie mogło mu zaoferować niczego ciekawszego. Z prawie setką wyciągniętych z twarzy odłamków, utraconym niemal doszczętnie wzrokiem i kawałkiem metalu zamiast szczęki – żył, ale w zasadzie był martwy. Znałem co najmniej dziesięciu podobnych do niego.

Część z nich się zabiła, a część oszalała. Przynajmniej tak to rozumiem, bo tylko szaleńcy mogą w ten sposób żyć dalej. Ludzie składaki. Zapamiętaj ich, bo staną się ważną częścią tej opowieści.

Zdychanie jest naturalną konsekwencją narodzin. To, czy po drugiej stronie śpiewają ptaszki, a niebo jest zawsze błękitne, zupełnie mnie nie obchodzi. Nie rozumiem, jak można się tym przejmować. Albo tym cholernym garem ze smołą i tańczącymi wokół diabłami. To żałosne, że ludzie się boją. Wieczne męki? Z doświadczenia wiem, że do każdego bólu

można się przyzwyczaić. Czy idąc do łóżka z piękną kobietą, przed rozpoczęciem zabawy zastanawiamy się, czy nie ma przypadkiem choroby wenerycznej? Przynajmniej ja nigdy tak nie robiłem, choć może powinienem.

Wiem też, że tylko długi ceglany korytarz dzieli mnie od miejsca, w którym wkrótce trzaśnie mi kark, a ułamek sekundy później – puszczą zwieracze. Co z tego? To już nie będzie mój problem. Konsekwencje umierania odczuwa cały świat z wyjątkiem umierającego. To mądre? Cieszyłbym się, gdyby takie było.

Trup na wojnie oznacza zmiany w ewidencji, konieczność powiadomienia rodziny, rozłamania nieśmiertelnika, upchnięcia ciała do skrzynki, skopiowania sztamkowego listu... Ale na razie – cicho! O liście jeszcze wam dokładnie opowiem i nie będzie to miła opowieść.

Po kolei.

Trup w więzieniu to, jak sądzę, jeszcze więcej formalności. Potrzeba kata, naczelnika, lekarza, dwóch ludzi do transportowania zwłok, wreszcie grabarza i masy gryzipiórków. Choć pewnie mnie pochowają w dole pod murem cmentarza i przy tym też będą mieć zawracanie dupy, bo ziemia nigdy nie jest dość miękka.

Ale to nie mój problem. Mnie drażni, że w tej norze jest tak mało światła, a ci idioci z głębi korytarza przez cały czas drą mordy. Drażni mnie nie to, że miska żarcia była tak mała, ale to, że jestem głodny. A przede wszystkim drażni mnie, że moje truchło będzie im całkiem zbędne. Nie mają nawet pojęcia, co można zrobić z tym workiem mięsa i kości.

Choć zdaje się, że to też nie będzie mój problem. A szkoda, bo na samą myśl jeszcze bardziej zgłodniałem.

Stracone pokolenie?

Bzdura.

Pokolenie takie samo, jak każde inne. Tylko czasy trafiły się nam nieco ciekawsze. I to jest właśnie predestynacja.

Żeby być kwita, zaspokoilem ich ciekawość. Bez owijania w bawełnę przyznałem się do wszystkiego, o co mnie oskarżono. Ale gdyby tylko mieli pojęcie, co naprawdę zrobiłem... Nie pozwoliliby mi tak łatwo umrzeć.

W końcu się dowiedzą.

Jestem tego pewny.

Choć wtedy będzie za późno.

**WTOREK, 22 STYCZNIA 1952 R.**  
**GODZINA: 8:31**  
**LINIA KOLEJOWA NR 351,**  
**TRASA SZCZECIN-POZNAŃ**

Monotonny stukot kół pociągu o tory usypiał. Nieważne, że dzień zaczął się już na dobre, a słońce wreszcie przebiło się przez stalową pokrywę chmur. Z każdym tygodniem ten stukot przyprawiał go o coraz większe rozdrażnienie. Rozdrażnienie, które przytępiało zmysły i zniechęcało. Albo groziło tym, że wyciągnie pistolet, a potem wystrzela wszystkich tych ludzi. Tyle że nie miał pistoletu. A ludzi wcale nie było tak dużo.

Antoni Norbert otarł przekrwione oczy. Jeszcze tylko trzy wagony i koniec. Potem zabawa zacznie się na nowo, ale już z kimś innym. Fajrant, przerwa.

Obtupał buty, poprawił płaszcz i pchnął drzwi. Wiatr wpadł razem z nim do środka obitego drewnem wagonu drugiej klasy. Kilka twarzy spojrzało na niego z milczącą pretensją. Jakby, do cholery, był im cokolwiek winien.

– Dzień dobry. – Machnął dłonią przy rogatywce.

Odpowiedziały mu jedynie niewyraźne westchnięcia. Wąsaty mężczyzna najbliżej niego nawet nie drgnął. Trzymał przed sobą najnowsze wydanie „Kurierza Szczecińskiego” i głośno pociągnął nosem. Na pierwszej stronie tłuste litery informowały, że w drodze z sesji ONZ minister spraw zagranicznych ZSRR Wyszyński przybył do Warszawy, a ludność stolicy zgotowała mu gorące i serdeczne przyjęcie. Nieco mniejszy nagłówek opiewał barkę nr 2425, która najlepiej wykonała plan przewozów na Odrze. W gazecie domagano się również, aby interesy narodu były stawiane ponad interesy obcego imperializmu.

– Bilet proszę.

Wąsacz strząsnął gazetę i odłożył ją na kolana.

– Taka pogoda, że odechciało się ludziom podróżować... – Wyciągnął

z kieszeni kartonik i podał go konduktorowi. – Przynajmniej człowiek ma trochę miejsca.

Siedzący obok staruszek niecierpliwie zaciskał zylastą dłoń na swoim bilecie.

– Spokojnie. Jeszcze się podosiadają. A zważ pan, że po drodze mało kto wysiada.

– Pewnie tak. A może wcale nie...

Norbert oddał kartonik i przesunął się wzdłuż rzędu siedzeń.

– Podobno mają zlikwidować dyrekcje generalne i utworzyć Ministerstwo Kolei. – Wąsacz uderzył palcem w gazetę. – Słyszał pan o tym? Zmiana goni zmianę.

Konduktor wzruszył ramionami. Nic go to nie obchodziło. I wolał o tym nie rozmawiać.

– Dla mnie to bez różnicy – mruknął, nie odrywając wzroku od kolejnego biletu. – Dziękuję.

– Mnie tylko szkoda wolnego na trzeciego maja.

– A w zamian nic nie będzie?

– Na razie chyba nic – westchnęła skulona w dalszym rzędzie brunetka. Siedziała obrócona kolanami do środka wagonu, a na długich udach trzymała kosz z płóciennymi zawiniątkami. Zaszlachtowane kurczaki? Jajka? – Pożyjemy, zobaczymy.

Norbert poprawił torbę i oparł deskę biletową o oparcie wolnego fotela. Ból stawów był coraz dokuczliwszy. Zimą wzmógł się znacząco i wszystko wskazywało, że już tak zostanie.

– Coś się znajdzie. Pomalutku wszystko się prostuje. Dwa wagony temu miałem całą grupę Fryców na walizkach.

– Zakaz mieszania obywatelstw, co? Możesz być Polakiem lub Niemcem, nie ma trzeciej drogi.

– Wreszcie pogonią te cholerne przechery. Ani oni nam tu potrzebni, ani my im. Na siłę lepiej nikogo dłużej nie trzymać.

– Dłużej? – Do wymiany zdań ponownie przyłączył się wąsacz. Wierzchem dłoni potarł podbródek i znowu pociągnął nosem.

– Byli i tacy. Chwilę po wojnie nie uświadczyłby pan na tej trasie ani jednego polskiego kolejarza. Dopóki nie ściągnęli ludzi ze wschodu, w okolicy był tylko Niemiec na Niemcu.



– Niemiec na Niemcu. – Staruszek zarechotał.

Brunetka spojrzała na jego plecy ganiącym wzrokiem.

Norbert oddał jej bilet i skinął głową. Całe szczęście, pogoda, choć wykrzywiała stawy, odstraszyła podróżnych. Przynajmniej tych, którzy nie mieli absolutnej potrzeby odbywania ponad dwustukilometrowej i prawie sześciogodzinnej wycieczki.

– Do widzenia. Życzę dobrej drogi.

– Przepraszam, proszę powiedzieć, czy będzie opóźnienie?

Pytanie pryszczatego nastolatka w podartym zielonym płaszczu jak zwykle go rozjuszyło. A skąd, do diabła, miał wiedzieć? Tory mogły zostać zasypane, mogły zamarznąć i popękać, poprzedzający ich pociąg mógł mieć awarię albo pijany konduktor nie włączy świateł i w zawierusze przywałą w ostatni wagon.

– Na razie wszystko przebiega zgodnie z rozkładem – odparł, siląc się na uśmiech. Co innego miałby powiedzieć?

Opuścił deskę biletową i minął ostatni rząd siedzeń. Sięgnął do rygla, ale w tym samym momencie zauważył, że zawiasy blokuje skórzana torba. Chciał ją przesunąć nogą, lecz okazała się zbyt ciężka. Odwrócił się i głośno chrząknął.

– Czyj to bagaż?

Brunetka oraz siedzący po drugiej stronie krościaty chłopak wzruszyli ramionami. Ludzie z przodu wagonu nawet nie zerknęli w jego stronę. Wąsacz znowu pilnie studiował gazetę, a staruszek opierał głowę o szybę. Być może zasnął. Starzy ludzie mają zdolność zasypiania w ułamku sekundy i w największym gwarze. Zupełnie jak dzieci.

Norbert nachylił się i delikatnie pchnął torbę. Aby ją wygodnie przesunąć, odszukał jej rączkę. Sfatygowana, opięta mosiężnymi nitami konstrukcja groziła rozpadnięciem się przy mocniejszym szarpnięciu. Tylko cudem ten bagaż znalazł się w pociągu w całości.

Minimalnie uniósł pakunek. Nim zdążył zareagować, zatrask się rozpiął, a zawartość rozsypała po podłodze wagonu.

– O kurwa – zaklął Norbert, czując, jak uginają się pod nim nogi.

**CZWARTEK, 18 STYCZNIA 1945 R.**  
**GODZINA: 19:58**  
**OŁAWA (A WŁAŚCIWIE JESZCZE OHLAU)**

– Joseph Zyppeck. Zgadza się?

Skinąłem głową. Po dwudziestu godzinach marszu, przerwanych jedynie krótką drzemką, nie ma się ochoty rozmawiać. Szczególnie gdy w to, co zostało ci z kolana jednej nogi, wbija się łożysko marnej protezy. Ból przypomina próbę rozniecenia ognia dwoma kawałkami drewna. Jeden z nich to kikut napiętej na kości skóry i resztek mięśnia.

– Proszę za mną.

Wysoka brunetka odwróciła się do mnie plecami. Była ubrana w jasny, gruby płaszcz, którego poły omiotły drewniane stopnie. Ruszyła w dół, ku piwnicy. Za oknem zrobiło się już całkiem ciemno, ale z daleka dobiegały krzyki. Tysiące uciekających z Opolą przed czerwonoarmiejcami ludzi szukało w okolicy schronienia.

– Nasz przyjaciel nic nie wspominał o dzieciaku – powiedziała, brzęcząc kluczami.

– Przypałał się – wyjaśniłem jak najlakońiczniej. – Rozłączył się z rodzicami na dworcu kolejowym.

– Nie on jedyny. Świata pan nie zbawisz.

Nie miałem pojęcia, czy mówi to z wyrzutem, czy po prostu stwierdza fakt. Rzeczywiście, wcześniej nie mogłem uprzedzić jej o tym, że będzie mi towarzyszył dziesięcioletni chłopiec. Nie wiedzieć czemu, przyczepił się właśnie do mnie i przez pół popołudnia błagał, żebym pomógł mu znaleźć rodziców. Jeżeli szli w moją stronę, mogłem mu się przydać. Ale przypuszczałem, że udało im się wsiąść do pociągu i ruszyć w głąb Rzeszy. Życie było ważniejsze od jednego z wielu dzieci. Po dwóch dniach spędzonych na stacji szanse połączenia się tej rodziny uznałbym za zerowe. Po trzech – wręcz za ujemne.

Zeszliśmy na dół, do murowanej piwnicy. Cuchnęło w niej wilgocią i potem. Na gołej podłodze jak pluskwy gnieździło się kilkanaście osób. Głównie kobiety, starcy i dzieci. Byłem chyba jedynym mężczyzną, który wyglądał na zdolnego do taszczenia karabinu, i chyba właśnie to spowodowało niechętnie spojrzenia. Mimo to nikt się nie odezwał. W pomieszczeniu panowała absolutna cisza.

Rzuciłem tobolek na ziemię i skinąłem na chłopca, by usiadł. Jestem pewny, że przez chwilę lustrował twarze wszystkich osób w nadziei, że jakimś cudem trafi na swoich rodziców. Oczywiście, cuda się nie zdarzały. Nadzieja, jak to często bywa, zamieniła się w ponure rozczarowanie. Przeżycie mnóstwa rozczarowań to predestynacja każdego z nas. Nie pamiętam, od kogo usłyszałem te słowa, ale ten ktoś miał całkowitą rację. Stawiałbym na pastora z moich dziecięcych czasów.

– Macie co jeść?

W świetle lampy naftowej po raz pierwszy zwróciłem uwagę na twarz kobiety. Miała duże oczy, prosty nos i mocne kości policzkowe. Równie dobrze mogła być po trzydziestce, jak i o dziesięć lat starsza.

– Mamy – odparłem, opierając się o ścianę. Proteza coraz mocniej dawała mi w kość. Zupełnie dosłownie.

– Dobrze. W rogu stoi wiadro z rozpuszczonym śniegiem. Lepsze to niż nic.

– Dziękuję.

Brunetka delikatnie się uśmiechnęła. Przez chwilę staliśmy naprzeciw siebie i milczeliśmy. Wreszcie zacisnęła usta, odwróciła się i skierowała w stronę schodów.

– Powodzenia – westchnęła, stając na stopniu.

W tamtych czasach była to forma bardziej adekwatna od banalnego „dobranoc”.

– Powodzenia – rzuciłem i zdjąłem płaszcz.

Usiadłem na podłodze przy Eryku i nas okryłem. Czułem, że chłopiec cały dygocze z zimna, ale nie mogłem zrobić nic więcej.

Staruszka, zwinięta w kłębek metr od moich stóp, zaczęła się głośno modlić. Przełamała misterium ciszy. Mimowolnie powtarzałem za nią w myślach słowa *Unser Vater*. Chłopiec zapewne robił to samo. Gdy kobieta umilkła, odwrócił się w moją stronę i złapał mnie za ramię.

– Jutro znajdziemy moich rodziców? – zapytał głosem równie rozedrganym jak jego ciało.

W jego błękitnych oczach widziałem strach i determinację.

– Jutro, pojutrze albo za kilka dni. Nie martw się.

– Gdzie oni mogą być?

– Nie wiem.

– Może gdzieś niedaleko? Nie mogą być zbyt daleko, prawda?

„«Zbyt daleko» to ładny eufemizm” – pomyślałem, ale zachowałem to dla siebie. Oparłem się plecami o zimny mur i rozprostowałem nogi. Jeśli jutro miałem dokądkolwiek iść, powinienem jak najszybciej ściągnąć protezę. Jednocześnie stały monotony ból był lepszy od piekielnego palenia, które towarzyszyło jej rozpinaniu i zakładaniu. Kwestia wyboru. Albo priorytetów.

– Lepiej już śpij – mruknąłem, rozmasowując udo. – Jeżeli mamy ich szukać, musimy odpocząć.

Eryk posłusznie skinął głową i naciągnął skrawek płaszcza na policzek. Widziałem, że przy nosie ścieka mu łza, ale płakał zupełnie bezgłośnie. Tak samo jak wszyscy w tej obskurnej norze.

Jutro też będzie dzień.

Tyle że nikt już nie miał żadnej nadziei. Nawet on.

## **PIĘĆ, MOŻE SZEŚĆ GODZIN PÓŹNIEJ, W TYM SAMYM MIEJSCU**

Poczułem delikatne łaskotanie w policzek. Przez chwilę nie wiedziałem, gdzie jestem ani – co się dzieje. Zatrzepotałem powiekami, nabrałem powietrza i chciałem głośno ziewnąć, ale czyjś palec dotknął moich warg. Poderwałem się jak oparzony. Wyobraźcie sobie, jak podrywa się zaspany kaleka bez połowy nogi. Albo dajcie sobie spokój. To żałosne.

W pomieszczeniu panował półmrok. W świetle dogasającego ogarka spłynęła na mnie świadomość. Lampy naftowe zagaszono, a wokół wręcz pulsowała martwa cisza. Jedynie gdzieś z daleka, zza przesłony grubych murów i dziesiątek kilometrów dobiegał głuchy pomruk. Artyleryjska kanonada znowu miała towarzyszyć moim snom. Z dnia na dzień głośniejsza, a jednak ciągle nierealna. Rzesza miała być przecież tysiącletnia i niezwyciężona. Tyle że wtedy wierzyli w to już chyba tylko szaleńcy.

– Nie obudź go. – Ostry szept brunetki sprawił, że byłem już całkiem przytomny.

Kątem oka zauważyłem, że Eryk śpi oparty o moje biodro, niemal całkowicie zakryty płaszczem. Nie zbudziło go nawet to nieudolne poderwanie się. Słyszałem świst jego oddechu. Odruchowo chciałem pogłaskać go po głowie, lecz się powstrzymałem.

W piwnicy temperatura musiała spaść poniżej zera, a moja jedyna stopa doszczętnie skostniała. Na zewnątrz pewnie był tęgi mróz.

– Co się stało? – Przestraszyłem się zgrzytu swojego wyrwanego z senności głosu.

– Ciszej! – Brunetka niemal przyłożyła mi wargi do ucha. – Masz pieniądze?

– Ale pani...

– Helga. Choć mówią też Margharita. I tak, doskonale wiem, że nie



chciałam pieniędzy...

– Mogę zapłacić – wydukałem, starając się naprężyć mięśnie. Miałem wrażenie, że do nosa ktoś przyłożył mi garść śniegu. Poruszyłem schowanymi w kieszeniach palcami i uprzytomniłem sobie, że w całym swoim wybrakowaniu jestem w zasadzie nietknięty. – Chcę tu przesiedzieć chociaż do czwartej rano, potem... – Wyciągnąłem starego, kolejarskiego roskopfa i nachyliłem go w stronę światła. – To niecałe trzy godziny, chyba że...

Margharita zacisnęła dłoń na moim nadgarstku. Czułem, że Eryk się poruszył, ale chyba nadal spał. Przynajmniej się nie odezwał, co w jego przypadku nie było niczym nadzwyczajnym. Jednak również nie drżał, a to o wiele bardziej zwracało uwagę. Zanim zasnął, przez godzinę telepał się, jakby razili go prądem. Pamiętam chłopców, którzy telepali się tak jak on przed trzydziestu laty. Ale to temat na całkiem inną opowieść.

– Mam możliwość ucieczki do Szczecina. To pilne. Ale bezpieczne.

Wydawało mi się, że się przesłyszałem. Przez sekundkę lub dwie analizowałem słowa brunetki. Nie odnalazłem jednak żadnych, które mógłbym podstawić w ich miejsce. Tym bardziej, że kobieta zaraz dodała:

– Mogę cię zabrać ze sobą.

Kolejny szyfr. Kolejny żart albo kpina. A może to tylko mi się śniło.

– Rosjanie będą tu za parę dni. Zostawanie w tej okolicy nie ma żadnego sensu, a...

Ktoś w głębi pomieszczenia głośno odchrząknął. Margharita zamilkła, ale następne chrząknięcie było już znacznie bardziej podobne do chrapania.

– Myślałem o tym, żeby kierować się do Wrocławia – szepnąłem, odwracając się w jej stronę. – Mam listy polecające...

– Wrocław szykuje się do obrony totalnej. Nie słyszałeś o tym? Miasto nie ma prawa się poddać, choćby zostało kupą gruzów. A dla trupów listy polecające niewiele znaczą.

– Wrocławia nie da się zdobyć. Hitler ogłosił, że...

– Hitler zaszył się jak szczur w Berlinie!

To zdanie wypowiedziała jeszcze ciszej, a zarazem odniosłem wrażenie, że je wykrzykuje. Nie miałem pojęcia, dlaczego oferowała mi pomoc. Byłem jedną z mnóstwa osób, które stłoczyły się w piwnicy jej dawnego burdelu. To wszystko, co o niej wiedziałem. Sądziłem, że Margharita vel Helga wie

o mnie jeszcze mniej. W tamtych czasach męski ochroniarz bywał przydatny i tylko tak umiałem to sobie wytłumaczyć. Tyle że na jakiego ochroniarza nadawał się kuternoga?

Życie jest pełne zbiegów okoliczności, ale czasem pochopnie podjęte decyzje wychodzą na nam na dobre. Nie miałem nic do stracenia. Zostawiałem wszystko za sobą.

– No dobrze. – Zsunąłem płaszcz i chwyciłem się dłońmi za kikut. – Ile to będzie kosztowało?

– Potrzebuję pięćdziesięciu marek.

– Teraz?

Skinęła głową.

– Kiedy wyjeżdżamy? – zapytałem, poprawiając protezę. – Jestem gotowy. Muszę tylko obudzić chłopaka.

– Chwila. Powiedziałam, że mogę zabrać ze sobą ciebie. – Brunetka wymownie spojrzała na zwiniętego pod moim płaszczem Eryka. – Bachor zostaje.

Dwa dni wcześniej bez jednej łzy pochowałem pamięć o własnym synu, a teraz było mi dziwnie żal zostawić niemal całkiem obcego dzieciaka. Zarazem byłem pewny, że ktoś się nim zaopiekuje.

I wmówiłem sobie, że na pewno zrobi to lepiej ode mnie.

A już na pewno od tej kurewki w za dużym płaszczu i lśniących butach.

**PONIEDZIAŁEK, 11 CZERWCA 1945 R.**  
**GODZINA: 11:02**  
**STETTIN (JUŻ ZA ROK: SZCZECIN)**

– Józef Cyppek – wymówiłem, akcentując imię i nazwisko po polsku. Oboma językami posługiwałem się równie dobrze. Zawdzięczałem to swoim rodzicom i dwunarodowemu środowisku, w którym się wychowałem. Woląłem myśleć po niemiecku, ale... – Józef Cyppek...

Tymczasowe zaświadczenie tożsamości. Dwukartkowy rdzawobrazowy dokument z moim zdjęciem określał wszystko na nowo. Ot tak stałem się Polakiem. Odkąd się okazało, że wprawdzie brak nogi jest przeszkodą do służby frontowej, ale wykształcenie i para rąk przydadzą się do roboty na miejscu, droga do Niemiec nieoczekiwanie się przede mną zamknęła. Nie mogłem uciec.

– Zrób pan miejsce!

Spocony, dyszący grubas odepchnął mnie od stolika. Jeszcze raz zerknąłem na zaświadczenie i skierowałem się do wyjścia. Musiałem się przedrzeć wśród skłębionego tłumu Rosjan, Polaków i Niemców. Jak spod ziemi pojawili się również Żydzi. Zaskakujące, że tak szybko udało się im podnieść głowy.

Wyszedłem na zalaną słońcem ulicę. Od paru dni było upalnie i sucho. Delikatny wiatr niósł pył zniszczenia, który wciskał się do oczu, nosa i ust. Razem z nim włókł się odór rozkładających się w ruinach zwłok. Poza niepogrzebanymi ofiarami wojny setki ludzi każdego dnia padało z głodu wprost na ulicach. Czasem leżeli oni przez wiele godzin, omijani przez tłumy przechodniów zajętych walką o własne przetrwanie. Czekali, aż trafią na przeładowany dwukołowy wózek na trupy, a potem – do bezimiennego grobu.

Wózków i wózkowych było jednak zbyt mało. Słowo daję, że zwłoki widziało się częściej niż skrawek zieleni. Gdyby chcieć sprzątać je na

bieżąc, kilkaset osób musiałoby zasuwać bez chwili przerwy i każdą ręką pchać po co najmniej dwa takie wózki.

Jeżeli Wrocław miał przypominać morze ruin, to Szczecin musiał być największym z jezior. Wzdłuż głównych alei nie została się ani jedna nienaruszona kamienica. Szkielety domów szczyrzyły się w uśmiechach bezokiennych fasad, za którymi czekały zagruzowane podwórza. Ruiny ciągnęły się kilometrami. Aby je obejść, trzeba było kluczyć w tunelach potrzaskanych budynków. Wędrówka przypominała wspinaczkę po skalistym szlaku, co rusz trzeba było się wspinać na wysokość pierwszego lub drugiego piętra. Mijało się ogołoczone mieszkania, wdychało zapach trupów i szło się dalej. Serce biło szybciej jedynie wtedy, gdy na cudem ocalałym skrzydle bramy wisiała tabliczka z wielkim napisem „TYFUS”. Wtedy przyspieszało się kroku, byle dalej od kolejnego niebezpieczeństwa. Życie naprawdę polegało na nieustannej ucieczce. I ograniczaniu rzeczy, które mogły cię zabić.

Obszedłem przewrócony do góry nogami wrak samochodu i ruszyłem dalej. Gruz chrząścił mi pod stopami, a do spoconego ciała przywierał pył.

Ścisnąłem w dłoni świstek papieru, który nadał mi nowe imię. Bezustannie powtarzałem je w myślach. Narodowość polska, wpisana w jednej z głównych rubryk, mogła się przydać. Równie dobrze mogła też zaszkodzić, gdyby się okazało, że Stettin jednak pozostanie Stettinem. Nie warto było się nad tym zastanawiać.

– Józef Cyppek – wymówiłem pod nosem.

Nad bezkresem zgliszcz niczym zacumowany statek przeżyły się szczątki bazyliki. Resztką konstrukcji dachowej przypominała przedzę rozpiętą na maszynie tkackiej. Wieża, osmolona i zdruzgotana, zdawała się niebezpiecznie pochylać. Jak samotny maszt. Mimowolnie wybrałem dłuższą drogę, ale nieprzecinającą jej upiornego cienia.

Słynna kamienica Loitzów posępnie sterczała wśród gruzów. Gdzieś z pobliskich zgliszcz dobiegły krzyki, a potem histeryczny płacz. Słyszałem to już wcześniej, znałem przebieg procesu, który wieńczy cisza lub potulne chlipanie. Środek wypełnia pijacki śmiech, dyszenie i groźby.

Nigdy nie zapomnę obrazów sprzed paru miesięcy, kiedy na drodze mojej i Helgi pojawiły się pierwsze zagony Rosjan. To, co się działo podczas spotkania uciekających ze Śląska cywilów z radzieckimi żołdatami, można

nazwać jedynie rzezią. Hekatombą i rzezią. Nic dziwnego, że władze dopuściły prawo do aborcji poczętych z gwałtu młodych kacapów. Bolszewickie bydłeta nie oszczędziły nawet zakonnice z klasztoru obok mojego rodzinnego domu. Zabawili się również z osiemdziesięcioletnią przeoryszą.

Powojenny Szczecin nie okazał się dużo lepszym miejscem do życia. Trudno było rozróżnić bandy złodziei od czerwonoarmijnych dezertów, niedobitków mitycznego Werwolfu i ludzi szabrujących w poszukiwaniu chleba. Po mieście jak książęta panoszyli się żołnierze zbrodniczej sześćdziesiątej piątej armii, a na wysokich politycznych szczeblach trwała przepychanka o władzę nad miastem miasta. Przed paroma dniami gruchnęła wieść, że Szczecin ostatecznie dostanie się Polsce. Wszechwładny marszałek Żukow miał zaaprobować to stanowisko.

Józef Cyppek. Może to jednak było dobre wyjście.

Dziewczęcy krzyk się powtórzył, a po chwili zagłuszyły go dzikie wrzaski. Takie dźwięki mogły wydawać tylko zwierzęta.

Nie wiem, dlaczego pomyślałem wtedy o małym Eryku, o jego rodzicach i o tym, jak zostawiłem go w lodowatej piwnicy. Ta myśl niespodziewanie dodała mi sił. Nieraz kierowały mną impulsy, których nie mógłbym opisać, lecz wtedy zachowałem się naprawdę irracjonalnie.

Ruszyłem prosto ku wejściu do kamienicy. Jej konstrukcja zdawała się nienaruszona i raczej nie ryzykowałem, że zostanę pogrzebany żywcem. Ludzie mieszkali w zupełnych ruinach, choć poza centrum znajdowały się ocalałe mieszkania. Ale to właśnie przy nich czatowały zagony rosyjskich bandytów, szukających okazji do gwałtu. Pojedyncze ich grupki nie miały dość odwagi, by zapuszczać się w odmęty gruzów, ale niezniszczone kamienice kusiły spokojem. Paradoks? To, co się działo w tamtych czasach, było pieprzonym pasmem paradoksów.

Zmrużyłem oczy, chcąc przyzwyczaić wzrok do półmroku. Światło wpadało tylko przez pękniętą ścianę i dwa małe okienka.

Krzyk i płacz dobiegały zza załomu muru. Przyciągały mnie.

Gdy przeszedłem przez wyrwane z framugi drzwi, zobaczyłem trzech Rosjan szarpiących się z młodziutką dziewczyną. Mogła mieć dwanaście, może trzynaście lat. Miała rozerwaną kraciastą koszulę i podartą spódniczkę, a czerwonoarmiści rzucali ją jak piłką. Odpychali ją od siebie,



coraz bardziej rozdzierając jej ubranie. Zataczali się ze śmiechu.

Na mój widok jeden z nich wyprostował się i skinął pozostałym głową.

– Zostawcie ją, do cholery! – Postąpiłem krok w ich stronę. Nie wiedziałem, co robię i skąd się pojawił ten przyływ odwagi. – Paszli won! To córka pułkownika!

Wpatrywali się we mnie osłupiali. Pewnie wyłapali jedynie pojedyncze słowa, a resztę sobie dopowiedzieli. Przez chwilę panowała cisza. Dziewczynka wstydliwie zasłoniła piersi i cofnęła się w moją stronę. Przełknąłem ślinę zmieszaną z kurzem.

– Chodź tu – odezwałem się do niej. – Nie bój się.

Jeden z żołnierzy zaśmiał się nerwowo.

– A wy? – zapytał.

– A ja? – odparłem, chwytając dziewczynkę za rękę. – Pułkownik.

Czym prędzej wyszedłem na zewnątrz. Musiałem uskoczyć przed furmanką pełną ludzi i tobołków. Poczulem na sobie pełne pretensji spojrzenia i zdałem sobie sprawę, że wciąż trzymam półnagie dziecko za rękę. Jeszcze raz popatrzyłem na dziewczynkę. Miała sięgające ramion mysie włosy i ciemne oczy. Nie była ładna. Nie pociągała mnie, a jednak poczułem przyjemny dreszcz.

Przez chwilę zwlekałem, nim wypuściłem z uścisku jej rączkę.

**CZWARTEK, 8 LISTOPADA 1951 R.**  
**GODZINA: 9:51**  
**ŻELECHOWA (NIEM. ZÜLLCHOW)**  
**OLEJARNIA ŻELECHOWSKA**

– Proszę tylko popatrzeć i to sobie wyobrazić. Pierwotnie były tu trzy części fabryki. Silos, spichlerz i hala produkcyjna.

– Domyślam się, że silos to tamta sterta gruzu?

– Niestety tak. Na przełomie czterdziestego czwartego i czterdziestego piątego okolicę kilkukrotnie bombardowano. Jak widać, całkiem celnie.

– A ten budynek?

Wysoki, szczupły mężczyzna o zapadniętej twarzy kościotrupa wskazał na ceglana, kilkupiętrową konstrukcję. Po jej drugiej stronie znajdowały się zrujnowana fasada, nadpalone rusztowanie i kilkudziesięciometrowy komin. Większość zalegających okolicę gruzów już usunięto lub ułożono w wysokie kopce. Nic nie mogło się zmarnować.

– To właśnie jest sedno. – Drugi z mężczyzn się uśmiechnął. Poprawił kapelusz, osłaniając twarz od wiatru. – Żelbetowy strop wytrzymał. Wyleciały okna, popękało kilka ścian, ale całość trzyma się kupy. Wystarczy trochę pracy i wszystko wróci do stanu pierwotnego. Piękna wizja, prawda?

– Ilu robotników tu pracowało?

– To nie ma znaczenia. Na samym początku można zatrudnić co najmniej sto osób. Docelowo mogłoby pracować cztery albo pięć razy tyle. I to tylko przy samej produkcji, nie mówiąc o całej otoczce...

– Co się stało ze sprzętem?

– Sam pan wie. – Mężczyzna wciąż się uśmiechał. – Część zabrali Fryce, część wywieziono do Związku Radzieckiego, ale głównych urządzeń nie można było rozmontować. Zaraz wszystko pokażę, ale proszę tylko uświadomić sobie nasz położenie. Do bocznic kolejowej mamy ledwie

trzysta metrów. Po drugiej stronie jest już brzeg Odry. Gdyby zrobić mały punkt transportowy...

– Olej rzepakowy na cały kraj?

– A czemu by nie dalej? Na Wschodzie, jeśli produkcja się rozkręci, zaczną go pić jak wodę. Wyrobimy normy, a centralę zawsze łatwiej uspokoić, gdy...

Drugi z mężczyzn ponownie mu przerwał.

– Niech pan da spokój z centralą. Najpierw musimy sobie poradzić tutaj, na własnym podwórku. Mam bat nad głową, a przewodniczący pyta, co z tym terenem. Rozumie pan? Łeb mi ukreć, jeżeli to zabałaganie.

Mężczyzna w kapeluszu wrzucił ramionami. Położył dłoń na plecach towarzysza i delikatnie pchnął go w stronę wejścia do hali. Ominęli zardzewiałą płytę, na której zaległa deszczówka w kolorze krwi i przeszli wzdłuż muru. Trzech stojących z tyłu mężczyzn wymieniło zakłopotane spojrzenia, ale się nie poruszyli. Wszyscy bez słowa postanowili zostać na zewnątrz.

– To bezpieczne? – Chudzielec powiódł wzrokiem po spękanych betonowych słupach i pokrytej gruzem posadzce. – Wygląda, jakby się miało zaraz rozsypać.

– Proszę się nie martwić. Dwa miesiące temu całość na wszystkie strony obadali wojskowi technicy. Żaden z istotnych elementów konstrukcji nie został uszkodzony, a szkielet budynku przypomina konstrukcję bunkra. Skoro nie zniszczyły go bombardowania...

– Tak, domyślam się. Nie zniszczy go też echo naszych kroków.

– Jakby czytał mi pan w myślach.

Wymienili spojrzenia, po czym chudzielec prężnym krokiem wszedł do środka. Przez pozbawione szyb okna wpadało dużo światła i wysokie pomieszczenie wydawało się większe niż w rzeczywistości. Kawałki potłuczonego szkła zachręściły pod jego butami.

Mężczyźni, rozglądając się, minęli prowadzące na piętro schody i skierowali się ku bocznemu wyjściu. W pomieszczeniu nie zostały żadne drzwi, a z obniżającego się stropu sterczały rzędy prętów zbrojeniowych. Niektóre z nich były pogięte (czasem niemal zapętlone), a jeszcze inne – połamane.

– Nie jestem przekonany. To pobojuwisko.

– Mieszkańcom na pewno by się to spodobało. – Mężczyzna w kapeluszu wymownie zakaszłał. – Wystarczyło ogrodzić katedrę, dać mglisty plan odbudowy i wszyscy są zadowoleni. A tu... Sam pan widzi.

– Fabryka to nie katedra.

– Zależy jak na to patrzeć. Tam dają zbawienie duszy, a my tu damy zbawienie ciała. Zakład pracy z niezłymi zarobkami, stołówką, pomieszczeniem do wypoczynku. Co sobie pan tylko wymarzy.

– Wie pan, ile będzie kosztowało urządzenie tej hali?

– A kogo to obchodzi? Mnie? Raczej nie. Pana chyba też nie powinno.

– Jednak...

Chudzielec urwał w pół zdania i przytknął dłoń do nosa. Zmrużył oczy i rozejrzał się wokół. W pomieszczeniu, do którego weszli, znajdowały się tylko dwa łukowate okna. Jedno z nich do połowy zakrywała drewniana tablica, i przez to było tu znacznie ciemniej niż w poprzednich pomieszczeniach.

– Co tu tak, do diabła, cuchnie? Są tu jeszcze jakieś chemikalia? Czy to padnięte szczury?

– Nie wydaje mi się. Prędzej...

Mężczyzna w kapeluszu stanął jak wryty. Krew momentalnie odpłynęła z jego i tak bladej twarzy. Zatoczył się, bezskutecznie szukając jakiegokolwiek podparcia.

Zwymiotował.

**PONIEDZIAŁEK, 11 CZERWCA 1945 R.**

**GODZINA: 14:31**

**SIEDZIBA PREZYDIUM MIEJSKIEJ  
RADY NARODOWEJ W SZCZECINIE  
PL. FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO  
(OBECNIE: PL. ARMII KRAJOWEJ)**

– Mają to dyskutować nawet na MRN-ie!

– Obywatelu przewodniczący...

– Tak mi się nasuwa, dzień po rocznicy rewolucji... Czy jakimś przypadkiem nie można by połączyć tych faktów?

– Co macie na myśli?

– To, że jakiś gnój może robić tu przedstawienie polityczne. Jeżeli ludzie cokolwiek skojarzą... – Przewodniczący nerwowo otarł wysokie czoło. Nad jego pełnymi ustami zebrała się rosa potu. – Nie macie nawet pojęcia, jak kurewsko źle to może wyglądać.

– Nie ustaliliśmy jeszcze tożsamości zmarłych. Może to zwykłe lumpy i nie ma potrzeby się martwić.

– Może.

– Nie powinniśmy...

– Towarzyszu kapitanie, spójrzcie jeszcze raz.

Przewodniczący rzucił kilka zdjęć na dębowy blat biurka. Mimo wysiłków fotografa w ciemnym wnętrzu nie udało się zachować ostrości. Jednak i tak fotografie były wystarczająco wymowne. Na pełnej gruzów betonowej posadzce, w odległości niespełna metra od siebie, leżały dwa ciała. Właściwie – fragmenty dwóch okaleczonych ciał. Jedno było ubrane w jasną, podartą koszulę, a drugie było nagie i ociekało krwią. Były to męskie, może jeszcze nastoletnie korpusy z rozłożonymi na boki, również poranionymi rękoma. Oba pozbawione głów i nóg. Brak śladów na posadzce



mógł świadczyć o tym, że zabójstwa dokonano gdzieś indziej, a część zwłok później przetransportowano do budynku olejarni.

Mundurowy potarł dłonią delikatny wąsik. Jego pociągła twarz nie zdradzała żadnych emocji. Głęboko wciągnął powietrze, rozciągając nozdrza szpiczastego nosa.

– Moim zdaniem to nie jest sprawa dla Urzędu – mruknął i się wyprostował. – Nie ma się o co martwić.

– Mimo wszystko będę potrzebował notatki, że takie jest wasze stanowisko.

– Dla świętego spokoju oddeleguję kogoś do nadzoru. Choć dla mnie to po prostu podwójne zabójstwo, w którym nie doszukiwałbym się podtekstów. Kolejny zboczeniec...

Przewodniczący podniósł się z fotela i sięgnął do szuflady. Po chwili postawił na biurku kryształową popielniczkę, obok której wylądowała pełna papierośnica.

– Zapalicie?

– Nie. Dziękuję.

– Mam nadzieję, że...

Kapitan niedbale machnął ręką.

– Proszę sobie nie przeszkadzać.

Przewodniczący przygryzł papierosa i go odpalił. Przez chwilę trzymał dym w ustach. Wreszcie gęsty, dławiący obłoczek poszybował po gabinecie.

– Ja naprawdę wszystko rozumiem – wycedził. – Mamy jeden z najwyższych poziomów przestępczości w kraju, winą za co niezmiennie obarczam obcy element i nad czym głęboko ubolewam. Jednak, do kurwy nędzy, nie mówimy o gwałcie. Nie mówimy nawet o trupie z wybebeszonymi flakami i pustym portfelem obok.

– I tylko dlatego więzecie to z działalnością partii?

– Sam nie wiem.

– Doszukiwanie się podtekstów i znaczenia terminów to z pewnością strzelanie na ślepo. Tym bardziej naciągane, gdy weźmiemy pod uwagę szacunki, że ofiary zginęły co najmniej przed dwoma dniami. Być może nawet przed trzema lub czterema. Jutro mamy wiedzieć więcej.

– Czyli jednak się tym interesowaliście?

Kapitan uśmiechnął się zdawkowo.

– Zawsze jestem przygotowany. Nawet nie macie pojęcia, kiedy czujne oko aparatu bezpieczeństwa na was patrzy.

– Skoro tak... – Przewodniczący strzepnął popiół i spojrział za okno. – W takim razie będziemy mieli pierwszego tak popieprzonego mordercę w bloku socjalistycznym.

– To przytyk?

– Raczej fakt, obywatelu kapitanie.

Mundurowy splótł dłonie na piersi. Przez chwilę bacznie obserwował przewodniczącego, którego twarz wciąż nie zdradzała żadnej emocji. Wypchnięta do przodu klatka piersiowa falowała w spokojnym oddechu.

– O tym akurat nikt się nie może dowiedzieć – powiedział wreszcie. – Nie można nawet snuć podobnych domysłów. – Przewodniczący dogasił papierosa i odsunął popielniczkę. Przyglądał węzeł krawata. – A jeśli wziąć pod uwagę część kobiecego korpusu i stopy znalezione w styczniu w pociągu... – Z satysfakcją odnotował drgnięcie warg rozmówcy. – Wtedy nie rozmawialiśmy o tym osobiście, ale mam świadomość, że wiadomo wam o sprawie.

– Dobrze radzę, nie zgłębiajcie tego tematu. – Kapitan odruchowo potarł wąsik. – W żadnym razie informacje o tych zabójstwach nie mogą trafić do prasy. Musicie pomówić z kim trzeba, żeby nikt się z tym nie rozpędził.

– Oczywiście.

– I wcale nie chodzi o pierwszego popieprzonego mordercę. Raczej o to, że ludzie zaraz dorobiliby sobie jakieś teorie. A powiem wam, że niedawno ledwo uniknęliśmy rozruchów.

– Przeciw Niemcom?

Kapitan powoli ruszył w stronę wyjścia.

– To zawsze dobry wróg. Prawda?

**PONIEDZIAŁEK, 11 CZERWCA 1945 R.**  
**GODZINA: 11:55**  
**CIĄGLE JESZCZE STETTIN**

Dziewczynka nie została przy mnie jak Eryk. Nawet nie chciała. Popędziła sobie tylko znaną drogą wśród gruzów. Przez chwilę patrzyłem za nią i widziałem jej falujące mysie włosy, zaraz jednak znikła wśród szczątków kamienic. Dla mnie – na zawsze.

Jeszcze raz pomyślałem o jej drżącej ciepłej ręczce, przyspieszonym oddechu i spłoszonym spojrzeniu, które z jednej strony szukało we mnie ratunku, a z drugiej... Z drugiej było w nim coś, co sprawiło, że poczułem się naprawdę dobrze. Przez ułamek sekundy byłem dla niej wszystkim. Mogłem jej pomóc, ale mogłem się też okazać współnikiem jej oprawców. Nietrudno wyobrazić sobie grę, w której naga dziewczynka robi za piłkę, a zabawiający się odgrywiają swoje role. Życie jest jak film, ale o tym wam jeszcze opowiem.

A jednak...

Z zamyślenia wyrwało mnie lekkie szturchnięcie w bok. Przez ostatnie sekundy, a może nawet minuty, tkwiłem wpatrzony w załom osmolonego muru, za którym zniknęła dziewczynka. Byłem w transie. Gwałtowne przebudzenie wywołało nieprzyjemny uścisk w żołądku i chwilową dezorientację. Podobne przestoje umysłu zdarzały mi się już wcześniej.

Wokół stali Rosjanie. Otaczali mnie jak wataha wilków, polująca na nieuważną zwierzynę. Jeden z nich, najpewniej trzymający się na nogach, zadał mi szybkie pytanie. Nie chciałem ani go rozumieć, ani znaleźć na nie odpowiedzi. Moje spojrzenie wciąż przyciągał osmalony załom muru.

Ponownie zadanemu pytaniu towarzyszyło jeszcze mocniejsze uderzenie kolbą karabinu w bok. Wzruszyłem ramionami. Czulem zupełną obojętność.

Kilka osób, pchających pełną gratów dwukółkę, przyspieszyło. Trzech

młodzików w nowiusieńkich milicyjnych mundurach robiło wszystko, żeby udać zainteresowanie gruzowiskiem po przeciwnej stronie ulicy. Pokazywali coś sobie, nerwowo się przy tym uśmiechając.

Następnego pytania nie było. Zastąpił je silny sierpowy, który rozorał mi wargę i naruszył zęby.

– Pijana suka.

Zatoczyłem się, ale nie upadłem. Przed drugim ciosem udało mi się żałośnie uskoczyć, co i tak okazało się złym pomysłem. Zamiast pięści w ruch poszły metalowe stopki kolb mosinów. Ból szybko mnie otrzeźwił. Zapomniałem o osmalonym murze i cały wysiłek skupiłem na próbie przeżycia. Instykt nie oczekiwał niczego więcej.

Rzemienny pasek się przesunął i straciłem szansę ustania na sztucznym kulusie. Bezwładnie upadłem, a mózg dał automatyczny sygnał do zwinięcia się na boku.

Kopniaki i kolby raz po raz lądowały na moich przedramionach. Ciężkie buty odbijały się na żebrach, odbierając mi dech. Pył w ustach spajała już nie ślina, lecz krew, zmieszana z ostrymi fragmentami zębów i kawałkiem przygryzionego policzka. Dosłownie jakbym jadł podłą potrawkę z własnego ciała.

Obróciłem się na brzuch i skuliłem, chowając głowę. Celny cios w kark momentalnie rozluźnił mi mięśnie. Zwymiotowałem pod siebie ostatnim marnym posiłkiem i straciłem przytomność.

\* \* \*

Tak to już jest, że naszym życiem kieruje ślepy los. Gdy wszedłem do opuszczonej kamienicy, nie odczuwałem strachu, jakbym wykonywał jakiś z góry nakreślony plan. Oczywiście – nakreślony nie przeze mnie. Ja się pod niczym nie podpisywałem, a najchętniej na takie plany zdecydowanie bym się wypiął.

Przed ciosami Rosjan nie się broniłem, przekonany, że to nic nie da. Zaczekałem na nich. Mogłem przecież zniknąć tak samo, jak myszowłosa dziewczynka, ale coś kazało mi tkwić w miejscu.

Osmalony mur? Chwilowe poczucie wszechmocy, którego ucieleśnieniem była drżąca dłoń dziecka schowana w mojej spoconej łapie?

Ocknięciu się towarzyszył potworny ból każdego ścięgna. Miałem wrażenie, że moje ciało zamieniło się w sploty miażdżonych w imadle nerwów. Paskudna sprawa. Naprawdę kurewsko paskudna.

Najpierw myślałem, że oślepiłem na prawe oko, kiedy jednak wyczułem wielką śliwę w miejscu powieki, poczułem się lepiej. Człowiek bez nogi i oka to już połowiczny kaleka. Dotąd byłem niesprawny tylko w jednej ósmej. Nie pamiętam, jakie meandry matematyki doprowadziły mnie do tego wniosku, ale jedna ósma to nie tak wiele.

– Jezus Maria!

Przerażony okrzyk przywołał mnie do rzeczywistości.

– On żyje.

– Żyje...

– Zatrzymaj się, człowieku! Stój!

Jeszcze raz z trudem zamrugałem lewym okiem. Wydawało mi się, że nad prawą połową twarzy nie mam żadnej kontroli. Przez chwilę kontury były rozmyte, ale powoli nabierały ostrości. Było mi zimno i miałem wrażenie, że moje kończyny oblepił całun zimnej krwi. Poruszyłem palcami.

Obiekt przede mną zaczął nabierać kształtów. Zmysły podpowiedziały, że przed chwilą byłem w ruchu, ale nagle gwałtownie się zatrzymałem.

– Czy ty w ogóle patrzysz, co robisz? – Ostre pytanie zakołatało mi w mózgu.

Wtedy poczułem, że ktoś odchyła mi głowę i nagle ostrość widzenia całkowicie wróciła do normy. Dwadzieścia, może trzydzieści centymetrów od mojej twarzy spoczywała rozdęta głowa trupa, z wybałuszonymi, mętnymi oczami, obrzmiałymi wargami i pierwszymi oznakami zgnilizny. Była oprószona jasnym pyłem. Wyróżniał ją zaś jeden szczegół. Góra czaszki – tam, gdzie powinna biec linia włosów – została odłupana. Kość przypominała sterczące z murów blanki. Oczywiście, nie zasłaniały one krwawej, zmiażdżonej pozostałości mózgu.

– Szlag...

Gwałtownie poruszyłem kończynami i udało mi się przewrócić na bok. Ktoś pomógł mi stoczyć się wprost na bruk. Przytomniejąc, zdałem sobie sprawę, że właśnie wleczono mnie na wózku pełnym trupów, które miały być pochowane w jednym z setek anonimowych dołów.

Tym razem miałem fart.

Albo po prostu właśnie tak miało być.

\* \* \*

Dwie godziny później, kuśtykając, maszerowałem w stronę Odry. Myśl o obranym kierunku bębniła mi w głowie. Jakimś cudem proteza była cała i nie musiałem się czołgać. Kiedyś, w nieco innych okolicznościach, pewien gnojek nazwał mnie pełzającym robakiem, a ja poczułem się jeszcze gorzej. Pełzający robak jest przynajmniej nadal robakiem, a ja byłem cholernym wybrakowanym wrakiem człowieka. Ale o tym jeszcze opowiem.

Na szczęście adrenalina dała mi nowe pokłady sił. Ból mięśni zelżał, a wszystkie kości wydawały się poobijane, lecz całe. Spodziewałem się, że następnego dnia będę wyglądał jak dojrzała, popękana śliwka.

Nie pamiętam, czy ktoś mi pomógł, czy w jakimś amoku na oślepiecie uciekłem od trupiego wozu. Świadomość odzyskałem, klucząc wśród rozsypanych kamienic w dzielnicy, której nie znałem pewnie nawet za jej dobrych czasów. O ile jakikolwiek fragment Szczecina znałem z dobrych czasów.

Otumaniony, w morzu ruin czułem się jak żeglarz na nieznanym wodach. Szedłem na wschód, przekonany, że w końcu dojdę do Odry. To był mój cały plan.

W tamtych warunkach łatwiej było zaplanować marsz na wschód niż go wykonać. Dwa razy obchodziłem całkowicie zniszczone kwartały, w których dziesiątki ludzi z łopatami starało się zaprowadzić porządek. Jeżeli we współczesnych czasach coś można było przyrównać do mitycznego sprzątnięcia stajen Augiasza, to właśnie odgruzowywanie miasta. Choć może było mu bliżej do syzyfowych prac?

Zawsze lubiłem mitologię. Jeszcze coś niecoś pamiętałem z katorżniczych tyrad profesora Muellera. Gdyby żył, miałby już ze sto lat. Gdzie był? A może: gdzie został pochowany? Gdzie podzieli się Eryk i jego rodzice? Gdzie uciekła dziewczynka?

Gdzie jest mój syn?

– Gdzie jest mój syn? – wyszeptałem, upewniając się, że wciąż mogę mówić.

Pokrzepiony dźwiękiem własnego głosu, minąłem ostatnią linię zgliszczy

i się zatrzymałem. Moim oczom ukazała się rozległa przestrzeń. Panorama zrównanego z ziemią drugiego brzegu rzeki, pełna wraków i śmieci Odra, a bliżej, niemal u moich stóp, ogromne koczowisko na terenie Hakenterasse[1]. Na tym dawnym pasie zieleni pomiędzy trasą nadodrzańską i skarpą kilka tysięcy osób tłoczyło się jak bydło. W większości byli to ludzie bez pracy, bez pieniędzy i ze znikomą nadzieją na przydział jedzenia.

Razem z Margharitą gnieździiliśmy się w jednym z podziurawionych, płóciennych namiotów. Nie mieliśmy co ze sobą począć. Poszukiwaliśmy dawnych kontaktów, staraliśmy się nawiązać nowe znajomości, a przede wszystkim robiliśmy wszystko, by przetrwać. Z połowy bochenka chleba powstawała namiastka zupy dla kilkudziesięciu osób, z kilku ziaren zboża – wywar robiący dobrze na żołądek. Tak dobrze, że kolejne doły kloaczne zapełniały się w dyzenteryjnym tempie.

Od pewnego czasu krążyły plotki o przydziałach na opuszczone mieszkania, ale ciągle nie było pewne, czy miasto pozostanie niemieckie, czy trafi ostatecznie w polskie ręce. Jeszcze przed kilkoma dniami nie brałbym pod uwagę tej drugiej możliwości. Teraz jednak wszystko było inaczej.

Wśród cuchnącego kłębowiska zrezygnowanych dorosłych, rozwrzeszczanych dzieci i dogorywających chorych nikt nie zwrócił uwagi na mój stan. Doskonale zlałem się z tłumem, przenikając ludzkie mrowie jak wszechobecny odór śmierci. Ze wszystkimi ranami i siniakami pasowałem tam lepiej niż zwykły, wyglancowany pięćdziesięciolatek z idealnie wypolerowaną protezą nogi.

W końcu dostrzegłem nasz otwarty na przestrzał, wietrzący się namiot. Margharita rozmawiała przed nim z kręłą blondynką. Widziałem, że dostrzegła mnie kątem oka. W pierwszej chwili nie zareagowała, zapewne nie rozpoznała znajomych rysów. Dopiero gdy podszedłem bliżej, jej oczy zrobiły się wielkie, jakby w kontraście do moich zapuchniętych ślipi.

– Joseph... Na Boga! Co ci się stało?

– Józef – mruknąłem pod nosem. – Od dzisiaj nazywam się Józef Cyppek.

– Co takiego?

– Nie waż się do mnie mówić inaczej.

[\[1\]](#) Obecnie Wały Chrobrego – przyp. aut.



## SZCZECIN

Powiecie, że wojna to żadne usprawiedliwienie. Że takich jak ja były miliony i posłusznie stopili się w jednolitą masę zwaną narodem. Ale czy ja się usprawiedliwiam? Przyznałem się do tego, co zrobiłem, ale nie okazałem skruchy. Nie powiedziałem, że gnębi mnie poczucie winy. Gdy sędzia ogłaszał wyrok, stałem wyprostowany, a w kącikach ust czaił mi się uśmiech. Przecież to zwykła farsa.

Los pisany każdemu.

Kino.

Osobiście brałem udział w tym szaleńczym spektaklu.

Z miasteczka namiotowego udało nam się wyrwać po kilku miesiącach. Nieco wcześniej dostałem robotę ślusarza w zajezdni tramwajowej w dawnej Braunsfelde. Tyle że Braunsfelde słynęło z elegancji, willowego charakteru i wyższych sfer. Razem ze zmianą nazwy dzielnicy na Pogodno zmienił się również status. A może była to sprawka wojny, a ja winę zrzucałem kompletnie nie na to, co trzeba?

Margharicie udało się odnowić część znajomości. Poza tym nawiązała kontakt z kilkoma pracownikami z Opola. Skuszone wizją zarobku, posłusznie ściągnęły do Szczecina. Przynajmniej te, które dostały odpowiednie pozwolenia.

Rokowania dla biznesu były dobre, liczba ludzi gotowych płacić za seks wzrastała, a liczba gwałtów systematycznie spadała. Te dwa czynniki zdawały się być kluczowe. Po fali głodu i rozpaczcy wszystko się cywilizowało. Powoli, ale stabilnie. Ku chwale nowej władzy i rzeczywistości.

W listopadzie czterdziestego piątego rozpoczęto akcję przydzielania mieszkań. Na pierwszy ogień poszli wykwalifikowani robotnicy. W większości rozlokowywano ich w klitkach, w których gnieździł się po dwóch lub trzech w pokojach niewiele większych od służbówki. Może ze

względu na moje pochodzenie, a może wcale nie dlatego, ja musiałem czekać.

W tym czasie pojawiła się wieść, że w kolejnej transzy lokale dostaną rodziny robotnicze. Przyjezdne, gotowe do działania na rzecz przyszłości miasta i rokujące równie dobrze jak biznes sutenerski. Ale czy ja wtedy w ogóle rokowałem?

Przez kilka dni byłem się z myślami. Margharitę traktowałem jak przygodę, odskocznię od szarości świata, a przy okazji oparcie w otaczającym nas chaosie. Poza tym byłem jej wdzięczny. Choć nie musiałem, regularnie dawałem jej część swojej wypłaty. Domyślałem się, że na własnych interesach może zarabiać więcej ode mnie, ale taka forma odwzajemnienia wydawała mi się naturalna.

Seks uprawialiśmy sporadycznie. Oboje traktowaliśmy go jako sposób na rozładowanie emocji. Najzwyklejszy akt czysto fizyczny. Przypuszczam, że Margharita taką manierę wyniosła przez lata doświadczeń, a ja robiłem wszystko, aby nie myśleć o żonie. Odcięta przy zbliżeniu psychika zamienia nas w wygłodniałe zwierzęta.

Poza tym Margharita wciąż miała naprawdę ładne ciało i dość powodzenia, by przyciągać do siebie innych mężczyzn. Czasem jej płacili, czasem oddawała się im za pewne przysługi, a mnie to wcale nie przeszkadzało. Dopóki jej dłoń chowała się w mojej, kiedy tylko chciałem, dlaczego miałbym się przejmować? Byłem ważniejszy od tej tłuszczy, która się do niej mizdrzyła.

Tamtego jesiennego dnia wróciłem do domu później. Po drodze trafiłem do najpodlejszego szynku, jaki tylko znalazłem w okolicy, obaliłem kilka kielonów i, lekko się zataczając, poczłapałem w stronę Odry. Było zimno, a niedawno uprzątnięte ulice tonęły w błocie. Breja sięgała mi prawie do kostek.

Mimo to szedłem jak zaczarowany. Pewnie kojarzycie typ człowieka ze szpicrutką, który z rękoma założonymi z tyłu, podbródkiem wysuniętym do przodu i zmarszczonym czołem szoruje przed siebie. Nie miałem ani szpicrutki, ani wysuniętego podbródka, ale maszerowałem podobnie. Tyle że utykając na jedną nogę.

Kiedy wreszcie, zataczając się, padłem przed Margharitą, zabrakło mi języka w gębie. Przez chwilę gryzłem wargę, w końcu objąłem jej pulchne

kolana i podniosłem głowę.

– Wyjdiesz za mnie? – zapytałem głosem niewiele głośniejszym od szeptu.

– Zwariowałeś? Chcesz się ożenić z dziwką?

Skinałem głową. Właśnie tego chciałem.

Układałem sobie życie na nowo.

**PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R.**  
**GODZINA: 10:08**  
**SĄD WOJEWÓDZKI W SZCZECINIE**  
**UL. KASZUBSKA 42**  
**Z ZEZNAŃ JÓZEFA JAROSZA**

Proszę sądu, moja żona prawie każdego dnia po pracy spotykała się z Zofią. Tak, właśnie, Zofią Szeptycką. To była jej najlepsza przyjaciółka. Znały się od lat. Przez pewien czas pracowały razem w PGR-ze Szczecin Gumieńce i były bardzo zżyte. Zofia nieraz opiekowała się naszą małą, kiedy musieliśmy ją na chwilę zostawić. Każdy wie, jak to jest...

Tamtego dnia, z tego, co pamiętam, też były umówione z Irką. Ja za to wróciłem z pracy około wpół do siódmej wieczorem. Może wcześniej? Zaczynało się już robić ciemno i byłem zmęczony, ale natychmiast zorientowałem się, że coś jest nie tak. Drzwi do mieszkania były otwarte, a w środku nie było nikogo. Irka zawsze czekała na mnie z obiadem. To jest... przepraszam, to była dobra kobieta i nigdy nie zdarzyło się, żeby przegapiła mój powrót z roboty.

Mój Boże, nigdy.

Zaniepokojony, obszedłem całe mieszkanie. Kiedy minąłem sypialnię, zdałem sobie sprawę, że nasze łóżko jest obdarte z pościeli. Nie było ani pierzyny, ani koca, nawet stare prześcieradło zniknęło. Najpierw pomyślałem, że może coś się stało dziecku, że może mała jest chora albo wymiotowała i trzeba było posprzątać... Już kiedyś tak się zdarzyło. Była chorowita, ale zajmowaliśmy się nią jak mogliśmy. Żyły sobie wypruwałem.

W każdym razie chciałem sprawdzić, która godzina, i wtedy

zauważyłem, że mój zegarek zniknął. Zawsze zostawiałem go na szafce przy łóżku, bo bałem się, że w pracy mógłbym go uszkodzić. To był prezent od żony na naszą rocznicę ślubu i bardzo o niego dbałem. Pozłacana pobieda z białym cyferblatem oraz małym sekundnikiem, ale nie wiem, ile mogła być warta. Dla mnie, proszę sądu, była najcenniejsza.

Dopiero wtedy naprawdę zrozumiałem, że stało się coś złego. Wyszedłem przed kamienicę i spotkałem sąsiadkę, Halinę Radzewiczównę. Od niej dowiedziałem się, że razem z Zofią już szukały Ireny, nawet wołały za nią po okolicy. Co było robić? Postanowiłem jak najszybciej udać się na komisariat. Nie miałem daleko, ale sądzę, że pojawiłem się tam dopiero przed ósmą. Posterunkowy spisał raport, odebrał ode mnie zawiadomienie o zaginięciu i zgodził się wysłać do nas patrol. Musieliśmy chwilę poczekać, bo część milicjantów była w terenie, a większość już skończyła pracę. Chyba ściągał kogoś z innej komendy.

Kiedy przyjechaliśmy na miejsce, milicjanci obeszli nasze mieszkanie i kazali mi się rozejrzeć, czy nie zginęło nic więcej. Nie byłem w stanie niczego powiedzieć na pewno. Chciałem, żebyśmy rozpoczęli poszukiwania Ireny, ale zauważyłem, że w szafie nie ma mojego garnituru. Nie zginęło chyba już nic poza tym. Tak mi się zdaje.

Zrobiło się już późno i wszyscy zaczęli się spieszyć. Przed kamienicę wyszli niektórzy mieszkańcy, a milicjanci zaczęli ich rozpytywać. Zdaje się, że najpierw długo rozmawiali z Zofią, ale nie jestem już pewny. To było przed paroma dniami, ale ja naprawdę niewiele pamiętam...

Milicjanci odnotowali, że wśród mieszkańców brakuje Józefa Cypka. On mieszka pod numerem trzecim, na parterze. Nie znamy się szczególnie dobrze, ale utrzymywaliśmy relacje, jak to sąsiedzi. Zdaje się, że nigdy za mną nie przepadał i bywał nerwowy. Urządzał czasem straszne libacje, które trwały do rana. Irena go nie lubiła, choć pewnie mu tego nie okazała. Kilkukrotnie przychodził do nas: a to po mąkę, a to po kilka kromek chleba – i nigdy mu nie odmówiła. Mnie to denerwowało, lecz ona zawsze

uwazała, że ludziom trzeba pomagać. Tak jej odplacono...

Drzwi do mieszkania Cyppka były zamknięte, ale ktoś powiedział, że niedawno widział go przed budynkiem Nowej Gwardii. Tak, chodzi mi o kino Nowa Gwardia.

Wiem, że często tam chodzi i utrzymywał nawet relację z jedną z bileterek. Podobno ta wpuszczała go za darmo. Oczywiście, nie wiem tego na pewno i...

Rozumiem, to nieistotne.

Mieliśmy zaczekać, aż wróci, bo sądziliśmy, że może on coś widział albo że może spotkał moją żonę... Przepraszam. Proszę o chwilę... Jeszcze raz przepraszam.

*Tu sąd zarządza pięć minut przerwy.*

*Zeznanie podjęto zgodnie z zarządzeniem.*

Mówiłem o Józefie Cyppku. Kiedy czekaliśmy, aż wróci, policjanci stali akurat pod jego oknem. Dołączyłem do nich, bo chciałem o coś zapytać i nie miałem co ze sobą zrobić. Była już prawie dziesiąta, a ostatni seans powinien się już skończyć. Jeden z milicjantów poświecił latarką w głąb mieszkania i wtedy zobaczyłem... Czy muszę to opisywać?

Na środku pokoju leżała gruba pierzyna. Taka sama jak ta, którą mieliśmy z Ireną. Znajdowały się na niej ciemne ślady, ale w tym świetle nie mogliśmy stwierdzić, czy to była krew. W ogóle rozglądaliśmy się, przytykaliśmy ręce do szyb, lecz nic więcej nie było widać. Większość wnętrza zasłaniała gruba zasłona, lekko odchylona właśnie na jednym z rogów. Mimo tego już wtedy nie miałem wątpliwości. Wiedziałem, że nigdy nie zobaczę mojej żony żywej i że nasza córka właśnie została pólsierotą. Straciłem chyba na kilka sekund przytomność, ale jeden z milicjantów zaraz mnie ocucił. Ktoś dał mi kubek z wodą.

Nie wiem skąd, proszę sądu – po prostu to wiedziałem. Gdy serce pęka, nie da się tego po prostu przełknąć.

Muszę jeszcze raz poprosić o chwilę przerwy.

Po prostu muszę.

**Błagam o przerwę.**

**SOBOTA, 9 MARCA 1946 R.**

**GODZINA: 17:01**

**UL. WAWRZYNIAKA**

W dniu naszego ślubu szalała zawierucha. Śnieg mieszał się z deszczem, a niebo przybrało odcień trupiej skóry. Było matowe, szare, z ciemniejszymi przebarwieniami, jakby gdzieś z drugiej strony wszechświata zaczęły się już zbierać krwawe wybroczyny. Czy to coś przepowiadało? Nie mam pojęcia, ale zabawnie pomyśleć, że wszystko jest z góry zapisane. Predestynacja, chyba już o niej wspominałem.

Ceremonia była krótka i niezbyt tłumna. Właściwie mógłbym się założyć, że zaniżyliśmy wszelkie statystyki frekwencji. Margharicie towarzyszyły Pola i Ewa, choć nigdy nie dowiedziałem się, czy to ich prawdziwe imiona. Z mojej strony pojawił się pewien problem. W zajezdni nie poznałem nikogo wartego przyjaźni czy choćby zażyłości. Z dawnego życia nie pozostał mi nikt bliski. Skończyło się na tym, że świadkował mi człowiek, z którym zamieniłem więcej zdań o tramwajach i śrubkach niż o babach. Przesądni pewnie uznaliby, że to nie mogło dobrze rokować. Dla mnie był to kolejny nieistotny szczegół, który zginął w chwilę po złożeniu przysięgi.

Przed urzędnikiem Marghrita na moment znów stała się Helgą. Nie lubiłem tego imienia, choć chyba powinno być inaczej. Powinienem raczej cenić jej niewinność, prawdziwą twarz z życia, które wiodła, zanim zajęła się tym, co robiła do dzisiaj.

Nic bardziej mylnego.

Podniecała mnie ta poza rozpusty, wolności, a zarazem – władzy. Posiadłem ją fizycznie, psychika nie potrzebowała niczego więcej. Dopadłem swoją ofiarę. Dałem jej nazwisko i słowo.

To, że właśnie ja posiadałem ją jako żonę, utwierdzało mnie w przekonaniu wyższości. To ja, a nie ktoś inny, dostawałem ją na wyłączność. To mnie oddała się jak nikomu. Byłem lepszy od tej sfory psów,



która, skomląc, starała się wprosić w jej łaski. Im mogła zawsze odmówić. Mnie już nigdy.

Jakkolwiek by to wyglądało, byłem naprawdę szczęśliwy.

Co więcej, dwa dni przed ślubem przydzielono nam pokój na Wawrzyniaka. Klitka na pierwszym piętrze, lecz nie można było narzekać. Do zajezdni miałem pół godziny spacerkiem, w pobliżu znajdowały się nawet klub i kilka barów. Pobliski zakonny dom opieki zarekwirowano na potrzeby radzieckiego szpitala wojskowego, co, wbrew pozorom, powinno gwarantować bezpieczeństwo. Z góry wam powiem, że to tylko część prawdy.

Poza tym wszystko było lepsze od mieszkania pod podziurawionym płóciennym namiotem. Wtedy nie wiedziałem, że nasze kości miały nam już nigdy nie wybaczyć tak spędzonej ostatniej zimy. Każdy skutek ma swoją przyczynę. To prawda tycząca się całego ładu świata. Przede wszystkim porządku narodzin i śmierci.

Tak więc, świeżo po ślubie, jeszcze nie zdążyliśmy na dobre się urządzić. Najważniejszymi meblami były: dębowy stół, który ustawiłem na środku, i cztery krzesła. Stół to podstawa domu, jak mawiał mój ojciec. Poza tym komplet prezentował się naprawdę ładnie. Na naszym weselu pojawiły się na nim dwie flaszki: wódka i rozcieńczony spirytus – kolejne czekały w kuchni. Margaritha przygotowała kanapki, misę smalcu oraz zupę, która przypominała wodniste rzygowiny. Nie zamierzałem jednak wybrzydzać. Obyło się bez wystawnych uczt, ale tyle musiało wystarczyć.

Po zaspokojeniu pierwszego pragnienia Pola przysunęła się do mnie.

– Teraz, gdy jesteś już mężem mojej przyjaciółki, możemy chyba szczerzej pogadać – szepnęła zalotnie. W jej zawodzie modelowanie głosu wchodziło w krew.

– Chyba.

– To nie jest odpowiedź.

– O czym mielibyśmy gadać?

Ewa poklepała dłoń mojej żony i przysunęła się z drugiej strony.

– Pokaż nam swoją protezę. Zawsze byliśmy jej ciekawe.

Spojrzałem na Margharitę. Nie szukałem w niej aprobaty, ale znaku, że jej przyjaciółki nie stroją sobie ze mnie idiotycznych żartów. Zdawało się, że nie. Moja świeżo upieczona żona delikatnie skinęła głową. Wypiliśmy

następną kolejkę, a ja bezpruderyjnie ściągnąłem spodnie. Skoro chciały patrzeć, niech patrzają. Poza momentem, gdy nazwano mnie pełzającym robakiem, nigdy nie wstydzilem się swojego kalectwa. Wręcz przeciwnie. Byłem z niego dumny.

Podciągnąłem rzemyki i obróciłem się bokiem. Moje ciało wokół skórzanej nakładki było napięte i lśniące. Nieregularna blizna odcinała się bladością od przekrwionej górnej części uda. Fragment pozostałości po szwie oplatał kikut.

– Wygląda męsko! – pisnęła Pola.

– Prawda? – zgodziła się Margharita. – Zawsze tak uważałam. A ten cep się jej wstydzi.

Ewa przyklasnęła i dołączyła do ich aplauzu. Obszedłem dumnie stolik, po czym nalałem wszystkim wódki. Trąciliśmy się, wznosząc jakiś banalny toast.

– Słyszałem, że w Ravensbrück Niemcy eksperymentowali na więźniach. – Alkohol rozwiązał mi język. – Pewien doktor prowadził badania nad możliwością przeszczepienia nogi od innego człowieka.

– Udało mu się?

– Podobno tak. Włącznie z tym, że przyczepiał je niektórym pacjentom na odwrót. – Roześmiałem się na samą myśl. Procenty dodatkowo pobudzały moją wyobraźnię i nie mogłem się powstrzymać. Tymczasem Ewa i Pola wymieniły jedynie zakłopotane spojrzenia. – Rozumiecie? – Brnąłem dalej w ten świat absurdu. – Zmajstrował człowieka, który mógł chodzić tyłem do przodu!

Ponownie poderwałem się z krzesła i, podpierając się o blat stołu, przeszedłem pokracznie przez pokój. Gdybym był minimalnie bardziej pijany, zapewne właśnie obróciłbym protezę o sto osiemdziesiąt stopni. Zatrzymałem się na swoich spodniach i się ukloniłem.

– Darujcie mu. – Margharita niedbale machnęła ręką. – Czasami zachowuje się jak dziecko.

– Zabawny.

– Kochany.

Wykonałem kolejny piruet i się potknąłem. Zahaczyłem o nogawkę spodni, machnąłem rękoma, wreszcie ciężko grzmotnąłem na podłogę i, wciąż rechocząc, oparłem się o ścianę. Było mi duszno. Rozpiąłem

kołnierzyk koszuli, ale wiedziałem, że duszność nie ma nic wspólnego z temperaturą. Napadała mnie czasem, gdy zaczynałem myśleć o niewłaściwych sprawach. Gdy zaczynałem wspominać.

Jedna z dziewczyn, wstając, pociągnęła obrus i na ziemię spadła pusta butelka, która rozbiła się z głośnym brzęknięciem, ale nikt nie zwrócił na to uwagi. Pola dopadła do mnie jako pierwsza. Nachyliła się tak, że mogłem się przypatrzeć krągłości jej tłuściutkich piersi. Zamiast pomóc mi wstać, usiadła obok na podłodze.

– Opowiedz, co się z nią stało. Jak straciłeś nogę?

– Wolałbym nie.

– Dlaczego? Proszę...

Nim się spostrzegłem, dołączyły do niej Margharita i Ewa.

– Dziś wzięliśmy ślub, a mam opowiadać o tym, jak zostałem z pieprzonym kikutem? – Pokręciłem zirytowany głową.

Któraś z dziewczyn podała mi szklanekę wódki. Akurat flaszek mieliśmy pod dostatkiem.

– Może nie. Przepraszam.

– Kiedyś opowiem. Ale nie dzisiaj.

Pola uśmiechnęła się zalotnie. Zauważyłem, że wymieniają z Margharitą porozumiewawcze spojrzenia. Chwilę potem poczułem ciepło ust Poli na zdeformowanym mięśniu uda.

– A może jednak opowiesz? – Ewa przysiadła się bliżej.

– Może...

Tym razem Margharita pocałowała mnie w usta. Czyjeś dłonie dotknęły mojego policzka, a inne zajęły się guzikami koszuli. Odprężyłem się, choć wciąż w gardle ścisnęła mnie duszność.

– Opowiedz...

– Nie wiem, czy chcecie...

Przerwały mi dobiegające z podwórka krzyki. Przez nieszczelne okno dziecięcy wrzask wpadał razem z wilgocią rozpuszczających się płatków śniegu.

– Opowiedz. Śmiało!

Do jednego krzyku dołączyły kolejne. Na ulicy przed kamienicą smarkacze chyba zaczęli rozgrywać mecz. Albo bawili się w jakąś piekielną grę, która wymagała zwierzęcych nawoływań.

Odsunąłem od siebie Ewę i się podniosłem. Zataczając się, ruszyłem w stronę okna. Uważałem, żeby nie stanąć na rozbitej butelce. Sięgnąłem po opróżnioną wcześniej flaszkę. Nie słuchałem tego, co mówiła Margharita. Ewa i Pola tylko się śmiały.

Miałem nadzieję, że nie ze mnie.

Otworzyłem okno i cisnąłem butelkę w stronę drącego się akurat gówniarza. Rozprysnęła się na bruku dobre dwa metry od niego. Przynajmniej się zamknął i razem z przestraszonymi kumplami wyniósł spod kamienicy.

– Wypieprzać mi stąd! Won!

Parskając ze złości, otarłem z twarzy rozpuszczający się śnieg. Ostre powietrze nie przyniosło otrzeźwienia, ale rozlało potok myśli.

Nienawidziłem dzieci. Coraz częściej gnębiło mnie wspomnienie moich synów, Eryka i myszowłosej dziewczynki, której być może ocaliłem życie. Wszyscy mnie porzucili. Nawet ten mały Eryk, który tamtej nocy spał i nie pobiegł za mną. Nie obudził się. W rzeczywistości miał mnie gdzieś i traktował jako chwilowy substytut rodziców. Mierny materiał zastępczy pełzającego robaka.

Tego wieczora po raz pierwszy poczułem, że nie tylko z chęcią zacisnąłbym dłoń na ich kruchych rączkach. Z chęcią bym je wykręcił i zmiażdżył. Oddalające się krzyki doprowadzały mnie do furii.

Wlałem w siebie wielki haust spirytusu.

Głosy nieco się uspokoiły.

Przynajmniej na tyle, by chwilowo powstrzymać mnie przed dopadnięciem gówniarzy.

## **PRZED WIELU LATY OPPELN**

Po raz pierwszy ożeniłem się gorącego czerwcowego dnia 1919 roku. Strach pomyśleć, że od tamtej chwili minęło tak wiele lat. Być może jedyny szczęśliwy dzień w moim życiu.

Kilka miesięcy wcześniej w Monachium założono DAP, później przemianowaną na znaną wszystkim NSDAP. Związek Spartakusa w Berlinie starał się rozpętać rewolucję komunistyczną, która spełzła na niczym, a ja miałem się o tym przekonać osobiście. Kto nie popełnia błędów?

Właśnie wtedy, jeden po drugim, wyrastały kolejne Freikorpusy, co pilnie obserwowałem nie tylko na łamach gazet. Interesowałem się polityką. Niezmiennie od lat, choć moje poglądy wciąż się klarowały. Wiadomość o śmierci Róży Luksemburg wprawiła mnie w konsternację. Utworzenie Republiki Weimarskiej wywołało złość. Koniec Bawarskiej Republiki Rad – rozczarowanie.

Po okresie zawieruchy i poniewierki znowu pracowałem na kolei. Człowiek bez nogi wybór ścieżek życiowych ma ograniczony. W końcu na każdej z nich zostawia tylko jeden właściwy ślad, obok którego znajduje się odbicie kikuta.

Zresztą w życiu wszystkie wydarzenia zdają się ze sobą powiązane i nawet ślad kikuta może znaczyć kamień milowy. To ładne słowa, które znów podwędziłem poczciwemu pastorowi.

Gdy odłożyłem pierwsze pieniądze, postanowiłem wymienić niewygodny drewniany drąg, który służył mi za jedną z kończyn, na coś lepszego. Zasługiwałem na to. W centrum Opola warsztat (to chyba najlepsze słowo) miał Ferdynand Koch, nazywany powszechnie „doktorem od części zamiennych”. Przy wsparciu Czerwonego Krzyża zajmował się opracowywaniem protez i wszelkich udogodnień dla inwalidów. Ot, złota

rączka.

Dokładnego adresu już nie pamiętam, ale z pewnością go znajdziecie. Poza tym gazety pękały od wzmianek o tym człowieku i jego dokonaniach. Doktor od części zamiennych... Dobrze sobie.

Słyszeliście o Annie Coleman Ladd? Pewnie nie. To artystka, która w Paryżu utworzyła studio zajmujące się wyrobem metalowych masek dla pozbawionych części twarzy ofiar wojny. Malowała je, dekorowała, a ludzie zyskiwali dzięki niej nową tożsamość. Doktor od części zamiennych wzorował się na jej osiągnięciach. Tworzył ruchome odlewy nóg czy rąk i tak je wykańczał, żeby przypominały prawdziwe części ciała. Oczywiście, było się potem składakiem, ale przynajmniej nieskrzypiącym. Dlatego bez wahania powierzyłem się jego troskliwej opiece.

Po dwóch wizytach wszystko było dopięte na ostatni guzik. Pozostały ostatnia przymiarka i odbiór owocu jego tygodniowej pracy. Doskonale pamiętam pachnące drewnem i klejami atelier. Wysokie, podzielone na sześć prostokątów okna oraz unoszące się w powietrzu drobinki pyłu, widoczne w strumieniach światła. Ściany wyklejono ciemną tapetą, a podłogi żałośnie skrzypiały przy każdym kroku. Przy naciśnięciu kikutek wręcz wyły. Sądzę, że mógł to być zamierzony efekt, nastawiony na uświadomienie klientom ich ułomności. W końcu po cudownej terapii doktora od części zamiennych powinni być znacznie cichsi.

Gdy kończyłem przymiarkę, do pracowni weszła urocza młoda dama w towarzystwie wymachującego ogonem charta. Miałem już założoną protezę, naciągnięte spodnie i sprawdzałem zdolność utrzymania równowagi. Może poruszałem się jak trącany wiatrem strach na wróble, może miałem nieprzyjemne spojrzenie – nie wiem. W każdym razie nim ktokolwiek zdążył zareagować, pies dopadł do mojej nogi. Z całej siły wbił się całkiem słusznymi kłami w spodnie.

W pierwszej chwili zdębiałem. Nie miałem pojęcia, co zrobić, więc stałem całkowicie nieruchomo. Nie okazałem bólu, mimo że wydawało się, że bestia z warczeniem wgrzyza się w moje ciało. Wreszcie, widząc przerażenie kobiety, zdołałem się opanować. Śmiejąc się, poklepałem charta po głowie, a skołowany pies wypuścił z pyska moją sztuczną nogę.

Dopiero po chwili jego właścicielka zrozumiała, co się stało. Miny i jej, i doktora wyrażały najgłębszą skruchę i konsternację. Pysk psa, zdawało

się, podobnie...

Gdy się roześmiałem, i oni wybuchli nieco nerwowym śmiechem.

Tak się zaczęło. Pięć miesięcy później Helena Kochówna została moją żoną, a ja wkroczyłem w najszczęśliwszy okres swego życia. Bez względu na wszystko, co się działo wokół. Muszę też przyznać, że dzięki teściowi nie tylko nabrałem pewnej ogłady, lecz także stałem się naprawdę innym człowiekiem. I tak, przyznaję. To dzięki niemu pierwszy raz w życiu przeczytałem gazetę, a przede wszystkim na dobre zafascynowałem się kinem. To śmieszne, jak wielki wpływ mają na nas inni ludzie.

Wiosna 1921 roku upłynęła pod znakiem plebiscytu, który ostatecznie zdecydował o przynależności Opola do Rzeszy, ale też we wrzawie demonstracji i huku wysadzających mosty bomb. To w ich akompaniamencie na świat przyszedł mój pierwszy syn – Otto. Osoby przesądne pewnie i w tym doszukałyby się jakiejś przepowiedni. Tymczasem, zamiast rozwodzić się nad znaczeniem układu gwiazd, logiki działania i właściwością momentu, byłem skupiony na sobie i swojej rodzinie. To chyba zupełnie w porządku, prawda? Nie naruszyłem żadnego cholernego boskiego prawa, a moim największym grzechem było nieprzestrzeganie postów.

Zawsze uwielbiałem jeść. Kto chce, może i z tego wywieść odpowiednie wnioski.

Nieco ponad rok po urodzinach Ottona Helena powiła drugiego syna. W tym przypadku chichot historii był znacznie cichszy, gdyż kilka dni później Opole stało się formalnie siedzibą prowincji. Ale znaczenie tego faktu jeszcze zdążycie poznać. Nastroje w mieście były rewelacyjne, sytuacja stawała się coraz spokojniejsza, a problemy zdawały się nikogo nie dotyczyć. Przez całe lata rytm dnia wyznaczały moja praca, zajmowanie się dziećmi i zabawianie z żoną tak, by nie dołączyły do nich kolejne. Mógłbym to nazwać sielanką.

Całymi godzinami potrafiliśmy patrzeć z Heleną na to, jak nasi synowie śpią w niewielkim, przypominającym kołyskę łóżeczku. Całymi godzinami ściskaliśmy się za dłonie i uśmiechaliśmy. Nieraz zasypialiśmy tuż przy nich na podłodze, a potem, cali obolali, przenosiliśmy kilka metrów dalej, do własnego łóżka. To były naprawdę wspaniałe czasy.

Dokładnie pamiętam, kiedy po raz pierwszy dopadła mnie myśl, która

miała mi towarzyszyć przez całe życie. Pewnego zimowego wieczoru bawiłem się z chłopcami wystruganym z kawałka drewna wozem strażackim. Ja byłem kierowcą, głównym strażakiem i aktorem. Moi synowie wpatrywali się we mnie wielkimi, nie do końca jeszcze rozumnymi oczami.

Wśród śmiechów, okrzyków radości i zniecierpliwienia nie usłyszałem, że ktoś dobijał się do naszych drzwi. Oprzytomnił mnie dopiero płacz Heleny. Spazmatyczny rozpaczliwy szloch.

– Co się stało? – Zostawiłem pędzący do pożaru wóz i sam pognałem na korytarz.

– Pan Koch...

Obok mojej żony stała puciołowata gospodyni jej ojca. Miała rozwichrzone włosy i nerwowo gładziła dłoń Heleny.

– Co się stało?

– Pan Koch nie żyje – wydusiła.

– Co takiego?

– Znalazłyśmy go powieszzonego w pracowni. Zostawił list. Krótki list. Nic nie mogłyśmy zrobić, już nie oddychał, był zimny, a jego twarz...

– Dość. – Machnąłem ręką, ucinając tę relację. Dowiedziałem się wystarczająco wiele. – Zawiadomiła pani policję?

– Oczywiście!

Nie wiedziałem, co jest w tym takiego oczywistego, ale nie dopytywałem. Objąłem żonę i poprowadziłem ją do sypialni. Chciała jak najszybciej iść do pracowni ojca, co wydawało się całkowicie zrozumiałe. Nie przebierając się, ruszyła do wyjścia.

– Mogłaby pani zostać z naszymi chłopcami? – poprosiłem gospodynię teścia. – Chociaż na godzinę.

Pamiętam, że tylko skinęła głową. Ostatni raz zerknąłem na chłopców i właśnie wtedy naszła mnie ta idiotyczna myśl. Rodzicielstwo to najcięższy spośród grzechów. Płodząc dzieci, z góry skazujemy je na śmierć. Tworzymy istoty, które najpierw będą beztroskie, później zaczną cierpieć, doświadczą przemijania bliskich, a na końcu je również czekają agonie i śmierć. To tego grzechu Bóg nie powinien nam odpuszczać.

Nie wiem, dlaczego o tym pomyślałem.

Jednak świadomość tego faktu miała mi towarzyszyć już przez całe życie.



## **PIĄTEK, 1 WRZEŚNIA 1939 R. OPPELN**

*Polskie regularne siły zbrojne otworzyły ogień na naszym terytorium. Od godziny piątej czterdzieści pięć rano odpowiadamy ogniem i od tego momentu nasze bomby będą odpowiedzią na ich bomby...*

Te ryczące z dziesiątek miejskich megafonów słowa kanclerza Rzeszy wydawały się czymś nierealnym. Na polskich bankach i redakcjach pojawiły się kartki obwieszczające ich zamknięcie. Być może wszyscy się tego spodziewali, ale wieść o wybuchu wojny tamtego ładnego, letniego dnia spadła jak grom z jasnego nieba na zaspanych, pędzących do pracy ludzi. Część z nich z pewnością się zastanawiała, czy oby na pewno obudziła się ze snu. Widać to było w ich twarzach i ruchach. Zdradzały to ich podniecone, ale zarazem zadumane spojrzenia.

Wojna. To jedno słowo odmieniano przez wszystkie przypadki.

Od miesiący Opole pełne było żołnierzy, od dawna trwał też program przymusowego zatrudnienia przy budowach okolicznych dróg i mostów. Nazywało się go czterdziestoośmiofeningówką. Tyle dostawało się za godzinę harówki, a sześciotygodniowe zsyłki nie stanowiły powodu do radości. Mnie, oczywiście, ominęły.

Przez cały spędzony w hali kolejowej dzień wsłuchiwaliliśmy się w słowa Fűhrera. Z każdą godziną rosło rozgorączkowanie, duma z chłopców na froncie i wiara w jak najszybsze zwycięstwo. Do kiedy potrwa wojna? Mielśmy tylko dać Polakom nauczkę czy dojść aż do Warszawy? Domysłem nie było końca.

Po południu pojawiły się pierwsze komunikaty o paśmie zwycięstw i błyskawicznych postępach wojsk. Gdy wracałem do domu, mnóstwo ludzi spacerowało po ulicach, komentując kolejne meldunki. Megafony nie milkły nawet na chwilę. Panowała atmosfera euforii. Ekstazy, którą pamiętałem

niemal dokładnie sprzed ćwierć wieku.

Pospiesznie utworzony punkt mobilizacyjny znajdował się w dawnej polskiej kawiarni na uboczach starówki. Nie wiem, czy był to symbol? Może raczej przypadek związany z tym, że akurat tego dnia aresztowano właściciela. Jakkolwiek by było, o siedemnastej przed budynkiem stał długi sznur rozgorączkowanych rekrutów. Śpiewali hymn, wznosili okrzyki i nasłuchiwali kolejnych komunikatów z frontu. Wodziłem spojrzeniem po ich zarumienionych, napiętych twarzach. Uśmiechałem się. Wojenna euforia jest zaraźliwa jak dżuma albo cholera. Powinienem o tym wiedzieć.

Mimowolnie podszedłem w ich stronę.

To był impuls. Kolejny z tych, które prowadziły mnie przez całe życie.

Zarzuciłem na ramię skórzaną torbę, skręciłem i dołączyłem do kolejki. Z megafonów właśnie powtarzano pełne werwy przemówienie Hitlera. Duma Rzeszy została obrażona zdradzieckim atakiem Polaków, zadawane w odwecie ciężkie ciosy są usprawiedliwione. I tak dalej, i tak dalej...

Kolejka przesuwiała się ślamazarnie. Przyjęci do wojska otrzymywali dokumenty i byli kierowani do koszar. Szczegółowe przydziały miały się odbyć na miejscu.

– Następny! – Ryk usadowionego przy stole krępego feldfebla co rusz zakłócał ciszę. – Następny, następny! Szybciej!

Zaczęło się ściemniać i część osób, które dołączyły do kolejki jako ostatnie, sobie poszła. Noc najwyraźniej przytępiała ogólny zapach. Kolacja z żoną kusiała mocniej niż wojenna sława. Ale ja krok po kroku zbliżałem się do drewnianego stolika. Zastanawiałem się, o czym rozmawiali ostatni ludzie, którzy zjedli przy nim ciastko i raczyli się sprowadzaną z Ameryki kawą.

O wojnie? Być może.

O miłości? O dzieciach? A może o śmierci? W końcu każdy z tych tematów prowadzi do śmierci.

Wreszcie przyszła moja kolej. Wyjąłem dokumenty i położyłem je na białym blacie. Znajdowały się na nim jeszcze dawne, zaschnięte ślady kawy i odbicia spodków.

Feldfebel obrzucił mnie baczny spojrzeniem.

– Czego pan chce?

– Tego, co wszyscy. – Zdziwiła mnie jego reakcja. – Wstąpić do armii.

– Słucham? – Żołnierz jeszcze raz zerknął na moją książeczkę. – Jest pan

inwalidą.

– Mogę się przydać.

– Niby w czym?

Feldfebel wymienił kpiące spojrzenie z kłębiącym się za mną, choć i tak przerzedzonym tłumem. Zrobiło mi się gorąco i po raz pierwszy w życiu chciałem zniknąć. Wyparować albo się rozpuścić. Proteza nieoczekiwanie zaczęła mnie uwierać. Płynący z megafonu komunikat wydawał się bełkotliwy, wyłapałem tylko fragment o kolejnym odniesionym zwycięstwie.

*Gott mit Uns.*

Feldfebel odsunął od siebie moje dokumenty. Otarł oczy i oparł łokcie na stole. Był niewiele starszy od moich synów, na jego twarzy widać było jeszcze ślady młodzieńczego trądziku.

– Słyszałem, że dzięki niektórym protezom możecie skakać wyżej niż normalnie. To prawda?

– Wydaje mi się, że...

Dopiero po chwili dostrzegłem, że jego wargi rozchyliły się w uśmiechu. Ten tępy dureń kpił ze mnie. Nigdy wcześniej nie wpadłem w równie niespodzianą furję. Nie kontrolowałem się. Z całej siły zacząłem walić pięścią w blat stołu. Nie pamiętam ani słowa z tego, co wykrzykiwałem. Ślina leciała mi z ust. Zapewne obrzucałem żołdaka stekiem przekleństw.

Stojący obok feldfebla strzelec zareagował niemal natychmiast. Obiegł stół i chwycił mnie za ramię. Nie zamierzałem dać mu się wyprowadzić. Zaparłem się, wciąż waląc pięścią w blat. Wtedy mnie pchnął, cholerna proteza się ugięła i wylądowałem na ziemi. Jestem pewny, że przy akompaniamencie śmiechu tłumy.

– Zabierzcie stąd tego robaka! – Feldfebel przyglądał mundur. – Niech wypieprza, zanim go zastrzelę.

Podniosłem się i, kuśtykając, ruszyłem do wyjścia. Czułem na sobie kpiące spojrzenia dziesiątek par oczu. Miałem ochotę wydłubać je wszystkie.

Jedno po drugim.

## **NIEDZIELA, 9 WRZEŚNIA 1939 R. OPPELN**

– Powinniśmy się natychmiast zgłosić.

– Sam nie wiem...

– Zawsze to samo. Sam nie wiem. Sam nie wiem. To powinno być twoje drugie imię, Franz.

– Daj mi spokój.

– Otto, czego chcesz od brata?

– Tato, słyszałeś, jaką wiadomość nadali dziś rano?

Słyszałem. Nasza armia dotarła już do Warszawy. W ciągu najbliższych godzin albo co najwyżej paru dni stolica Polski powinna zostać zdobyta. Wielka Brytania i Francja burzyły się, ale bały się konfrontacji. Choć zdaje się, że ich rządy po prostu doskonale rozumiały, że racja – czyli siła – jest po stronie Rzeszy. Sedno było takie, że wojna zaraz się skończy. W najlepszym razie mogła to być kwestia godzin, a w najgorszym – dni.

– Słyszałeś, tato?

Otto powtórzył pytanie, a ja podszedłem do okna. Ulicą przejeżdżał wóz konny, na którym siedziało kilku żołnierzy. Głośno śpiewali. Właściwie darli się, nabuzowani adrenaliną. Nastrój udzielał się im nawet kilkaset kilometrów od frontu. Albo właśnie tutaj.

– Wojna niedługo się skończy. – Otto uznał, że nie warto czekać na moją odpowiedź. – Powinniśmy spróbować się zaciągnąć. A on się boi.

– Nie chodzi o to, że się boję...

– Właśnie, że tak.

Już przed kilkoma dniami słyszałem przyciszoną rozmowę moich synów na ten temat. Również wtedy Otto był napastliwy, a Franz – zdystansowany. Wiedziałem, że się nie boi. Po prostu zawsze myślał racjonalnie. Kalkulował zyski i straty. Podczas gdy Otto już od czterech lat należał do Hitlerjugend, Franz został do niego wcielony dopiero niedawno,

gdy powstał taki obowiązek. Otto był rozczarowany tym, że służba pomocnicza sprowadza się do pojedynczych zbiórek, a od czasu wybuchu wojny odbyły się jedynie dwa czy trzy apele. Franz robił to, co konieczne, ale przede wszystkim skupiał się na nauce. Kalkulował. A ja byłem rozdarty między jednym a drugim.

– Powiedz coś, tato...

Odwróciłem się od okna i spojrzałem na synów. Fizycznie obaj byli podobni do mnie. Niezbyt wysocy, dobrze zbudowani, z rzadkimi, ciemnymi włosami. Natomiast psychicznie Otto wdał się we mnie, a Franz – w matkę.

– Byłbym dumny – mruknąłem głośniejszym głosem, niż chciałem. – Naprawdę byłbym dumny.

– Ha, widzisz! – Otto tylko czekał na podobny wyraz aprobaty.

Franz spojrzał na mnie z ukosa.

– Jeśli zgłosilibyśmy się teraz, być może nawet nie załapałibyśmy się na wojnę.

– Tu nie chodzi o wojnę!

– Poza tym podobno trzeba mieć skończone osiemnaście lat. Od siedemnastu biorą do SS, ale jesteśmy za niscy. I tak kiedyś przyjdzie do nas wezwanie poborowe.

– Nie wiadomo kiedy... – Otto urwał, słysząc na korytarzu kroki matki.

Po chwili Helena weszła do pokoju. Ponuro popatrzyła po naszych twarzach. W ciągu ostatnich kilkunastu lat niewiele w niej pozostało z roześmianej dziewczyny z chartem u nogi. Po niespodziewanej śmierci ojca zamknęła się w sobie i już nigdy się do końca nie otworzyła. Bywały całe tygodnie, podczas których nie odezwała się do nas nawet słowem. Snuła się wtedy po domu, nie reagując na naszą obecność.

Teraz znajdowała się w znacznie lepszym stanie. Od początku roku miała tylko jeden kilkudniowy epizod. Mimo to odruchowo traktowaliśmy ją ze szczególną delikatnością. Franz i Otto nauczyli się filtrować przekazywane jej informacje. Wszystko, co mogłoby ją poruszyć, stanowiło temat zakazany. Wojna przede wszystkim.

– Zamierzacie iść do wojska? – Helena wycelowała w synów paliczkowatym palcem. Była wychudzona i nie ważyła nawet pięćdziesięciu kilogramów. Wiecznie nie miała apetytu. – To o wojnie cały czas szepczecie

za moimi plecami?

– Mamo...

– A ty, Joseph? Nie wybijasz im tego z głów? – Cedziła słowa, ledwie otwierała przy tym usta. Kiedyś była piękna, dziś tylko dobra. Zmarszczki zebrały się pod jej oczami i na policzkach, podbródek się uwydatnił. Widziałem to. Obcowaliśmy ze sobą na co dzień, a jednak wciąż miałem przed oczami jej obraz sprzed prawie dwudziestu lat.

– Uważam, że sami powinni zdecydować – usprawiedliwiłem się. – Są wystarczająco dorośli.

– I na tyle głupi, żeby zginąć?

– Mamo, dobrze wiesz, że to szansa. – Otto podszedł w jej stronę. – Moglibyśmy zarobić i wrócić za kilka miesięcy. Wojna pewnie skończy się lada dzień, akurat wtedy, gdy...

– Nie chcę o tym słyszeć.

– Ale ojciec...

– Powiedziałam, że nie chcę o tym słyszeć. – Helena podeszła do mnie i złapała mnie za rękaw. – Nagadałeś im głupot i teraz masz. Za mało się na ciebie napatrzyli?

Niewidzialna dłoń zacisnęła się na moim gardle. Zadrżałem ze złości.

– O czym ty mówisz? – udałem zdziwienie. Dobrze wiedziałem, że znów jestem robakiem i że tym razem to doskonały argument.

– O tym, że wojna to nie zabawa.

– Nikt tego nie powiedział, mamusiu. – Otto był po mojej stronie.

Franz milczał z rękoma założonymi na piersi. Niezmiennie kalkulował. Jego twarz przybrała wyraz, który, gdy był dzieckiem, nazywaliśmy „pozą filozofa”.

– Milcz, milcz, do diabła! Nie pamiętacie ani stosów trumien, ani tego, jak wszystkie kobiety w kamienicy zostawały wdowami. Nagle nadchodziły listy, a potem...

– Niby co?

– Łatwo powiedzieć przez megafon, że wygrano kolejną bitwę.

– Można je przegrywać również szczęśliwie w domu – wycedziłem. Nie chciałem tego mówić, ale poczucie, że jestem robakiem, wzbudziło we mnie wściekłość. A wściekłość nie znała litości. – Można się powiesić zupełnie bez powodu. Za największy problem mając dogadanie się z zięciem albo

zapamiętanie imion wnucząt. Ot tak. Dla żartu. Żeby umrzeć, nie trzeba wojen, a wystarczy pieprzona chęć zrobienia krzywdy innym!

Helena zbladła. Puściła mój rękaw i cofnęła się w stronę korytarza. Przyłożyła dłoń do ust. Zawsze tak robiła, gdy była bliska płaczu.

– Chyba oszalałeś.

– Jeżeli służba w armii jest szaleństwem, to wyszłaś za szaleńca. Rozumiesz to? – Ostatnie słowa niemalże przeliterowałem. – Rozumiesz? Wyszłaś za pieprzonego szaleńca!

## **PONIEDZIAŁEK, 22 WRZEŚNIA 1941 R.**

### **ROSJA**

*Drodzy Rodzice,  
przesyłam serdeczne pozdrowienia z pola walki. Dziękuję za Wasz ostatni list. Cieszę się, że jesteście zdrowi, ja również mam się dobrze. Następnym razem napiszcie, co słychać u Franza, nie mam od niego żadnych listów!*

*Ciekaw jestem, jak sobie radzi, i martwię się, że ma do mnie o coś pretensje... Mam nadzieję, że nie.*

*Jeżeli oglądacie „Wiadomości Wehrmachtu”, na pewno wiecie, że Rosjanie błyskawicznie się wycofują. Nie macie o co się troskać. Tym razem jestem przekonany, że wojna szybko się skończy. Doszły mnie właśnie wieści, że Kijów został zdobyty!*

*Kończę pisać, całuję – zaraz przyjdzie chwila odpoczynku przy skacie, (a muszę wyznać, że mam ostatnio sporo szczęścia).*

*Wasz Otto*



## **PONIEDZIAŁEK, 8 GRUDNIA 1941 R.**

### **ROSJA**

*Kochani Rodzice,  
nadeszło kilka dni wytchnienia. Po codziennym marszu po trzydzieści lub więcej kilometrów wreszcie możemy chwilę odpocząć. Nasze postępy są tak szybkie, że w pełni na to zasługujemy.*

*Dziś widziałem, jak rosyjski samolot został trafiony z karabinu i spadał jak pochodnia. To już kolejny w ciągu kilku dni! Przed wojną nigdy czegoś takie nie widziałem, nawet w kinie. Właśnie, Tato, wciąż nie odpuszczasz żadnego seansu? Chciałbym się z Tobą wybrać na dobry film. Obiecuj mi, że to będzie pierwsze, co zrobimy po moim powrocie! Nie mogę się doczekać.*

*Okropnie bolą mnie nogi. Podczas marszu właściwie ich nie czułem, a najważniejsza była myśl o wyspaniu się. Kiedy przychodzi odpoczynek, tak to już jest, że mięśnie tężeją. Ale to przecież nic takiego. Ważne, że wszyscy jesteśmy zdrowi.*

*Ucałujcie ode mnie Franza i tę dziewczynę. On zawsze miał powodzenie.*

*Serdeczności*

*Otto*

## **ŚRODA, 22 KWIETNIA 1942 R.**

### **ROSJA**

*Kochani Rodzice,  
jak dobrze czytać, że u Was wszystko w porządku. Część jednostek ma być niedługo zluzowana i być może wkrótce się zobaczymy. Wspaniale byłoby spędzić kilka letnich dni razem.*

*Kiedy myślę o domu od razu robi mi się lepiej. Spędziłbym chyba cały ten czas, śpiąc w łóżku i gapiąc się w sufit. Marzę o tym, żeby się wyspać w ciszy. I marzę o wygodnym pościeleniu.*

*Przez ostatnie dni Rosjanie podnieśli łby i próbują swoich sił. Jednak to ostatnie podrygi zdychającego psa. Poszczeka, a kiedy się zmęczy, ukręcimy mu pysk.*

*Nie zapeszając, zdradzę Wam, że znowu mam szczęśliwą serię w skacie. Zostałem chyba dywizjonowym szulerem. Żałuję tylko, że przed wyjazdem na front nie zrobiłem tego co Franz. Powinienem znaleźć sobie żonę. Po towarzyszach widzę, że czekająca w domu kobieta to mobilizacja do jeszcze większego wysiłku. I dodatkowa porcja energii.*

*Pozdrawiam Was*

*Otto*

*PS Cieszę się, że z takim wzruszeniem oglądałeś, Tato, "Powrót do ojczyzny". Słyszałem, że to doskonały film i mam nadzieję, że będzie szansa zobaczyć go jeszcze razem. Czuję, że ta chwila jest coraz bliżej.*

## **PONIEDZIAŁEK, 30 LISTOPADA 1942 R. ROSJA**

*Drodzy Rodzice,*

*nigdy nie wyobrażałem sobie takiego mrozu, i to jeszcze przed grudniem. Wczoraj było -35 stopni, a podobno ma być jeszcze gorzej. Na szczęście mamy ciepłe schrony, a dostawy zaopatrzenia przywiozły zimowe wyposażenie. W samą porę! Chodzą słuchy, że wkrótce mam zostać promowany, ale nie wiem, czy to prawda. Zobaczymy.*

*Kiedy tylko jest czas napisać te kilka słów, niedaleko gra muzyka kanonady artyleryjskiej. Wszyscy spodziewamy się rychłego przełamania i zwycięstwa, Rosjanie bronią się jednak ze zwierzęcym uporem. Nie liczą się ze śmiercią, z mrozem ani z cierpieniem swoich żołnierzy. Zdaje się, że nie rozumieją, że walczą o przegraną sprawę. Dopiero tu można się w pełni przekonać, że to nie ludzie, a dzicy wywleczeni z samego dna piekła.*

*Podziękujcie, proszę, Franzowi w moim imieniu za fotografię. Sprawiała mi wiele radości i zawsze będę ją nosił przy sobie.*

*Dochodzi już siódma i zaraz czas na posiłek. Nie mogę się doczekać czegoś ciepłego.*

*Byle do wiosny!*

*Uściski*

*Otto*

**CZWARTEK, 11 MARCA 1943 R.**

**W POLU**

**M. WAGNER, MAJOR I DOWÓDCA DYWIZJONU  
NUMER POCZTY POŁOWEJ 26 701B**

*Szanowni Państwo Zyppeck!*

*Z wielką przykrością piszę do Państwa ten list.*

*Muszę jednak przynieść Państwu tę okrutnie bolesną wiadomość, że Państwa syn Otto podczas ciężkich walk toczonych na południe od Charkowa wczorajszego ranka około godziny 7:00 oddał swoje życie za przyszłość Rzeszy.*

*Od blisko dwóch lat byłem blisko z Państwa synem i wiem, jak wiele razem z Nim tracie. Zawsze ceniłem jego oddanie, dzielność i nieprzejednaną wierność ideom naszej Ojczyzny. W ciągu ostatnich godzin przed śmiercią Otto wykazał się wielką odwagą, stawiając opór nieudanemu kontratakowi Rosjan. Następnie przyszedł czas na nasz cios.*

*Żywiłem nadzieję, że będzie kolejnym, który zostanie zluzowany i będzie mógł się udać na urlop do Niemiec. Opowiadał o Państwu, cieszył się myślą o powrocie i wiem, że właśnie ona napędzała go do jeszcze bardziej wyczerpanego działania.*

*Otto poległ z bronią w rękę, podczas szturm na pozycje zaciekle walczącego wroga. Pocisk z gniazda ciężkich karabinów maszynowych przebił jego hełm i w ułamku sekundy pozbawił go życia. Mogę Państwa zapewnić, że nie cierpiał. Jego twarz pozostała spokojna i malował się na niej hart jego ducha. Widziałem, trzymałem go w ramionach.*

*Mogę jedynie Państwa zapewnić, że żaden z kompanów Ottona, w tym ja sam, nigdy o Nim nie zapomnimy. Dziś rano przewieźliśmy Jego ciało na leśny cmentarz, gdzie został pochowany z wszelkimi honorami. Jeżeli będzie to tylko możliwe, wykonamy zdjęcie Jego grobu.*

*Wiem, jaki ból spowodują u Państwa te słowa. Tym ciężiej jest mi pisać ten*

*list i wypełniać swój obowiązek. Niemniej wierzę, że śmierć Ottona doda nam jeszcze więcej odwagi, jeszcze więcej uporu, a dając z siebie wszystko, tak jak zrobił to On, zwycięsko zakończymy tę walkę o przyszłość.*

*Ściskam Państwa z pełną serdecznością i proszę, abyście nie tylko mieli swojego syna w pamięci, lecz przede wszystkim zawsze odczuwali z niego dumę.*

*Oddany Państwu*

*M. Wagner, major*

**PONIEDZIAŁEK, 18 GRUDNIA 1944 R.**  
**GODZINA: 12:17**  
**HOTEL HUCH**  
**OPPELN**

Zdaje mi się, że przez ostatnie półtora roku żyliśmy na przekór wszystkiemu. Wojnie, znajomym, hitlerowskiej propagandzie. I na przekór wszystkiemu któregoś dnia po całonocnym piciu kumpel od kieliszka wytatuował mi na żebrach swastykę. Symbol, za który poległ mój pierworodny syn. Symbol ustroju, którego zwolennikiem być może nigdy nie byłem. A może który od początku ubóstwiałem za złudzenia, które dawał?

Zdaje się, że żyliśmy przede wszystkim na przekór sobie.

Poza listem o śmierci Ottona wojna wciąż do nas nie dotarła. Choć tak namacalna, była jednocześnie odległa i nierzeczywista. A przede wszystkim – pusta. Nie urządziliśmy symbolicznego pogrzebu. Nigdy nie dostaliśmy zdjęcia prawdziwego grobu.

Nie pożegnaliśmy się z Ottonem.

Nie płakaliśmy zbyt wiele.

Po prostu okopaliśmy się na swoich pozycjach, pełni żałoby i smutku. Tak jak miliony innych rodzin.

Gdy zostaliśmy zaproszeni na ślub frontowego przyjaciela Ottona, zmroziło nas. To powinien być nasz syn! To było niemożliwe. To było bolesne, nieprzyjemne i wredne. Nie powinien był nas zapraszać.

A jednak poszliśmy.

18 grudnia ślub wziąć mógł jedynie zluzowany żołnierz. Nigdy wcześniej go nie widzieliśmy, a on nigdy nie widział nas. Mimo to przed kolegiatą złożyliśmy jemu i jego świeżo upieczonej małżonce najszczerze gratulacje. W zamian opowiedział nam kilka słów o ostatnich dniach służby Ottona, o ich przyjaźni i wzajemnym oddaniu.

Po prostu pięknie. Przez cały ten czas miałem ochotę zapytać go, gdzie był, kiedy nasz syn umierał. Dlaczego go nie uratował? Dlaczego, do cholery, nie zginął razem z nim? Albo zamiast niego.

Pewnie natychmiast wrócilibyśmy do domu, gdyby nie zaprosił nas do pobliskiego hotelu na poczęstunek. Obiecał znaleźć dłuższą chwilę i z nami porozmawiać. Twierdził, że jest to winny nam, a przede wszystkim – pamięci przyjaciela.

– Z przyjemnością pójdziemy – odparłem za nas oboje.

Helena nie była przekonana, a jednak starała się tego nie okazywać. Najpierw kierowana pełnym cierpiętnictwem dystansem, a potem – chorobliwym podekscytowaniem, tylko czekała, aż spośród tłumu gości pan młody wypatrzy właśnie nas. Dwa robaki żywiące się nadzieją, że znaczą więcej niż inne. I to tylko dlatego, że to ich syn zginął gdzieś na mroźnym rosyjskim zadupiu, gdzie, wbrew zapewnieniom majora, być może nie miał nawet grobu. Mógł gnić w jakimś bagnie, jeziorze lub rzece.

Czułem, że tak jest.

Sala balowa hotelu Huch nie była duża, przyozdobiono ją raczej skromnie, a w środku zebrało się co najwyżej sto osób. Mimo to przez pierwszą godzinę tkwiliśmy w samym rogu, bacznie obserwując, czy młody leutnant znajdzie dla nas czas. Nie tknęliśmy jedzenia, jedynie sączyliśmy powoli serwowaną wiśniówkę, nie zważając na jej cierpki, gorzkawy smak.

Od godziny nie zamieniliśmy ze sobą nawet słowa. Helena spoglądała w głąb sali, a ja zerkałem za okno, tępo przyglądając się ruchowi na Nikolaistraße. Zaczął padać śnieg, a wiatr ciskał go w brudne szyby. Założyliśmy swoje najlepsze ubrania, choć chyba oboje czuliśmy się w nich jak aktorzy. Odgrywaliśmy role żywych, gdy wewnątrz byliśmy już prawie martwi. Zamiast nas przy stoliku można było posadzić dwie kukły. Głowę daję, że niczego by to nie zmieniło.

Już chyba wspominałem, że życie jest jak kino...

– Ktoś do pana. – Z zamyślenia wyrwał mnie głos kelnera. – Pan Zyppeck, zgadza się?

Odwróciłem się i bezwiednie skinąłem głową. Nie wiem, jakim cudem mnie odszukał ani skąd znał moje nazwisko. Helena zdawała się go nie zauważać. Wciąż spoglądała w głąb sali, gdzie pan młody wznosił właśnie toast.

– Kto taki?

– Proszę...

„Za mną” utonęło w zbiorowym aplauzie. Przeprosiłem żonę i ruszyłem za oberem. Powiodł mnie przez główny korytarz, hol – aż do drzwi wejściowych.

– Franz!

Mój młodszy syn przechadzał się przy recepcji. W brązowym mundurze Reichsarbeitsdienst z łopata i kłosami zboża na rękawie wyglądał co najmniej niezdarne. Nie nadawał się do armii. Do urzędu, na uczelnię albo gdziekolwiek indziej – tak, ale nie do armii. Ciągłe za mocno kalkulował. Widziałem, że przez cały czas rozmyśla lub waży zyski i straty. Po śmierci Ottona robił to z podwójną gorliwością.

– Tato...

– Co się stało? Co ty tu, do cholery, robisz?

– Nie mamy czasu. Musicie jak najszybciej uciekać.

Natychmiast poczułem na sobie spojrzenia przechodzących obok osób. Franz zawsze miał niewyparzoną gębę. Jeżeli z jego kalkulacji wynikało, że ma o czymś powiedzieć, robił to bez względu na koszty. Teraz właściwie krzyczał.

– Jak najszybciej...

Jego blada twarz również sprawiała wrażenie maski. Mimo że na dworze było zimno, wokół nosa zebrały mu się strużki potu, ale jego mięśnie pozostawały niezmiennie napięte. Nerwowo przeczesał włosy.

– Właśnie dostaliśmy wiadomość. Rozumiesz? Straciłem pół godziny na szukanie was. Tato, co z tobą?!

Chwyciłem go pod rękę i poprowadziłem na zewnątrz. Nie chciałem, żeby którykolwiek z gości zobaczył członka niepokonanych służb Rzeszy w takim stanie. Nie wstydziłem się. Po prostu nie chciałem tych spojrzeń.

– Tato, powinniście uciekać z centrum!

– O czym ty mówisz? Jesteśmy na cholernym weselu. Przyjaciel twojego brata...

Franz chyba po raz pierwszy w życiu mi przerwał.

– Nad miasto lecą amerykańskie bombowce – wypalił. – Całe mnóstwo!

Zatrzymałem się i odruchowo spojrzałem w niebo. Śnieg przestał sypać i chmury zaczęły się rozwiewać.



– Co miałyby tu niby bombardować?

– Nie wiem, ale właśnie nadszedł komunikat o zbliżających się eskadrach. – Franz stracił nad sobą panowanie. Cały drżał. – Proszę cię, zabierz matkę i pojedźcie jak najprędzej poza centrum. Ja muszę wracać do kompanii, ale...

– Uspokój się.

– Posłuchaj mnie!

– Twój brat poległ na froncie, a ty zachowujesz się jak ostatni tchórz! Chcę porozmawiać z osobą, która być może widziała go jako ostatniego żywego. A ty? Popatrz na siebie. Jak ci w ogóle nie wstyd?

– Jak tchórz? Bo przychodzę was ostrzec?

Nim zdążyłem odpowiedzieć, powietrze przeciął skowyt syren alarmowych. Z megafonów popłynęła niezrozumiała informacja. Tak jak kiedyś, zdawało mi się, że na moment straciłem zdolność rozumienia ludzkiej mowy.

Z nieodległego Cafe Residenz wylał się tłum zdezorientowanych gości. Oslaniając dłońmi oczy, patrzyli w niebo. W tym samym momencie zakaszła artyleria przeciwlotnicza. Nad dachami kamienic pojawiło się kilka obłoczków ciemnego dymu.

– Nie ma czasu! – Franz szarpnął mnie za rękaw.

– Dokąd mielibyśmy uciekać?

– Do schronu, poza miasto, gdziekolwiek!

– To jak zwykle straszenie dla samego straszenia. Zresztą gdzie tu jest jakiś cholerny schron?

– Oni nadlatują. Musimy...

– Ile? Dwa, trzy samoloty? Prędzej trafią w...

Nie wiem, co chciałem powiedzieć. Moje myśli zlały się w jedno z narastającą kanonadą, rykiem syren i krzykami przemykających pod ścianami kamienic przechodniów. Uzupełniło je niskie buczenie potężnych silników. Wtedy zdałem sobie sprawę, że nie zdążymy uciec do żadnego schronu. Nawet gdyby znajdował się po drugiej stronie ulicy.

Ktoś pchnął drzwi hotelu Huch tak, że uderzyły o ścianę. Wśród kilku osób, które wybiegły ze środka, nie było Heleny. Jestem przekonany, że wciąż siedziała w tym samym miejscu, czekając, aż bohaterski leutnant wreszcie zaszczyci ją spojrzeniem. Gdyby się zastanowić, być może nieco

przypominał jej Ottona. Był równie krępy, miał krótkie ciemne włosy i mocną szczękę. Mógł być jedynie nieco starszy. Ale w końcu naszego syna widzieliśmy ostatni raz dwa i pół roku temu.

– Jezu...

Franz odepchnął mnie i rzucił się w stronę hotelu. Zapewne przed ułamkiem sekundy postanowił wyciągnąć z niego matkę siłą. Nie wiem, jaki miał plan. Gdzie chciał nas ukryć i co zrobić potem.

Zza chmur wyleciał pierwszy samolot. Czarny punkt sunący po linii prostej. Po sekundzie lub dwóch dołączyło do niego kilka następnych. Nim mrugnąłem, widziałem już dziesiątki stalowych sylwetek poruszających się na tle mlecznego nieba.

Po chwili wysypały się z nich setki małych jak śrut kropeczek.

Zamiast ryżu sypanego na szczęście młodej parze.

## PIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ

Twarze ofiar bombardowań zazwyczaj są blade, obsypane mieszaniną cementu i pyłu. Przypominają makabryczne gipsowe odlewy. Kiedy są opuchnięte, bardziej przywodzą na myśl balony z wymalowanymi oczami, ustami i nosem. Oczywiście, o ile żadna z tych części ich ciał nie została obcięta lub odłupana przez fragment spadającego sufitu bądź obracającej w pył ściany. Czasem, jeżeli nieboszczyk miał pecha (albo szczęście, zależy, jak na to patrzeć), zginął sprasowany między blokami betonu. Żeby cokolwiek włożyć do trumny, jego szczątki i strzępy ubrania trzeba było dosłownie zeskrobywać. W skrajnych przypadkach do zbiorowej mogiły przewoziło się całe rumowisko, gdyż niemożliwe było rozszyfrowanie plątaniny zmiażdżonych tkanek.

Przy odgruzowaniu hotelu Huch pracowało kilkudziesięciu cywilów, kilkunastu członków jednostek wspierających, dzieciaki z Hitlerjugend i dwóch czy trzech żołnierzy. Po zachodzie słońca wokół ruin rozstawiono specjalne lampy gazowe oraz kosze z palącym się materiałem. Żółta łuna rozświetliła pogorzeliśko.

Mimo mrozu pracowaliśmy jak szaleni. Moje odmrożone dłonie pokrywały pęcherze i rany. Piasek oraz pył wciskały się w otarcia, wywołując paraliżujące pieczenie. Skostniałymi palcami odrzucałem kolejne fragmenty budynku.

– Dwudziesty dziewiąty...

Dwóch mężczyzn przeszło obok mnie, wlokąc zakurzonego trupa. Jego garnitur wyglądał, jakby ktoś ćwiczył na nim ostrość noża. Jednak biała, porcelanowa twarz nie miała śladów uszkodzeń.

Dwudziesty dziewiąty.

Na razie musiał się zadowolić tym, że będzie numerem. Niedługo jakaś rodzina wybuchnie nad nim płaczem i wtedy otrzyma imię i nazwisko. Chyba że w poszatkwanej marynarce wciąż tkwiły dokumenty. Wtedy

jeszcze szybciej stanie się zidentyfikowanym trupem. To wszystko, co z nas pozostanie.

Franz razem z dwoma kolegami pracował po przeciwnej stronie ruin. Nakłoniłem go, by szukał właśnie w tamtym miejscu, bo wydawało mi się, że tam trafi na najmniej ofiar. Chciałem mu tego oszczędzić. W całym tym przerażeniu i strachu chciałem mu oszczędzić widoku trupów. To była moja żałosna kalkulacja.

Powiedzcie mi, że byłem złym ojcem.

Pochylony prawie do ziemi, obszedłem resztki roztrzaskanego zegara i żyrandolu. Trzech mężczyzn obok mnie obwiązało linami wielki kawał ściany. Zaprawa trzymała cegły, pod którymi kryła się zapewne pusta przestrzeń. Na dany znak wszyscy zaczęli ciągnąć.

Wyprostowałem plecy i rozejrzałem się po okolicy. Większość ludzi pracowała niemal bez wytchnienia, ulica była już przejezdna, a ruiny hotelu sterczały niewzruszone pośród chaosu.

Bomba wpadła przez dach i rozerwała fasadę budynku. Odłupała ją od reszty hotelu, a następnie rzuciła na ulicę. Tył budowli był okopcony i zalany wodą, ale w znacznie lepszym stanie. To właśnie tam znaleziono większość ocalałych. Sale balowa i koncertowa były, niestety, od frontu. Ciągłe nie wiadomo było, co się stało z parą młodą.

– Rusza się! Tutaj! – Krzyk rozdarł ciszę. Poza szuraniem szpadli, uderzeniami odrzucanych kamieni i cegieł praca odbywała się w milczeniu. Wszyscy nasłuchiwali jęków oraz wołań o pomoc. Od dwóch godzin już ich nie słyszeliśmy. – Szybko, dajcie tu lekarza!

Zamiast lekarza przez gruzowisko popędziło dwóch mężczyzn z płóciennymi noszami. Jeżeli dobrze liczyłem, znaleźliśmy dziewięciu zabitych i szesnastu lub siedemnastu żywych. Statystyka dawała nadzieję. Ciekawe, czy Franz też zwrócił na to uwagę.

Modliłem się, by zobaczyć brązową sukienkę i czarne buty na grubej podeszwie, które miała na sobie moja żona. Otarłem pot z czoła. Zgarbiony przypominałem pewnie szykującego się do ataku Quasimodo. Noszowi przeszli kilka metrów przy mnie, ślizgając się na zwałach stropu i coś pokrzykując.

Zobaczyłem znajomą twarz.

Kelnera, który przed pięcioma godzinami zaprowadził mnie do Franza.

Kelnera, dzięki któremu zapewne przeżyłem. Był przytomny i jestem pewny, że mnie rozpoznał. Przez chwilę patrzył na mnie otumaniony, wreszcie zamknął oczy.

Gdzieś obok usłyszałem płacz dziecka. Rozejrzałem się, przekonany, że wśród zebranego tłumu gapiów jest jakieś niemowlę. Płacz był jednak stłumiony i dobiegał spod ziemi. Jakby w samym piekle niemowlęciu zachciało się jeść.

Mężczyźni, którzy przed chwilą za pomocą liny odsuwali kawał ściany, również zwrócili na to uwagę. Nasłuchując, najciszej, jak mogli, ruszyli w moją stronę.

Nagle ponad płacz dziecka wzbił się czyjś podekscytowany głos. Zwieńczyło go dudnienie coraz szybciej odrzucanych z rumowiska cegieł. Jednej po drugiej.

Niemal na oślep.

– Mamy ją! Ostrożnie...

Dwóch chłopców z Reichsarbeitsdienst szarpało się z długą zasłoną, która posłużyła komuś za całun. Rozdarli ją i strzepnęli z niej resztki szkła.

Nagle zeszywniałem. Dreszcz spłynął mi wzdłuż kręgosłupa, mięśnie się napięły. Właśnie takie zasłony znajdowały się wzdłuż okien. Tych okien, przy których staliśmy w chwili, gdy podszedł do mnie kelner. Właściwie byliśmy tam jedyjni, cała reszta gości tłoczyła się pośrodku sali. Ja, Helena i zasłony.

Ja byłem tu, zasłona tam, a...

Kątem oka dostrzegłem oświetloną reflektorem brązową sukienkę.

Helena. Serce podeszło mi do gardła. Mało brakowało, a mógłbym je przełknąć. Potykając się, biegłem po gruzowisku. Nie obchodziło mnie, że wszystko się może zapaść i pogrzebać mnie żywcem. Przeskakiwałem po zarysie frontu, falistych liniach ścian, a wreszcie – po bezkształtnej mieszaninie wszystkiego. Wszystkiego, co teraz stało się niczym.

Mogłem w ten sposób miażdżyć rannych. Mogłem przebiec po twarzy dziecka, którego szloch słyszałem przed chwilą. Mogłem zablokować protezę pomiędzy odłamkami i stać się robakiem.

Nie obchodziło mnie to.

Dopadłem do ułożonej na porwanej zasłonie sylwetki i wstrzymałem oddech.

Helena.

Błada, umorusana pyłem, ale nigdzie nie dostrzegłem ran ani obrażeń. Oddychała. Odtrąciłem chłopca w mundurze Hitlerjugend i znowu na nią spojrzałem. Miała obrzmiałe, lekko rozchylone wargi. Z bliska dostrzegłem plamki krwi na zębach. Potrząsnąłem ją za ramię i jednocześnie ktoś chwycił za moje.

Potok niezrozumiałych słów rozlał się gdzieś nade mną.

Uklęknąłem i chciałem unieść jej głowę. Dłonią wyczułem lepką wilgoć. Włosy, które pogładziłem, poruszyły się nienaturalnie. Przesunąłem dłoń wzdłuż potylicy żony i dotknąłem jej karku. Dopiero wtedy dotarło do mnie, że gładzę szorstkie kręgi, a pod linią włosów i spomiędzy moich palców wycieka mózg.

To, co wziąłem za oddech, było jedynie żartem podrywającego suknię wiatru.

– Zabierzcie go. – Jeden z żołnierzy sztywnym krokiem ruszył w moją stronę. Pamiętam jego nalaną twarz, na której chciałem wyładować rozpacz.

Teraz rozumiecie? Jeżeli człowiek przeżyje coś takiego, już nigdy się nie zakocha. Miłość będzie zawsze miała dla niego zapach dymu i posmak pyłu znad gruzowiska. Dotyk drugiej osoby będzie przypominał dotyk pokrywanego lodowatym śniegiem gruzu albo lepkiego mózgu.

Nie mogłem się zdobyć na głębsze uczucie do Helgi. Dlatego odpowiadało mi, gdy przybierałem swoją pozę, a ona swoją, i stawaliśmy się Józefem oraz Margharitą. Wtedy wszystko było na swoim miejscu.

Przynajmniej do czasu.

## **PIĄTEK, 31 SIERPNIĄ 1951 R.**

### **GODZINA: 11:41**

### **SZCZECIN NIEBUSZEWO**

Niebuszewo, do 1945 roku Zabelsdorf, to stosunkowo niewielka dzielnica Szczecina. Przed wojną znajdowały się tam między innymi strategicznie istotne dla Rzeszy zakłady Stoewera, strzelnica i dwa duże browary. Po raz pierwszy to miejsce dotkliwie odczuło, czym jest wojna, w kwietniu 1944 roku. Prawie dwa i pół tysiąca alianckich bomb wywołało liczne pożary, obróciło w ruinę kilkadziesiąt domów i kamienic.

Cztery miesiące później całe miasto przekonało się, czym są naloty dywanowe. W nocy z siedemnastego na osiemnastego sierpnia dokładnie czterysta sześćdziesiąt jeden lancasterów w ciągu niewiele ponad dwudziestu minut opróżniło swoje luki. W jednej chwili kilkadziesiąt tysięcy osób straciło życie lub dach nad głową. Głowy za to straciło jedynie kilkunastu lotników amerykańskich i kanadyjskich.

Dwa tygodnie później nieusatysfakcjonowani rezultatem nalotu alianci postanowili dokonać poprawek. Kolejne tysiące ton bomb zapalających, burzących i penetrujących zrównało niektóre dzielnice Szczecina z ziemią. Wywołane pożary wysysały z powietrza tlen tak intensywnie, że wśród gruzów szalał prawdziwy huragan. Płomienie objęły nawet rozlaną na Odrze ropę, przez co rzeka przypominała dantejski Flegeton. Temperatury wśród ognistych przecznic sięgały tych osiągniętych w piecach hutniczych. Ludzie wręcz wyparowywali. Zniszczone zostało ponad dziewięćdziesiąt procent staromiejskiej zabudowy. Przez kolejne tygodnie żołnierze musieli odgrodzić cały ten rejon, gdyż tysiące niewydobytych trupów groziło wybuchem epidemii. A na wydobywanie nie było ani ludzi, ani sprzętu, ani czasu. Poza tym brakowało miejsca, by wszystkich pochować. Nikt władny nie zamierzał natomiast marnować materiałów łatwopalnych, by wznieść stosy pogrzebowe. Letnie upały miały sprzyjać szybkiemu rozkładowi.

Niemal dokładnie siedem lat po tamtych bombardowaniach większość ruin zostało już uprzątniętych. Puste kwartały przypominały o dawnej zabudowie, a pospiesznie wznoszone bloki powstawały na świeżych cmentarzyskach. Życie wyrastało na życiu minionym. Taka jest odwieczna kolej rzeczy. Śmierć, narodziny i znowu śmierć.

Przy czym śmierć zawsze wygrywa.

Wakacje dobiegały końca, był ciepły letni dzień i mnóstwo dzieci bawiło się na ulicach i w podwórzach. Trzech chłopców wyrwało się na nieco dłuższy spacer, na północ w stronę cmentarza Bredower Friedhof, który miał wkrótce ponoć stać się parkiem. Nawet cmentarze umierały.

Pośród wyrównanego terenu po prawej stronie wznosiła się pojedyncza, nadpalona kamienica. Teren ten szykowano pod budowę, w rogu placu pojawiły się pierwsze baraki robotnicze oraz maszyny. Trzy bloki miały tworzyć południową granicę nowo powstającego osiedla. Ktoś przeforsował pomysł, że uszkodzony budynek będzie dobrym źródłem ewentualnego zapasowego budulca. Nikt nie zaprotestował. Po przedwojennych właścicielach już dawno słuch zaginał.

Najstarszy z chłopców, szczupły jak patyk brunet, wskazał na zabezpieczoną kilkoma deskami bramę.

– Nie ma mowy – uprzedził go ostrzyżony na jeża krępy malec. – Nie idziemy tam.

– No, chodźcie.

– Antek, wracaj! Mama...

– Mama teraz niczego nie widzi. Zobaczymy, co tam jest, i wrócimy. Mieliliśmy być na obiad, to będziemy.

Pozostała dwójka, chcąc nie chcąc, podążyła za Antkiem. Chłopcy bez trudu przeszli między deskami i znaleźli się na niewielkim podwórzu. Dawniej kamienica otaczała je z czterech stron, teraz budynek znajdował się jedynie od frontu. Resztę jej skrzydeł zastąpiły ziejące pustką okien ściany. W niektórych miejscach sterczały jeszcze resztki podłóg i stropów.

Antek wszedł na klatkę schodową. Przez zabite deskami otwory do środka wpadało dość światła, by dostrzec schody i rozróżnić wzory na zniszczonej tapecie. Na piętrze okno nie było już zakryte, a mieszkania stały otworem. Od dawna nie było w nich ani jednej rzeczy, którą można by wymienić choćby na wódkę lub papierosy.



Bacznie się rozglądając, chłopcy przeszli do pełnego śmieci przedpokoju. Na podłodze poniewierało się mnóstwo papierów, w kącie stało przewrócone na bok i połamane łóżko, a dalej leżało stłuczone lustro. Ogólnego chaosu dopełniały pojedyncze sterczące z podłogi deski.

– Wracajmy – szepnął najmłodszy z chłopców. – Nie ma tu niczego ciekawego.

– Właśnie, że jest.

– Antek...

Antek żołnierskim krokiem wyminął resztę i przemaszerował przez główne pomieszczenie mieszkania. Cuchnęło w nim wilgocią. Na szarym suficie rozlewały się zielone wykwity pleśni i grzyba.

Chłopiec zatrzymał się w rogu pokoju, tuż obok wyrwanych z futryn dwuskrzydłowych drzwi.

– Patrzcie!

Przed nim stała metalowa, zardzewiała beczka na smołę. Miała pogięte boki i mocno wciśnięte wieko.

– Zostaw ją.

– Będzie można się turlać! Pomóżcie mi.

– To nie nasze. – Ostrzyżony na jeża malec zatrzymał się w progu pomieszczenia.

– A niby czyje? Kto miałby to wziąć?

– Po prostu...

– Po prostu się boicie.

– Wcale nie – zaprotestował najmłodszy. Po chwili podszedł do beczki i zapukał w nią. Metaliczny odgłos poniósł się echem po pustych pomieszczeniach.

– No, pomóżcie mi. Nie bądźcie frajerami.

Antek chwycił za rant. Z całej siły starał się, by beczka się przewróciła. Była ciężka, więc musiał włożyć w to sporo siły.

– Rozbujajmy ją.

Dwaj chłopcy przyciągnęli beczkę do siebie, a następnie ją puścili. Po dwóch nieudanych próbach dołączył do nich ostrzyżony na jeża malec. Wspólnymi siłami pchnęli beczkę na ścianę, od której się odbiła, zatoczyła piruet i z hukiem wylądowała na boku. Przetoczyła się kilka metrów. Antek natychmiast pobiegł za nią i z impetem ją kopnął. Beczka nabrała

rozpędu i podskakiwała na rupieciach. Wreszcie uderzyła o mur, a jej metalowe wieko odpadło.

Ze środka wysunął się kobiecy korpus. Nieco zakrwawiony, z białymi kośćmi oplecionymi resztką mięśni i porcelanowej skóry. Całkiem świeży, nietknięty procesami gnilnymi. Mimo przeszło dwudziestu stopni zwłoki jeszcze nie śmierdziały.

# **ŚRODA, 2 PAŹDZIERNIKA 1946 R.**

## **GODZINA: 5:27**

### **SZCZECIN NIEBUSZEWO**

Biegłem tak szybko, jak tylko mogłem. Właściwie pełzłem ile sił w nodze, kikucie i protezie. Po raz kolejny w życiu wiedziałem, że stało się coś strasznego, ale nie miałem pojęcia co. Przeczucie tłoczyło w moje żyły krew i ciągnęło za ramię do przodu. Potykałem się, a proteza co kilka kroków żałośnie trzeszczała. Rzemienie wbijały się w zablizniony kikut. Od mieszkania dzielił mnie co najwyżej kilometr.

Brakowało mi tchu. Co rusz przytrzymywałem się ścian mijanych kamienic albo odpychałem od latarni. Było ciemno, na ulicach nie pojawili się jeszcze przechodnie. Gdzieś w oddali przetoczył się grzmot przejeżdżającego tramwaju.

Dyszałem.

Z trudem łapałem oddech, ale nie pozwalałem sobie na odpoczynek. Czułem, że wokół mocowania protezy zebrała się wilgoć. Łzy potu lub krwi ściekały ku ulicy. Być może zostawiałem za sobą ślady.

Każdy kolejny krok wymagał coraz większego wysiłku. Wyobraźcie sobie, że biegniecie boszi na szrudłach, których uchwyt zrobiony jest z papieru ściernego. Zataczałem się z bólu.

Gdy płuca niemal przylepiły mi się do gardła, dostrzegłem tłum ludzi. Zebrani obok wejścia do naszej kamienicy cicho rozmawiali. Kilku mężczyzn paliło papierosy, a jakaś damulka ścigała trzymanego na smyczy wielkiego charta. Pies groźnie warczał.

– Co się stało? – rzuciłem w tłum.

Gruby sześćdziesięciolatek wbił we mnie puste spojrzenie. Poprawił wciśnięty na głowę kapelusz i odwrócił się do bramy. W tym samym momencie drzwi skrzypnęły i w wąskiej furcie zamajaczyły cienie. Dwóch noszowych wynosiło właśnie okryte prześcieradłem ciało. Poruszali się

szybko i sprawnie. Kiedy mnie mijali, zwolnili, by obrócić się w stronę porzuczonej furgonetki. Podwinięty róg prześcieradła odsłaniał fragment brązowej sukni i czarnego bucika na grubej podeszwie.

– Jezu... – Przyłożyłem dłoń do ust.

Jeden z noszowych wolną ręką otworzył tylne drzwi pojazdu. Mary uniesiono i wtedy płótno się zsunęło, a ja dostrzegłem wykrzywioną bólem twarz Heleny. Moja nieżyjąca od dwóch lat żona przypominała ofiarę najgorszych eksperymentów medycznych. Poznaczona rzędami szwów twarz, otwarte rany policzków, wylupione oko i nienaturalnie rozszerzone nozdrza. Z rozchylnych ust zionęła pustka. Nie miała ani warg, ani języka.

Wrzasnąłem.

Krzyk zamienił się w charkot, a charkot w regularne dudnienie. Otworzyłem oczy i po sekundzie lub dwóch zrozumiałem, że to był tylko koszmar. Cholerny koszmar, który przyprawił mnie o łomotanie serca. Koszulę miałem mokrą od potu, a usta wysuszone na wiór.

Czasem człowiek wyczuwa niebezpieczeństwo przez sen. Ta myśl pojawiła się zupełnie niespodziewanie. Przez ostatnie tygodnie przyzwyczailem się już do najgorszych koszmarów i przy łóżku stawiałem nawet kubek z zaczerpniętą wieczorem wodą. Sięgnąłem po niego niemal po omacku.

Ale ta myśl...

Kątem oka zauważyłem, że Margharita nerwowo się porusza. Ona też właśnie wybudziła się ze snu.

Po ślubie nasza miłość, w tym ta fizyczna, szybko się wypaliła. Rozumiecie, o czym mówię? Posiadłem kobietę, którą setki mężczyzn posiadało wcześniej na wszelkie możliwe sposoby. Poza tym jednym. Przysięgą. To była druga myśl, która przytłaczała mnie każdego poranka. Wszystkie wcześniejsze konstrukcje logiczne wydawały się idiotyczne. Te o nazwisku, podporządkowaniu, zdobyciu i zrozumieniu. Niczego nie zdobyłem ani niczego nie osiągnąłem. Nadal byłem marnym robakiem.

Do tego wciąż w moich koszmarach pojawiała się Helena.

Dudnienie się powtórzyło.

To nie był element snu! Margharita rozbudziła się i zatrzepotała powiekami. Nie czekając na kolejny łoskot, wyskoczyłem z łóżka i włożyłem

spodnie. Wspierając się o lasce, ruszyłem w stronę drzwi. Lekko się zataczałem, ale to z powodu zaspania. Tym razem byłem zupełnie trzeźwy.

Może całkowicie niepotrzebnie. Picie przynajmniej pozwalało się oderwać od koszmaru jawy.

Kiedy sięgałem do zamka, wyraźnie usłyszałem krzyki. Zamarłem w pół ruchu i niemal przyłożyłem usta do drzwi.

– Kto tam?! – wrzasnałem, tłumiąc niepokój.

– Milicja! Otwierać!

Kolejne pukanie niosło ze sobą łomot uderzeń kolb karabinowych. Od razu przypomniałem sobie dzień, w którym spotkałem mysiowłosa dziewczynkę.

Mimo to pospiesznie odsunąłem zasuwę i nacisnąłem klamkę.

Margarita stanęła obok mnie. Opatuliła się kocem i oparła się na moim ramieniu. W progu naszego mieszkania stało dwóch młodych milicjantów. Od razu dostrzegłem skórzany but, który wyuczonym ruchem znalazł się tuż przy framudze. Na wypadek, gdybym przypadkiem próbował zatrzaskać drzwi.

Wzrok starszego, może trzydziestoletniego mundurowego od razu powędrował ku mojej żonie. Gówniarz miał niewielki wąsik i małe, przepite oczka. Był niższy ode mnie. Gdyby podszedł bliżej, z pewnością wyczułbym smród łąjna i siana. Pieprzony parobek, któremu wydaje się, że złapał Pana Boga za nogi.

– Helga Cyppek? – zapytał szorstko, plując przy wymawianiu podwójnego „p”.

Margarita skinęła głową.

– Mogę zobaczyć jakiś dokument?

– Chwileczkę.

Moja żona poszła w głąb mieszkania, a milicjant podążył za nią. Przeszedł obok mnie, jakbym w ogóle nie istniał. Nic. Po prostu ludzkie gówno. Zero.

– Dowiem się, o co chodzi?

Starałem się opanować. Nie chciałem kłopotów ani tracenia zbędnej energii. Ale, do jasnej cholery, byliśmy w moim domu.

Margarita odnalazła wreszcie dokumenty i pokazała je milicjantowi. Ten powoli obrócił je w dłoni. Po chwili zerknął w stronę drugiego

funkcjonariusza. Wymienili porozumiewawcze spojrzenia, a ja już wiedziałem, co się zaraz wydarzy.

– Proszę z nami.

Gnojek z wąsikami chwycił moją żonę pod ramię. Tego było za wiele. Zrobiłem krok w stronę szafki, w której trzymałem narzędzia. Śrubokręty, młotki, pordzewiałą piłę i całe mnóstwo innych dupereli, które czasem mogły się przydać. W jednej chwili mógłbym zabić obu emowców. Musiałem tylko zrobić to szybko. Bez zawahania.

Wychodząc, milicjant prowadzący Margharitę umyślnie lekko mnie pchnął, tak że na moment straciłem równowagę. Bez protezy moje ruchy były niezdarne. Oparłem się o blat szafki i chwyciłem metalowy uchwyt.

Wtedy moja żona się odwróciła. Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Wiedziałem, że w tamtym momencie stała się Helgą i nie potrzebowała pomocy. Dawała mi znać, że bym w nic się nie mieszał.

Stałem bezradnie, wsparty o szafkę i rozeschniętą laskę, a do tego kompletnie nie wiedziałem, co robić. Czułem się gorzej niż robal. Byłem cuchnącym powietrzem, którym nikt nie chce oddychać.

I po raz kolejny w życiu zostałem sam.

## **CZWARTEK, 2 STYCZNIA 1947 R. SZCZECIN**

Wielkie litery krzyczą nie tylko na papierze, lecz także w mojej głowie.

*NA PRZEŁOMIE. Sprawa niemiecka jest czymś więcej jak zagadnieniem naszej polityki zagranicznej. Powszechna niemal jest świadomość, że rozwój losów Niemiec wpływa istotnie na nasz byt narodowy.*

Nieco niżej nagłówek:

*107 czy 1000 – gdzie jest granica? 6. dzień rozprawy przeciwko niemieckim zbrodniarzom wojennym. Prokurator Sawicki zbija oświadczenia oskarżonego Meissingera, jakoby nie był członkiem SS.*

Wczorajszy „Kurier Szczeciński” ciągle wałkował to samo. Wystarczył rzut oka na pierwszą stronę, żeby odpuścić sobie dalszą lekturę. Szkoda czasu. Szkoda pięciu złotych i nerwów. W Józefie Cyppku wciąż tkwi Joseph Zyppeck. I na odwrót. Czasem już nie wiem, który jest który i kiedy zamieniają się miejscami. Zaczynam wariować.

„Tak, tak, te niemieckie świnię...” – mówię na głos. W tym samym czasie myślę o pieprzonych polaczkach, którzy pracują ze mną w zajezdni. Ćwierćinteligenci, przyjechali do miasta z zabitych dechami wsi z Kresów Wschodnich. Śmierdzący, próżni i głośni.

Choć może to ja zrobiłem się wymagający.

Od równo trzech miesięcy nie miałem żadnej informacji od Margharity. Nic. Odkąd gnojek z wąsikiem wyprowadził ją z mieszkania, nie dostałem żadnego listu, zawiadomienia ani choćby urzędowego świstka. Po prostu została wykreślona z mojego życia.

Dwa razy chodziłem na komendę i dowiedziałem się, że rzeczywiście

została aresztowana. Jakbym się tego nie domyślił. Łaskawie wytłumaczono mi, że pozbawiono ją także prawa widzenia z najbliższymi. Nie poinformowano mnie jednak, gdzie jest, o co ją oskarżono ani kiedy odbędzie się rozprawa. Jakby gównu miało mnie to obchodzić.

W końcu zlitował się nade mną tłusty jak proszę sierżant w wygniecionym mundurze i z większą liczbą dziur niż zębów. Palił papierosa, nie przejmując się tym, że popiół spadał na biurko i sterty papierów. Przez chwilę czegoś szukał, aż wreszcie spojrzał na mnie z wyrzutem.

„Stręczycielstwo i sutenerstwo to poważne przestępstwa przeciwko systemowi”.

Nie powiedział, że właśnie o nie oskarżono Margharitę. Właściwie nie powiedział niczego więcej. Wymownie zamknął teczkę i dogasił papieros. Oparł łokcie na blacie biurka i pochylił się do przodu. Pokręcił nerwowo głową.

Podziękowałem mu, sam nie wiem za co, i wyszedłem z tego śmierdzącego dymem pokoju. Chciałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Chciałem zapomnieć o tym spojrzeniu.

„Oto mąż dziwki i burdelmamy. Ciekawy przypadek. Kuternoga, który nie mógł znaleźć nikogo innego”.

Przez kilka kolejnych dni, a może parę tygodni, byłem diabelnie przybity. Nie miałem ochoty jeść, nie miałem ochoty żyć. Chodziłem do zajezdni, odwaląłem swoje i wracałem. Jeżeli nie było takiej potrzeby, nie zamieniałem z nikim choćby słowa. Jednocześnie bez przerwy prowadziłem wewnętrzny dialog Józefa z Josephem. Obwinałem się, przepraszałem, a wreszcie, za każdym razem, starałem się sobie wybaczyć.

Potem przyszło uspokojenie. Kilka dni ciszy i zapomnienia. Nie pamiętam, czy miał z tym związek alkohol, czy coś zupełnie innego. Parę dni zostało wyciętych z mojej świadomości i nie wiem, co się wtedy działo.

Świat nieustannie się kręci, ale tkwi wciąż w jednym miejscu. Po pechu przychodzi fart.

Niespodziewanie dostałem przydział mieszkania. To było jak prezent pod choinkę, jak zaserwowane przez los zadośćuczynienie. Pan Bóg poklepał mnie po plecach i szczerze przeprosił. Zapatrzył się na inny fragment wszechświata i przegapił to, jak wiele wycierpiałem.



Przynajmniej przez bardzo krótki czas takie miałem wrażenie.

Wilsona siedem przez trzy. Zapamiętajcie ten adres i omijajcie go szerokim łukiem. Wierzę, że pewne miejsca są zwyczajnie przeklęte albo po prostu tkwi w nich coś złego. Energia, diabeł, niefortunny styk płyt tektonicznych. Wybierzcie, co wam pasuje najbardziej.

To nie był fart, ale kolejna w moim życiu przymusowa zsyłka. Taka jest prawda. Do parszywej dzielnicy, parszywego miasta i w parszywych czasach.

Na dodatek wtedy na dobre wpadłem w parszywe towarzystwo. Choć wszystko, co najgorsze, ciągle było przede mną.

**SOBOTA, 8 MARCA 1947 R.**  
**GODZINA: 21:19**  
**UL. WILSONA 7/3**

Prawdziwe odreagowanie przyszło po kolejnych kilku miesiącach.

Kojarzycie ten moment, kiedy wlaście w siebie tyle alkoholu, że nie możecie już ustać w miejscu? Wewnętrzny głos każe wam się poruszać, a ktoś ciągnie za sznurki, jakbyście byli jedynie marionetką w rękach losu. Pomyślcie teraz, jak wygląda w takim stanie ktoś, kto zamiast jednej nogi ma drewnianą pałkę. O kimś, u kogo za staw robi skórzany rzemień i wyślizgany kawał metalu.

Teraz pomyślcie, że ten ktoś usiłuje tańczyć. Przypomina przy tym zataczającego się epileptyka. Albo jeszcze gorzej. Tylko co może być gorszego, co bylibyście sobie w stanie wyobrazić? Epileptyka poddanego terapii elektrowstrząsowej? Eee... Ostatnio się o tym wiele mówiło, ale zapewniam was, że przepuszczenie przez ludzki mózg prądu, nawet w połączeniu z tym, co lekarze nazywają lobotomią, to nic ciekawego.

Psuje się jedynie smak podrobów.

Wracając do tańca. Jeżeli już to wszystko sobie wyobraziliście, pomyślcie, że w takim stanie na paru metrach kwadratowych własnego lokum wywijałem z trzema osobami. Pierwszą była Johanna. Lat około pięćdziesięciu, zniszczona życiem jak cała reszta. Pulchna, ale nie gruba, z piersiami wielkimi jak dojrzałe dynie i pośladkami wypychającymi tandetną sukienkę. Oczy miała ciemne, usta wąskie, włosy długie, zebrane do tyłu. Zawód wykonywany: handlarka mięsem. To całkiem istotne, więc warto zapamiętać.

Moim drugim kompanem był Günter. Rzeźnik i okrutny opój, który raczył wszystkich sprośnymi dowcipami, a którego głos przypominał sapanie przejeżdżającej lokomotywy. I nie. Wcale nie był tłusty. Miał prawie dwa metry wzrostu, orli nos i całkowity brak koordynacji ruchowej. Aż dziw, że

szlachtując mięso, nie wbijał sobie tasaka w tył głowy.

Za to Hans był niski i zwinny. Szczupły, drobny jak dziewczyna i wiecznie pobudzony. W każdym jego ruchu drzemały emocje. Nerwowo rozglądał się wokół, jakby w każdej chwili miała przyjść po niego milicja. Mogła to być pozostałość dawnych czasów lub naleciałość nowych. Z jednej strony wyglądał nieco jak Żyd, a z drugiej miał niefortunne imię. To są szczegóły składające się na wielką tragedię.

Wszyscy byliśmy Niemcami. Dlatego trzymaliśmy się razem i dlatego nie wybuchały między nami kłótnie. Poznaliśmy się, przyjęliśmy z bagażem problemów i dawnych grzechów. O nic nie pytaliśmy, nie chcieliśmy wiedzieć niczego poza tym, co się działo w naszych nowych życiach. Wiem tylko, że Johanna niegdyś również mieszkała w Opolu. Znała Margharitę. Poznaliśmy się jeszcze przed aresztowaniem mojej żony.

– Będzie jutro mięso? – pytaliśmy, gdy się przypadkiem spotkaliśmy.

– O ile dzisiaj wszystkiego nie wykupią – odpowiadała niezmiennie. – Ale cośkolwiek się znajdzie.

– Oby.

– Smalec za to będzie na pewno.

– Przynajmniej tyle. Będziemy dozgonnie wdzięczni.

I tak dwadzieścia albo trzydzieści razy, aż w końcu poznałem jej dwóch przyjaciół. Wkupiła mnie w ich łaski jako przyszłego stałego klienta i porządnego człowieka. Segregacja narodowościowa postępowała. Musieliśmy się trzymać razem. Kolejne tabory z Polakami niemal codziennie przybywały do miasta, a potem te same pociągi jechały dalej na zachód, pełne eksmitowanych Niemców. Obawiałem się, że w każdej chwili mogę stracić mieszkanie, więc nie traciłem żadnej okazji do zabawy.

– Napijmy się za Oppeln! – Johanna niemal przytknęła wargi do mojego policzka. Czułem jej ostry, alkoholowy oddech.

– To już Opole, moja droga.

– Może być i Cejlon.

– Ktoś mówił, że na Cejlonie zrą psy. – Günter zatoczył się i oparł na jedynym poza krzesłami meblu – prostokątnym, splekanym stole. – Wyobrażacie to sobie? Nawet kiedy przyszedł głód, nie tykało się szczurów i psów.

– Nie byłeś naprawdę głodny – wtrącił Hans.

– A ty?

– Co ja?

– Zeżarłeś kiedyś psa?

Hans opadł na krzesło i sięgnął po flaszkę. Od płasów miał czerwone policzki, ale poza tym był blady. Swoim zwyczajem rozejrzał się nerwowo wokół, jakby ktoś nas podsłuchiwał.

– Tak. – Skinął głową. – T-tak.

Jego odpowiedź zaciekała Johannę. Odkleiła się ode mnie, jej biust zafalował, pośladki zamiotły unoszący się w powietrzu kurz i w ułamku sekundy jej wielkie cielsko znalazło się przy Hansie.

– Jak smakował? – zapytała.

– Jak pierdolone życie. A wiesz, jak smakuje życie?

Pokręciła głową. Günter się zaśmiał i niespodziewanie klepnął mnie w ramię. Tanecznym krokiem podszedł do stołu i usiadł obok Hansa. Pociągnął potężny łyk spirytusu, po czym głośno chuchnął.

– No właśnie. Jak?

Hans uśmiechnął się wymownie. Był tak samo pijany jak ja, ale przynajmniej siedział. Ja, zataczając się od ściany do ściany, starałem się obrócić kierunek na stół. Czułem na sobie uważne spojrzenie Hansa. Przez chwilę obserwował właśnie mnie.

Nie mam pojęcia dlaczego.

– Życie smakuje obrzydliwie – mruknął wreszcie. – Jest żylaste, mdłe i cuchnie. Ale przynajmniej toczy się dalej. Dopóki jest, jest znośne. Na koniec zaczyna się psuć, gnić, a wreszcie zżerają je robaki.

Przez chwilę nikt się nie odezwał. Słysząc było jedynie rzeźący oddech Güntera i wiatr dudniący o szyby. Któraś z nich była pęknięta i brzęczała między szprosami.

Tego wieczoru ani trochę mi to nie przeszkadzało. Byłem rozgrzany tańcem i alkoholem, a przede wszystkim – tu i teraz. Nie liczyła się przeszłość ani przyszłość. Nie było Margharity ani Helgi. Nie było zagubionego chłopca ani myszowłosej dziewczynki. Nie było ognia, dymu, zapachu śmierci ani robaka.

Tylko nasza czwórka.

A w niej traktowano mnie wreszcie jak równego sobie.

Oto masarka, rzeźnik oraz znerwicowany właściciel budki z mięsem

i alkoholem na pobliskim bazarze spotkali się pod moim dachem.

Zależności między nimi są całkiem naturalne. Johanna przerabiała mięso, które poćwiartował Günter, a Hans zajmował się sprzedażą towaru. Przynajmniej tego legalnego. Drugie tyle Johanna chowała pod blatem rozkładanego na bazarze stoliczka. Łańcuszek, w którym brakuje jedynie stałego dostawcy produktu.

Jaką rolę odgrywałem tam ja?

Prawdę powiedziawszy – w tamtym momencie jeszcze żadną. Byłem jedynie pajacem, który wymachiwał swoim drewnianym ciałem ku radości pozostałych.

Ale przynajmniej na równych prawach. I to mi szalenie odpowiadało.

**PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY,  
7 KWIETNIA 1947 R.  
GODZINA: 10:27  
UL. WILSONA 7/3**

*Biją dzwony: ALLELUJA! ALLELUJA!*

Okładka „Kuriera Szczecińskiego” jak zwykle krzyczy. Tyle że tym razem kosztuje już 10 zł, choć, co prawda, to cena wraz z dodatkiem: *Zakochani w Pomorzu*. Ciekawe. Na środku strony kiczowata grafika ze zmartwychwstałym Chrystusem oraz otaczającymi go aniołkami. Aniołki grają na rozmaitych instrumentach i wpatrują się w swojego Pana.

Dobrze jest mieć wolne i czytać gazetę w świąteczny poniedziałek rano. Bez kaca, ale też bez wspomnień z ostatnich dwóch dni. Pamiętam jedynie, że rezurekcję oblewałem razem z Johanną i Hansem. Günter wyjechał gdzieś do rodziny. A może tylko tak mówił, żeby od nas odpocząć. To też prawdopodobne. Nikt nie zamierzał o nic pytać ani niczego oceniać.

Spędzaliśmy ostatnio mnóstwo czasu razem. Piliśmy niemal codziennie, niemal codziennie przegadywaliśmy ważne tematy i prawie codziennie zaklinaliśmy rzeczywistość. Jeżeli było zbyt późno na coś mocniejszego, to czasu zawsze starczało chociaż na piwo. Wypijaliśmy jedno lub dwa na rogu Cmentarza Majdańskiego. Ewentualnie na terenie nieodległych ogródków działkowych, gdzie zawsze ktoś się jeszcze dołączył. Wtedy z piwa lub dwóch robiło się coś mocniejszego, nawet jeżeli brak było czasu. Oto przyczyna i skutek.

W każdym razie w świąteczny poniedziałek nie miałem kaca. Nie miałem planów, obowiązków ani potrzeby wyjścia z mieszkania. Leżałem okryty podartym kocem, przez okno wpadało słońce, a wiatr niezmiennie telepał ukruszonym kawałkiem szyby.

Starałem się nie zwracać na to uwagi.

Starałem się skupić na czymś innym.

Wygładziłem dłonią gazetę i oparłem ją o ścianę. Tekst nieco mi się mienił, litery były małe, a moje oczy – coraz słabsze. Kaleka w jednej ósmej ciągle ewoluował. Przepoczwarzał się w kalekę wyższego rzędu, ale gorszego sortu człowieka.

*Dzisiaj myśli wszystkich Polaków łączy mocne pragnienie, by nastał prawdziwy Pokój, który by przekreślił raz na zawsze możliwość takich tragedii, które niedawno przeżyliśmy.*

A parę zdań dalej znowu szczucie na Niemców. Jak my was, tak wy nas i jeszcze raz na odwrót.

Przewróciłem stronę i wsłuchałem się w odległy krzyk dzieci. Na tyle piskliwy, by przyprawić o mdłości. Rozpoczął się już sezon beztróskiego szaleństwa, biegania po okolicznych podwórkach i lania się wodą. Darcia się i cieszenia nie wiadomo z jakiego powodu. Jakby nie pamiętali, co się działo przed dwoma laty. Jakby potrafili zapomnieć i wypiąć się na tych rówieśników, którzy nie dotrwali. Którzy zostali zasypani paroma łopatami ziemi.

Złościło mnie to. Albo jedynie szukałem rozsądnego pretekstu.

Obróciłem się tak, by mieć więcej światła. Kamienica była ciemna i fatalnie położona. Właściwie do południa tylko teoretycznie wiedziałem, że na dworze jest jasno, bo w środku panował półmrok. Bez wychodzenia z mieszkania nie widywałem słońca. Nie żebym go specjalnie potrzebował, ale... Słońce zawsze pozwala się skupić na czymś przyjemnym. Lubię, gdy świeci w twarz i nagrzewa skórę. Lubię zapach wysuszonych na nim ubrań.

Znowu pisk dzieci.

Nerwowo przerzuciłem stronę i obróciłem się na brzuch. To była dobra pozycja, żeby stłumić pierwszy głód. Co chwilę głośno przełykałem ślinę. W ten sposób oszukiwałem spragniony jedzenia mózg.

Nie wiem, skąd moja pasja do przeglądania gazet z poprzedniego dnia. Może dlatego, że miałem je za darmo, a może dlatego, że nie interesowało mnie to, co się działo na bieżąco. Z taką samą przyjemnością czytałem o Wielkanocy w świąteczny poniedziałek, jakbym miał to robić poprzedniego dnia. Co za różnica? Gdyby świat się wczoraj zawalił,

wiedziałbym o tym.

Cholerne dzieciaki całą zgrają przechadzały się gdzieś koło moich okien. Widziałem ich cienie i słyszałem drażniące głosy. Piski doskonale zlewały się z brzęczeniem szyby. Rezonowały. Wprawiały ją w jeszcze intensywniejsze wibracje.

*Scheisse!*

Cisnąłem gazetę na środek pokoju i zerwałem się z łóżka. Nie miałem czasu zakładać protezy, więc chwyciłem laskę. Poruszałem się z nią bardzo niezgrabnie. Przekuśtykałem przez pokój i wypadłem na dwór. Nie przeszkadzało mi, że temperatura nie przekraczała piętnastu stopni, byłem kompletnie nagi, a grupa sąsiadów rozmawiała przy głównej ulicy.

Gówniarze ganiłi się tuż przy drzwiach. Na mój widok stanęli jak wryci. Zamurowało ich. Zauważyłem, że spojrzenie jednego z nich wędruje ku mojemu kikutowi.

Nie potrafiłem pokonać wściekłości.

Nieprawda.

Ja wcale nie chciałem jej pokonać.

Błyskawicznie dopadłem do chłopca i zamachnąłem się laską. Ze świstem przecięła powietrze tuż obok jego głowy. Gdyby się nie uchylił, roztrzaskałbym mu tę krzywą buźkę na kawałki. Rozwaliłbym mu czaszkę i odsłonił mózg. Mógłbym rzucić jego truchło w gruzy. Mógłbym je zakopać.

Zamiast tego straciłem równowagę i musiałem się wesprzeć o załom muru. Niemal upadłem. Ciężko dyszałem, ale od razu poczułem się lepiej. Obserwowałem, jak banda pieprzonych gówniarzy ucieka na oślep. Nawet jako kaleka wzbudzałem w nich strach i bardzo mi się to podobało.

Jeszcze przed chwilą byli tak żałośnie radośni.

I wcale nie chodziło o brzęczenie nadkruszonej szyby. Każdy ich krzyk przypominał mi wesołe przekrzykiwania moich synów. Wtedy nienawidziłem już dzieci. Ale miałem do tego pełne prawo i nie zamierzałem pozwolić się torturować.

Był to wybuch furii numer dwa. A słusznie mówią, że do trzech razy sztuka.



**17 STYCZNIA 1945 R.**

**GODZINA: 16:58**

**OPPELN**

Nie pamiętam momentu, w którym mój młodszy syn zamienił mundurek Reichsarbeitsdienstu na mundur Wehrmachtu. Franz jak zawsze był skupiony na kalkulacji. W pewnym jednak momencie ręka państwa sięgnęła również po niego. Tak mi się zdaje, bo po śmierci Ottona wołałem, aby uniknął służby.

Przez kilka miesięcy po tym, jak pochowaliśmy jego matkę, Franz pracował jako listonosz. Chyba nigdy nie otrząsnął się z szoku i wkrótce skierowano go na badania. Wydaje mi się, że zrobił krzywdę jakiemuś współpracownikowi. Albo okaleczył psa któregoś z ważniaków. Co za różnica. I tak później wzięli go do wojska.

Wiem, że potem usiłował się zabić.

Wtedy sam również tkwiłem pomiędzy życiem a śmiercią. Podobnie jak kilka lat później, miałem okres parutygodniowego istnienia. Istnieniem nazywam stan, w którym nic nie ma znaczenia. Jedzenie, mycie, spanie albo niespanie, miłość, alkohol, muzyka, seks – to wszystko jest nieważne. Istnieje się, bo śmierć również nie wydaje się interesująca. Czeka się na nią, ale nie zamierza niczego pospieszać. Wie się, że kres po prostu przyjdzie.

Kiedyś.

Niespodziewanie.

Tamtego lodowatego popołudnia wyszedłem się przejść. Po prostu musiałem zaczerpnąć świeżego powietrza. Włożyłem najgrubszy płaszcz, wełniane spodnie i najmniej rozpadające się z moich butów. Gdy nie ma się nogi, śmieszne jest to, że nadal odczuwa się na niej zimno. Tak jakby drewniany kikut w czasie mrozu jednoczył się z ciałem. Kiedy jednak się na tym skoncentrować, uczucie zimna znika. Nagle jest tam już tylko pustka.

Nie wiem zresztą, co lepsze.

W każdym razie postanowiłem maszerować bez celu, choć z nadzieją zahaczenia o któreś z kin. Dawniej, jeżeli tylko udało mi się odłożyć parę groszy, chadzałem na projekcje filmowe do hotelu Forms. Z biegiem lat Forms stawał się jednak coraz bardziej ekskluzywny, podnoszono ceny, ale nie szła za nimi poprawa jakości obrazu. A obraz jest przecież najistotniejszy.

Przez pewien czas dobrą sławą cieszył się Metropol Theater, wyposażony w nowocześniejszy sprzęt, a przede wszystkim oferujący bogaty wybór kilku produkcji. To właśnie w Metropolu obejrzałem pierwszy film dźwiękowy. Od wybuchu wojny we wszystkich kinach niemal codziennie relacjonowano sytuację na froncie, a dobre produkcje zastąpiła propagandowa szmira. Nie przeszkadzała mi, ale na Boga, czemu znalazła się na pierwszym miejscu? Mogłem pisywać do Ottona, że mi się podoba, ale to było wierutne kłamstwo. Nigdy sobie nie wybaczę, że go w tym okłamałem... Nigdy nie chciałem oszukać synów.

Tymczasem kino w hotelu Forms zmieniło nazwę na UFA. Za cholerę nie wiem, czy był to skrót, inicjały właściciela, czy czyjaś fantazja. Metropol zamknięto na skutek awarii generatora prądu albo czegoś podobnego pod koniec czterdziestego czwartego, UFA bodaj kilka dni później i pozostało jedynie kino Piastowskie.

Kiedy wreszcie zziębnięty stanąłem przed wejściem, powitała mnie mała tabliczka z wielkimi literami: WSZELKIE POKAZY ODWOŁANE. Okrzyk równie donośny jak te w gazetach.

Przez chwilę stałem, spoglądając na zdobione drzwi, ale nie wydarzył się żaden cud. Nie stanął w nich bileter, nikt nie ściągnął tabliczki, a w sali obok nie zafurkotał projektor.

Niech to szlag.

Zamiast tego z megafonów rozbrzmiał niosący grozę komunikat.

„Nakazuje się, by miasto opuściły kobiety, dzieci i chorzy. Na dworzec podstawione zostaną specjalne pociągi. Każdy ma prawo zabrać ze sobą bagaż, który zdoła unieść. Nakazuje się, by miasto opuściły kobiety, dzieci i chorzy...”

Rozejrzałem się wokół. Kilka osób, które przemykały przy kamienicach, nagle przyspieszyło kroku. Zupełnie jakby lada moment miały nadlecieć

alianckie bombowce i zrównać miasto z ziemią. Tchórze.

Pewne było, że bolszewicy nadchodzili. W ostatnich dniach dużo mówiło się o czerwonoarmijcach. O tym, że gwałcą wszystkie kobiety bez względu na wiek. Mieli tak samo traktować trzy- i osiemdziesięcioletnie. Wchodzili do domów i po prostu kazali rozkładać nogi. Albo bawili się w wycinanie płodów z brzuchów ciężarnych. Inną ich rozrywką było zmuszanie kobiet do służenia za żywe toalety. Całe oddziały oddawały na nie swoje potrzeby fizjologiczne.

Tak było. To była nasza hekatomba i wołałem już śmierć w alianckim nalocie. Przynajmniej historia zatoczyłaby koło.

„Nakazuje się, by miasto opuściły kobiety, dzieci i chorzy...”

Zawróciłem w stronę domu. Mijałem zgarbionych, niepewnych ludzi. Nikt nie rozmawiał, nikt nie przystawał, żeby chociaż uścisnąć czyjąś dłoń. Spojrzenia wszystkich były wbite w ziemię. Puste i przerażone.

Pierwszego żołnierza dostrzegłem dopiero przed bramą do mojej kamienicy. Trzymał się prosto, ale przestępował z nogi na nogę. Starał się rozgrzać, zacierając dłonie. Jednocześnie rozglądał się wokół, jakby w każdej chwili spodziewał się najgorszego. Gdy byłem kilkanaście metrów od niego, uniósł rękę.

Dopiero wtedy poznałem, że to Franz. Syn wyszedł mi naprzeciw i nagle się zatrzymał. Z odległości dwu kroków widziałem jego stężałą twarz. Mięśnie obkurczyły się i zastygły. Nos sprawiał wrażenie cieńszego, oczy – mniejszych, a policzki – zapadniętych.

– Wysyłają mnie na pierwszą linię.

Powiedział to całkowicie beznamiętnie. Jego struny głosowe również musiały zlodowacieć. Bezwiednie przyłożyłem dłoń do podbródka i zaczerpnąłem tchu.

– Nie możesz z tym nic zrobić?

Wzruszył ramionami.

– Chyba nie.

– Nie próbujesz?

– A co za różnica? Otto też nie próbował.

– Otto nie żyje! – Chwyciłem go za rękaw płaszcza, ale wywinął się. – Chcesz pójść w jego ślady?

– A ty żyjesz? – zapytał hardo. – Przez pół roku nie było z tobą kontaktu.

Co za różnica!

– Teraz jest lepiej.

– Lepiej? Naprawdę?

Uśmiechnął się ironicznie, a ja miałem ochotę go uderzyć. Bóg mi świadkiem, że nie wiem dlaczego.

– Tak. – Pokiwałem z przekonaniem głową. Czułem, że proteza uciska mnie mocniej niż zwykle. – Do cholery, nie chcę, żebyś szedł na pierwszą linię.

– Taki dostałem rozkaz. Przyszedłem się pożegnać. Za kwadrans muszę być w jednostce, bo nie wiem, jak długo czekam tu bezproduktywnie.

– Byłem na spacerze.

Zaśmiał się. Maskę na jego twarzy zniknęła i dostrzegłem, że do oczu napłynęły mu łzy. Wynik kalkulacji musiał być ujemny. A ja nie miałem pojęcia, jak mógłbym go pocieszyć. Przerazenie i rozpacz zacisnęły mi gardło.

Najchętniej przytuliłbym go jak za dawnych lat i zabronił się ruszać z domu. Nie mogłem go stracić. Był wszystkim, co miałem, i wszystkim, z czym wiązałem przyszłość. Jakakolwiek miała się okazać. Do tego stanowił jedyną żywą pamiątkę po Helenie. Obserwując jego ruchy, widziałem swoją zmarłą żonę.

Boże... Ledwie powstrzymałem szloch.

– Chcesz tak po prostu powiedzieć: do zobaczenia? – zapytałem, postępując w jego stronę.

Franz wyciągnął przed siebie ręce, jakby chciał mnie odepchnąć.

– Nie. – Pokręcił ponuro głową. – Nie zamierzam się żegnać i mówić „do zobaczenia”. Widzimy się ostatni raz. Przynajmniej w tym świecie.

– O czym ty mówisz?

Chwycił pistolet maszynowy i przez chwilę we mnie celował. Zatrzymałem się, wsparty na protezie. Przez kilka sekund mierzyliśmy się wzrokiem, a ja nie miałem pojęcia, co powiedzieć. Nie wiedziałem, co się dzieje. Nagle mój syn odbezpieczył broń i obrócił ją w swoją stronę.

Krótką serią rozorała jego wojskowy płaszcz na wysokości serca.

– Franz!

Runąłem obok niego jak długi. Nie poślizgnąłem się. Po prostu coś zacisnęło moje trzewia i rzuciło mnie do przodu. Straciłem dech, patrząc,

jak z mojego dziecka ulatuje życie. Przez kilka sekund syn spoglądał na mnie pustym wzrokiem i bezradnie trzepotał dłońmi. Przebierał nimi w powietrzu, jakby chciał wzbić się w niebo.

– Franz...

Nie odpowiedział.

Czy właśnie wtedy stałem się tym, kim jestem? Po raz pierwszy zostałem sam i nic już nie miało znaczenia. Świat, obyczaje, prawo, ustrój społeczny, moralność... To były tylko puste frazesy.

Samobójstwo Franza było jedynie zimną kalkulacją. Przynajmniej po latach doszedłem do tego wniosku. Kilkanaście godzin później poznałem jednak Eryka. Biednego chłopca, który podczas ewakuacji rozłączył się z rodzicami...

I którego bez wyrzutów sumienia porzuciłem w piwnicy jednej z kamienic.

**WTOREK, 22 KWIETNIA 1947 R.**

**GODZINA: 19:02**

**UL. WILSONA 7/3**

Po robocie zazwyczaj byłem piekielnie zmęczony. Padałem na łóżko albo, gdy było mi wszystko jedno, prosto na podłogę. Zasypiałem niemal natychmiast. Czasami jednak zdarzały się bezsenne noce, kiedy w głowie huczały mi miliony głosów. Słyszałem sąsiadów za ścianą, przechodzących ulicą ludzi, przejeżdżające wozy i szum Odry.

Trudno uwierzyć? Daję słowo, że słyszałem szum tej przeklętej rzeki, choć dzieliły mnie od niej i od jeziora Dąbie co najmniej dwa kilometry. Ten odgłos natychmiast przypominał mi, jak ledwo żywy wlokłem się wśród zgliszczy. Nachodził mnie obraz myszowłosej dziewczynki, która wtedy nie miała jeszcze piersi ani zarysu talii. Ciekawe, jak wyglądała teraz?

Nieraz snułem się po okolicy, starając się sobie wyobrazić, jak mogła się zmienić przez ostatnie dwa lata. Czy jeszcze ją spotkam? Czy by mnie pamiętała? A czy ja byłbym w stanie ją rozpoznać? Na te pytania zazwyczaj odpowiadałem przecząco. Nie ukrywam jednak, że przyjemna była myśl, że dziewczynka poznaje mnie na ulicy i się do mnie przytula. Cicho wypowiada słowa podziękowania. Przywiera do mnie, a potem ufnie wkłada swoją kruchą rączkę w moją toporną dłoń. I znów mógłbym poczuć, że jestem dla niej wszystkim.

Wyobrażenia to bzdury i strata czasu. Tym razem odsunąłem od siebie myśl o myszowłosej i zarzuciłem na siebie płaszcz. Nie miałem ochoty spacerować, ale czułem, że dzisiaj nie zasnę. Wiedziałem to z góry. Czułem całym swoim ciałem.

Wyszedłem przed kamienicę i zapaliłem papierosa. Paliłem rzadko, ale nie lubiłem smrodu dymu w mieszkaniu. Mogły w nim być zwały śmieci, lecz nie woń dymu. Ten utkwiał mi w nozdrzach na zawsze podczas przeszukiwania gruzów hotelu Huch. Nigdy nie zapomniałem tego

cholernego smrodu, a papierosy jedynie go wzmagają.

Czasem jednak lubiłem zapalić. Było już prawie ciemno i, oparty o mur kamienicy, obserwowałem żar. Jest w nim coś mistycznego. Jako dziecko uwielbiałem ogniska, a podczas odwiedzin u ciotki mogłem całymi godzinami gapić się w kominek. Siadałem naprzeciw niego i po prostu patrzyłem. W moim rodzinnym domu zabraniano mi dotykać drzwiczek pieców. Ze strachu przed ojcem nie robiłem tego nawet wtedy, gdy zostawałem sam.

Strzepnąłem popiół i jeszcze raz zerknąłem na żar. Kilka iskierek uniosło się w powietrzu. Obserwowałem, jak wirują, a po chwili rozpływają się w ciemności.

Wyrzuciłem peta na ziemię. Nie traciłem czasu na spacerowanie do śmietnika albo uprzążanie śmieci. I tak kiedyś staną się tym, czym będziemy wszyscy. Błotem. A potem pyłem.

Wypuściłem dym i wszedłem do klatki.

– Przepraszam... – usłyszałem za sobą, gdy miałem zamknąć drzwi. – Proszę pana!

Odwróciłem się i zamarłem. Tuż za mną stał mężczyzna koło dwudziestki, jota w jotę podobny do mojego Ottona. Gdyby nie blond włosy, mógłbym przysiąc, że to on. Miał takie samo zadziorne spojrzenie, pełne usta i prosty nos. Nawet głos miał podobny. Ubrany był w żołnierską kurtkę z odprutymi patkami i pagonami. Opinała się na jego silnych, krępych ramionach.

– Tak? – zapytałem po chwili.

– To Wilsona siedem?

– Zgadza się.

Mężczyzna się rozpromienił. Miał sympatyczny, ale surowy uśmiech.

– Szukam Romualda i Janiny Tarewiczów. Mam się u nich zatrzymać...

Błyskawicznie przeanalizowałem nazwiska wszystkich mieszkańców kamienicy. Większość z nich znałem już osobiście, a pozostałych po prostu kojarzyłem. W przeważającej mierze była to banda polskich prostaków albo bufonów. Stonki przewiezionej furmankami ze wschodu.

– Przykro mi, ale nikt taki tu nie mieszka.

Blondyn natychmiast spochmurniał. Obserwowałem jego twarz w mdłym świetle wieczoru.

– Jest pan pewny?

– Niestety tak.

– Może w tej drugiej części budynku...

Pokręciłem głową.

– Cholera – westchnął żałośnie. – To moi kuzyni. Miałem się u nich zatrzymać na tydzień, może dwa i rozejrzeć w ten czas za robotą.

– Nie pomogę panu.

– Rozumiem. Przepraszam za zamieszanie...

Oparłem dłoń na klamce i uśmiechnąłem się pokrzepiająco. Dwudziestolatek jeszcze raz westchnął. Przetarł dłońmi twarz i poprawił przerzucony przez ramię tobolek. Zrobiło mi się go szkoda.

Gdyby nie jasne włosy, wyglądałby jak Otto. Daję słowo.

– Chociaż wiesz co? – Otworzyłem szerzej drzwi. – Jeśli chcesz, możesz się na kilka dni zatrzymać u mnie.

Blondyn spojrzał na mnie podejrzliwie. Myślał, że sobie z niego żartuję.

– Mówię poważnie. Mieszkam sam i mam trochę wolnego miejsca. Nie będzie problemu z urzędem meldunkowym...

– Nie przeszkadzałbym panu?

– Niby w czym? – Odsunąłem się, robiąc mu miejsce w progu. – Śmiało. Nie gryzę.

– Zapłacę za każdy dzień...

– Absolutnie nie. Nie chodzi o pieniądze.

Mężczyzna stanął w półkroku. Uważnie na mnie spojrzał. Teraz pewnie wydało mu się, że jestem pedałem albo coś takiego.

– A o co? – zapytał nieufnie.

– Będę do ciebie mówił: Otto. Jak do syna. To mój jedyny warunek.

Zgodził się.



## **NASTĘPNE 11 DNI**

Przez następne jedenaście dni Otto, a w rzeczywistości (bo chyba nigdy nie straciłem z nią kontaktu) Albert, pomieszkiwał u mnie. „Pomieszkiwał” to dobre słowo. Wychodził rano i wracał wieczorem. Szukał roboty, a przynajmniej tak utrzymywał. Może to była prawda, a może się szwendał i przepijał pieniądze. Zgodnie z umową nie wziąłem od niego ani grosza, więc na pewno był na plusie.

Szczęściarz.

Przez cały ten czas miałem wrażenie, że jeszcze bardziej upodobnił się do mojego syna. Był uczynny, ale nie podlizujący się. Porywczy, ale umiał ważyć siły. Widziałem jego kłótnię z dwoma milicjantami. Wylegitymowali go i wypytywali o powód wizyty w Szczecinie. Właściwie nie dał im dojść do głosu. Najpierw się tłumaczył, potem chwilę spierał, wreszcie tak sprytnie zmienił temat, że dali mu spokój. Po prostu majstersztyk. Wystarczyło odkryć, że jeden z milicjantów pochodzi ze Świętokrzyskiego. Rodzina matki Ottona mieszkała kilka kilometrów od rodziny tamtego, na wsi zabitej dechami, której nazwy nie sposób zapamiętać.

Oczywiście, wszystko okazało się podpuchą. Mój blondwłosy lokator stwierdził, że tylko ludzie ze Świętokrzyskiego zamiast „ą” i „ę” mówią „om” i „em”. Postawił na to wszystko. I wygrał. Nie bawił się w kalkulowanie ryzyka, które nieustannie zaprzętało głowę Franza.

Polubiłem go. Naprawdę. Z serca.

Zwracanie się do tego chłopaka jak do syna przypominało nieprzerwany seans spirytystyczny. Zacząłem wierzyć, że Otto naprawdę żyje. To było szalone, ale umysł ludzki tak właśnie działa. Za wszelką cenę i na wszystkie sposoby chce uciec przed bolesną prawdą. Wydaje mi się, że nigdy w to nie wierzyłem, choć nie jestem już pewny. Wszystko cholernie mi się wtedy plątało.

– Chciałby pan, żebym się zwracał do pana jak do ojca?

To pytanie Otto zadał mi zupełnie niespodziewanie. Leżeliśmy któregoś wieczoru, gotowi już spać. Mój sen nie nadchodził, a Otto miał z nim chyba permanentny problem. Słyszałem, że długo się wierci, wzdycha i nerwowo poprawia koc. Wstawał, brał łyk wody albo wyglądał przez okno. Nie wiem, co w nim tkwiło. Nie znałem jego przeszłości i obawiałem się o jego przyszłość. Kilkukrotnie zrywał się w nocy z rozpaczliwym krzykiem.

Wiedziałem coś o tym.

Wiedziałem coś o koszmarach.

Tyle że swoje wyśniłem już trzydzieści lat temu. Po tym, jak za dnia widzi się trupy przyjaciół zamotane na drutach kolczastych, rozerwane na setki części i mieszane z błotem albo gnijące dwa metry od ciebie tak, że nic nie możesz z nimi zrobić, bo każdy ruch to ryzyko stracenia głowy, ma się okropne sny. Pęczniejące jak balony zwłoki, rozlewające się wewnątrzności, czerniejąca i krusząca się jak stary papier skóra. Zmatowiałe oczy, obrzmiałe języki, rozwarłe nozdrza, odpadające nosy i uszy. Muchy lęgnące się w wyrwanych w ciałach dziurach, szczury wychodzące z obnażonych odbytów, martwe usta, które setki robali wprawiają w ruch dający złudzenie, że martwi wciąż przeżuwają swój ostatni posiłek.

Po tym ma się złe sny.

Na dobre minęły one chyba dopiero wtedy, gdy poznałem Helenę. Stłumił je wstyd. Przy niej wstydziałem się krzyczeć, panikować i płakać. Alfred vel Otto nie poznał jeszcze swojej Heleny. A przy mnie musiał się czuć swobodnie.

Albo bezpiecznie.

W każdym razie, kiedy zapytał mnie, czy chciałbym, żeby zwracał się do mnie jak do ojca, zaniemówiłem. Tego program seansu spirytystycznego nie obejmował. Nie byłem gotów. Pokpiwałem sam z siebie, mówiąc do niego jak do syna. Ale ojcem byłem tylko dla prawdziwych Ottona i Franza.

To pytanie uświadomiło mi, że tylko gramy. Tak jak w *Gabiniecie doktora Caligari* albo *Niewidzialnym człowieku*. Oba te filmy widziałem wiele razy i przecież oddzielałem fikcję od rzeczywistości.

– Nie – odparłem, zdziwiony oschłością swojego głosu. – Nigdy nie waż się tak do mnie mówić.

Albert nie powiedział nic więcej. Teraz myślę, że być może chciał po prostu postąpić miło, ale popełnił obrzydliwy nietakt. Nie mógł zrobić

niczego gorszego. Obraził mnie i moich synów. Ugryzł dłoń, która go karmiła.

Ja jednak tamtej nocy również nie powiedziałem niczego więcej. Zamknąłem oczy i starałem się zasnąć. Słuchałem, jak Albert się wierci. Liczyłem jego oddechy i westchnięcia. Może bał się zasnąć? Może potrzebował ojca tak samo jak ja synów? Tęsknił za nim? Przypominałem mu go?

To było bez znaczenia. Nie powinno mnie w ogóle interesować.

Ktoś przeszedł pod oknem i zobaczyłem kulący się cień. Przez firanek niemożliwe było w nocy zajrzeć do środka, ale okoliczne dzieciaki potrafiły być naprawdę wścibskie. Tym bardziej, że część z nich wykonywała jedynie polecenia rodziców. Jeszcze bardziej ciekawskich i niepotrafiących skupić się na swoich sprawach.

Przez ostatnie dni sąsiedzi stali się cholernymi insektami. Podpytywali, kim jest Albert i co u mnie robi. Przypatrywali się, zerkali spode łbów i, jestem pewny, wciąż nas obgadywali. Ich języki wiły się jak języki węży. Łypali i szeptali. Szpiegowali.

Cień za oknem przesunął się, a po chwili zniknął. Tym razem nie miałem ochoty wstawać. Zapadałem w sen i błoga obojętność już paraliżowała mi ciało.

Nie wiem, kiedy zasnąłem, ale spałem mocno, zupełnie jakby mój organizm podświadomie szykował się na to, co miało się stać kolejnego dnia. Zresztą w robocie byłem jedynie lekko podenerwowany. Dopiero w drodze powrotnej nerwowość przeszła w niezrozumiałą irytację. W kościach czułem, co się wydarzy.

Tego popołudnia Albert dowiedział się wreszcie, że Romuald i Janina Tarewiczowie już nie mieszkają w Szczecinie. Listownie poinformowali jego matkę o przeprowadzce do Gryfina. Matka z kolei nie miała jak się z nim skontaktować. W końcu otrzymała wiadomość, w której syn podał adres kogoś ze Szczecina. Dzięki temu kółko korespondencyjne się zamknęło i po jedenastu dniach sytuacja się wyklarowała.

Najbardziej nie spodobały mi się jednak ostatnie zdania tego listu.

Po raz kolejny zostałem obrażony.

**PONIEDZIAŁEK, 5 MAJA 1947 R.**

**GODZINA: 18:21**

**UL. WILSONA 7/3**

– W takim razie nic tu po mnie... – Albert tępo patrzył na poplamioną kartkę w kratkę. – Zamieszkanie u wujostwa miało mi pomóc oszczędzić.

– Powstają lokale pracownicze – mruknąłem bez przekonania. – Poza tym za nocleg tu też nie płacisz.

– Wiem. Naprawdę jestem za to wdzięczny.

– W czym więc problem?

– Nie mogę tak mieszkać bez końca.

Twarz Alberta stężała. W tym momencie nie przypominał już tak bardzo Ottona. W jego mimice i gestach pojawiła się irytująca bezradność. Dziecinność, która kazała mu wracać do matki. Był zagubiony i słaby tak jak wtedy, gdy go poznałem. Pojawiło się jednak coś jeszcze. Maminsyństwo. Żałosne, niegodne maminsyństwo. Coś, na co los nie pozwolił zachorować moim synom.

– Zamierzasz wrócić? – zapytałem ironicznie. – Do czego?

Chyba nie dostrzegł mojego sarkazmu, bo żałośnie wzruszył ramionami.

– Matka została na gospodarstwie.

– A ojciec?

– Ojciec... – Urwał.

Nie miałem zamiaru dopytywać, tym bardziej, że Albert ukradkiem otarł oczy. Zaczynał się rozklejać. Mogłem się pomylić co do jego wieku. Rozkojarzony jego podobieństwem do Ottona, mogłem dać mu parę lat za wiele. Teraz wyglądał na młodzika. Był pełnoletni? Cholera wie. Nic mnie to nie obchodziło.

– Możesz przecież jechać do tych kuzynów – rzuciłem obojętnie.

Nie miałem pojęcia, co jest przyczyną tych wszystkich emocji. Albert trząśł się i wbił wzrok w stół. Nerwowo splatał i rozplatał dłonie pod

podbródkiem. Jakby w liście informowano go o rozstrzelaniu całej rodziny. Albo jeszcze gorzej. O pochowaniu jej żywcem.

Przypomniałem sobie pustkę, którą czułem przed czterema laty, czytając słowa nakreślone przez majora Wagnera. Pustkę, a potem skrywaną i tłumioną euforię. „Już nigdy nie będę musiał się martwić”. Pamiętam tę myśl. Była okropna, ale przyniosła mi ulgę. „Już nigdy nie będę musiał się martwić, bo mojemu synowi nie może się stać nic gorszego”.

– Wyjadę jutro. – Albert starał się opanować. Otarł oczy. – Mogę zostać jeszcze dziś na noc?

– Proszę bardzo.

– Nie wiem, jak się odwdziczę...

– Już o tym rozmawialiśmy. Otto.

Imię syna wymówiłem z naciskiem. Po zadanym poprzedniej nocy pytaniu iluzja się rozwiała. Mój syn nie żył, a przed sobą miałem jedynie słabą podróbkę. Bezwartościowy towar zamienny. Ersatz.

– Wiem – jęknął żałośnie. – Mimo wszystko...

– Nie – uciałem.

Albert skinął głową i podniósł się z krzesła. Podeszedł do okna. Oparł dłonie na parapecie i wyjrzał na ulicę, jakby spodziewał się czegoś nadejścia. Jego ramiona poruszały się w rytm oddechu. Drżał, ale nie słyszałem, by płakał.

Zastanawiałem się, co go tak roztelepało. Może był tylko histerykiem, a może odgrywał przede mną przedstawienie?

Ukradkiem przyciągnąłem do siebie list. Albert nadal stał pochylony przy oknie. Bezgłośnie obróciłem kartkę i przeleciałem wzrokiem nakreślone koślawym pismem linijki. Nagle zabrakło mi powietrza. Gorący pot oblepił mi kark, a dłonie zadrżały. Poczułem skurcz odciętej przed ponad ćwierćwieczem nogi.

Dwa razy przebiegłem wzrokiem ostatnie zdania.

*Nie mieszaj się w sprawy tego dziwaka, tylko wracaj. Dość już się u niego nasiedziałeś, a z szaleńcami lepiej nigdy się nie zadawać. Nie znasz go. Nie wiadomo, co robił ze swoim synem, a teraz jeszcze chce ciebie w jego roli. To nie jest zabawne, Al. Proszę...*

Zacisnąłem pięści i zmiąłem list. Uderzyłem dłonią w stół. Albert natychmiast się odwrócił. Gdy zrozumiał, że przeczytałem fragment wiadomości, spurpurowiał. Kilkoma susami dopadł do stołu.

– Jestem świrem? – zapytałem, powoli się podnosząc. – Tak myślisz?

– Wcale nie...

– No powiedz! Śmiało, gówniarzu.

Albert nerwowo przegładził włosy. Pokręcił głową i zastukał palcem w blat obok zmiętego listu.

– Umyślnie nie podałem pańskiego adresu – tłumaczył się. – Matka byłaby gotowa natychmiast tu przyjechać.

– Według ciebie jestem szalony? – powtórzyłem pytanie.

– Pan nie rozumie, to...

– Odpowiadaj, do cholery!

– Nie. Naprawdę nie.

Widziałem w jego oczach strach. Nigdy nie dostrzegłem go w spojrzeniu Ottona. To nie był mój syn i byłem wściekły, że próbowałem ich choćby porównywać. Obrzydlistwo.

– Przepraszam, po prostu moja matka nadinterpretuje pewne słowa. – Albert pojednawczo unióśł dłonie. Miał twarz mokrą od potu. – Ja... Ja napisałem jej, że jest mi tu dobrze. Że miałem szczęście, a poza tym...

– Nie podałeś mojego adresu? – zakpiłem, opierając się na protezie. – Ale pewnie podałeś moje imię i nazwisko, zaśmiewając się przy tym, że taki świr dał ci ką?

– Ani adresu, ani nazwiska – zapewnił mnie natychmiast. – Może pan przeczytać cały ten list. Nie naśmiewałem się, a matka...

Wierzyłem mu. Był zbyt głupi, żeby kłamać.

– Ani adresu, ani nazwiska... – wycodziłem.

Jednym susem dopadłem do niego i powaliłem go na podłogę. Rąbnął głową o klepki jak szmaciana lalka. Nie potrafił się nawet bronić. Jego blond włosy przykleiły się do zroszonego potem czoła, a nozdrza się rozszerzyły.

– Proszę...

– O co?

Usiadłem na nim i zacisnąłem dłonie na jego gładkiej szyi. Kciuki z całej siły wbiłem w tchawicę. Gówniarz próbował się rzucać, ale nie miał ze mną

szans. Kilkukrotnie uderzył mnie w twarz. Jego ciosy przypominały razy zadawane przez obrażoną panienkę, a nie przez mężczyznę.

Brzydziłem się nim.

– Teraz ja się pośmieję.

Nie łagodziłem uścisku. Chłopak wił się pod moim ciężarem i charczał. Żyły na jego twarzy nabrzmiały, a policzki zrobiły się purpurowe. Z nosa pociekł mu śluz zmieszany z krwią.

Uśmiechałem się, patrząc temu bydlakowi prosto w oczy. Były teraz wytrzeszczone i pokryte pajęczynami popękanych naczynek. Otworzył usta. W tym samym momencie rozległ się dźwięk przypominający odgłos pękającej gumy, a jego ciało znieruchomiało.

– Matka już się tobą nie nacieszy – wyszeptałem. – Pieprzony gnoju. Będzie tęskniła? Jak myślisz? Moja żona nigdy nie przestała tęsknić. Nigdy!

Wtedy jeszcze nie miałem o tym pojęcia, ale ta śmierć miała mnie uspokoić na wiele miesięcy. W mojej głowie po raz pierwszy od dawna nastąpiła cisza.

Każdy skutek ma swoją przyczynę.

## TRZY GODZINY PÓŹNIEJ

Przetransportowanie trupa to wbrew pozorom łatwa sprawa. Można go pokroić i upchnąć do walizki. Można załadować do pustej beczki i przetoczyć przez całe miasto. Można zjeść, zakopać w ogródku, zalać cementem albo podrzucić na cmentarz. Sposobów naprawdę jest wiele. Trzeba jedynie minimalnej inwencji, trochę doświadczenia i sporo odwagi. Ja nigdy niczego się nie bałem. Co mogło się ze mną stać?

Kara śmierci? Nie bądźmy śmieszni. Umarłem już dawno temu.

Wtedy wybrałem taczkę, podobną do tej, na którą kiedyś sam trafiłem jako niedoszła ofiara czerwonoarmijców. Znalazłem ją porzuconą niedaleko zajezdni tramwajowej i, wiedziony przecuciem, przyprowadziłem pod kamienicę. To było przed dobrymi kilkoma dniami. Musiałem być natchniony.

Wykrzywiona, opuchnięta twarz Alberta nie robiła na mnie wrażenia. W życiu widziałem już ofiary gorszych śmierci i większego cierpienia. O wiele gorszego. Gdyby nie wytrzeszczone oczy i otwarta gęba, wyglądałby jak śpiący. No i te krwiste wybroczyny pod nosem...

Poszedłem do kuchni i przemyłem twarz zimną wodą. O dziwo, nie było przerw w dostawach. Starłem się zebrać myśli i zdecydować, co zrobić z trupem.

Nie miałem najmniejszych wyrzutów sumienia. Czułem się tak, jakbym rozlał zupę i musiał posprzątać. Cieszyło mnie, że wziąłem już kilka dobrych łyków, smakowała mi, ale teraz musiałem, do cholery, pozbyć się bałaganu. A to przyprawiało mnie o wściekłość.

Obróciłem Alberta na bok i przeciągnąłem na dywan. Był zbyt wysoki, aby go szczelnie owinąć. Naprawdę nie bałem się złapania. Mimo to wolałem, żeby nikt nie przyłapał mnie na tym, jak obwozę po mieście nieboszczyka. Nieważne, że był niebieskookim blondynem. Awersja do Nordyków zdołała już zdecydowanie opaść. Mordowanie Niemców nie było



tak popularne jak tuż po wojnie.

Sięgnąłem po kolejarskiego roskopfa i obróciłem go w dłoni. Dochodziła dwudziesta. Całe szczęście niedawno zniesiono godzinę policyjną, co pozwalało mi uniknąć masy niepotrzebnych komplikacji. Jeszcze raz spojrziałem na dywan, na trupa i znowu na dywan. Nie było rady. Potrzebowałem innych rozwiązań.

Pod łóżkiem trzymałem stare worki jutowe. Tuż po wojnie kupiłem je za bezcen z poniemieckiego magazynu. Przydały się przy przeprowadzce na Wawrzyniaka, a potem na plac Wilsona. Miały pieczęcie Wehrmachtu i numery, ale, co najważniejsze, były w doskonałym stanie. Wymiary? Wojskowy standard: sto dwadzieścia pięć centymetrów na siedemdziesiąt.

No tak. Tu pojawił się kolejny problem.

Solidny nóż rzeźnicki był prezentem od Güntera. Trzymałem go na honorowym miejscu w kuchni i do tej pory użyłem zaledwie parę razy. Ze względu na rozmiary przy małych sztukach mięsa stawał się całkowicie bezużyteczny, a większe mi się dotąd nie trafiały.

Ale Albert był dużym chłopcem.

Rozebrałem się do naga i przeciągnąłem jego zwłoki do kuchni. Ślady krwi po prostu nie pasują do salonu. To w kuchni jest miejsce na taką robotę.

Dopiero teraz spostrzegłem, że na szyi Alberta nie było nawet śladu zarostu. Mimo że po południu na pewno się nie golił, miał doskonale gładką skórę. Gdyby popatrzyło się pod światło, być może znalazłoby się pojedyncze jasne włoski. Jak u pisklęcia.

Kołnierz krwawej opuchlizny i odciski moich rąk już się uwydatniły.

Ślady przeszłości na trupie.

Ta myśl tak mnie rozbawiła, że wybuchnąłem śmiechem. Rechocąc, przyłożyłem ostrze do grdyki Alberta i zacząłem równomiernie ciąć.

W jedną.

W drugą.

I jeszcze raz.

Uporanie się z przewodem oddechowym było proste. Przypominało zarzynanie kurczaka, choć nigdy tego nie robiłem. Poza tym zarzynane kurczaki są żywe, a w chwili, gdy przeciągnąłem ostrzem po tchawicy Alberta, usłyszałem chrząknięcie. Jego pierś delikatnie się poruszyła,

a usta rozwarły jeszcze szerzej. Bez problemu upchnąłbym w nich piłkę tenisową.

Może żył, a może rozcinaniu gardła towarzyszy właśnie taka oprawa. Nie zamierzałem się nad tym zastanawiać i zatrzymałem się dopiero na kręgosłupie. Wtedy pojawiły się problemy.

Rozpruty przełyk zionął krwawą pustką, pasmami ścięgien i opiłkami kości. Nie mogłem jednak trafić na przerwę między kręgami i ślizgałem się ostrzem po jednym z nich. Napierałem nań z całej siły, lecz odpowiadało mi jedynie chrupanie. Po kilku minutach, spocony i zły, odwróciłem trupa na plecy. Stałem na jego barkach i odgiąłem jego głowę do tyłu. Wykręcałem ją jak zamocowaną w karku śrubę. Kręciłem, słuchając trzasku kręgów oraz plaśnień pękających ścięgien i mięśni. To była piękna muzyka. Jedyny marsz żałobny, który miano zagrać temu bydłociu.

W końcu chwyciłem nóż i odkroiłem zebraną na karku skórę oraz tłuszcz. Głowę Alberta trzymałem za zwichrzone blond włosy. Gdy w końcu zawisła w mojej dłoni, zaskoczył mnie jej ciężar. Sądziłem, że będzie znacznie lżejsza.

Człowiek uczy się przez całe życie.

Wróciłem po worki jutowe i do pierwszego z nich wrzuciłem odciętą głowę. Było jeszcze dość miejsca, by upchnąć w nim ręce i stopy. Postanowiłem, że uda i łydki trafią do kolejnego. Korpus planowałem podzielić na dwie części. Spodziewałem się, że z brzucha wyleje się całe mnóstwo flaków, więc przygotowałem na nie oddzielną miskę. Klatka piersiowa natomiast powinna się bez problemu zmieścić do kolejnego worka.

Nie pomyliłem się. Operacja krojenia zwłok przebiegła zupełnie gładko i tuż po dwudziestej drugiej mogłem zająć się sprzątaniami kuchni. Nie starałem się. Nie czułem się, jakbym uprzątał miejsce zbrodni. To był po prostu zwykły brud. Po przyrządzeniu posiłku dobrze jest wyszorować blaty, żeby nie zaległy się robaki.

I tyle. Z okruczem, który spadnie za szafkę, czekasz do generalnych porządków przed świętami. On był wart niewiele więcej.

Worki z poćwiartowanym Albertem zmieściły się na taczce i wyglądały jak tobołki bezdomnego. Starałem się zachowywać jak najciszej, ale nie wątpię, że obserwowali mnie wszyscy sąsiedzi. Oni nigdy nie spali. Gotowi

do podglądania, podsłuchiwania i wścibskich rozmów. Przeklęte gnidy.

To dlatego jak najszybciej ruszyłem w noc. Bocznymi drogami, ale prosto w stronę jeziora. Prawie biegiem.

Zapomniałem jednak, że Albert to nie tylko ciało, lecz także parę szpargałów, które, niestety, zostały. W przyszłości miały się okazać prezentem pozostawionym na moją zgubę.

Tchnieniem śmierci.

Moim demonem.

Ale wtedy nie miałem o tym pojęcia.

**SOBOTA, 4 WRZEŚNIA 1948 R.**

**GODZINA: 18:12**

**UL. ZŁOTOWSKA 11**

Günterowi przyznano niewielki pokój w okazałym domu na Rollbergu. Wspominał, że przed wojną wraz z rodziną gnieździł się w murowanej chałupie kilkaset metrów dalej. Mówił o polach buraków cukrowych, wykopach gliny i cegielniach. Jego żona w czterdziestym trzecim przeprowadziła się do matki pod Rostock. Miało to być tylko tymczasowe i usprawiedliwione okolicznościami, ale skończyło się całkowitym zerwaniem kontaktów. Wraz z matką wyprowadził się kilkuletni syn Güntera, a jego dwudziestoletnia córka wyszła za mąż za polskiego komunistę. Od tego czasu również z nią nie utrzymywał kontaktu. Günter miał swoje zasady.

Ceną za nie było to, że został sam jak palec. Co prawda, kiedy go poznałem, odniosłem wrażenie, że z Johanną łączy go coś więcej niż zwykła przyjaźń. To jednak chyba nie była prawda. Odnosili się do siebie z szacunkiem, mieli wspólne tematy i podobne poczucie humoru, pasowały nawet do siebie ich gabaryty, ale ich relacja opierała się na zwykłym kumpelstwie. Ja równie blisko byłem jedynie przez kilka miesięcy z Heleną.

Czwartego września Günter zaprosił mnie do siebie na małe co nieco. W jego słowniku oznaczało to wódkę z symboliczną zakąską. Zazwyczaj chlebem, smalcem i ogórkami kiszonymi. Musiało wystarczyć, tym bardziej, że mieliśmy spędzić wieczór tylko we dwóch. Johanna była chora, a Hans wyjechał na kilka dni do tajemniczej przyjaciółki. Cwany Żydek nie chciał się przed nami wysypać ze swojej historii miłosnej. Zresztą nie wnikaliśmy.

Około osiemnastej byliśmy już nieźle pijani i chwialiśmy się na nogach. Za ścianą również w najlepsze trwała zabawa. Kolejne pokoje zajmował

dekarz i dwóch murarzy. Ze sobą szybko się dogadali, choć od Güntera trzymali się na dystans. Nie mam pojęcia dlaczego. A może chodziło o mnie?

W tamtym czasie zapomniałem już o Albercie. Nikt z mojego grona nigdy go nie poznał, więc nie musiałem tłumaczyć jego nagłego zniknięcia. Nie musiałem odpowiadać na żadne pytania.

Przez pierwsze dni martwiłem się, że ktoś mógłby odkryć ciało, ale do zimy nie wypłynęło. Milicja również nie trafiła na żaden trop. Nie mam nawet pojęcia, czy kogokolwiek poszukiwano. Niezmiennie czytywałem gazety i nie napotkałem w nich żadnej wzmianki o zaginionym Albercie. Czasem myślałem o jego matce.

Dziwne, jak szybko śmierć przestaje mieć znaczenie. Można się do niej przyzwyczaić, a nawet zatrzeć ją w pamięci. Nie wiem dlaczego, tamtego wieczoru po kilku głębszych naszły mnie wspomnienia. Rozmowa z Günterem się nie kleiła, więc zatopiłem się w myślach. Jak po sznurku powiodły mnie od szukającego rodziców chłopca przez myszowłosą dziewczynkę aż do Alberta.

Schrupałem ogórka i ciężko się podniosłem. Chciałem rozprostować nogi, choć pokój Güntera mierzył niecałe cztery metry na dwa. Znajdowały się w nim okrągły stolik, obskrobana szafa i komoda, którą mój ojciec nazwałby bieliźniarką. Ojciec Heleny mówiłby o szyfonierze. Ale mniejsza z tym. Obok stosika książek na meblu tym stała jedynie mosiężna lampka. W tej przestrzeni zamykało się całe życie Güntera.

Wyprostowałem się i chwiejnym krokiem zbliżyłem do komody. Niemieckie wydanie Biblii, niemiecki modlitewnik, a niżej jeszcze dwa przypadkowe tomy encyklopedii Brockhousa. Nie żeby ją czytał, ale swego czasu była chyba w każdym porządnym domu. Sięgnąłem po książkę znajdującą się na samym spodzie.

*Lehrbuch der Chirurgie*, autorstwa profesorów L. Wullsteina i H. Küttnera. Poplamiona okładka, elegancka czcionka i wyrazisty druk. Wydanie sprzed prawie trzydziestu lat, jakże inne od tych tandetnych współczesnych broszurek. Przerzuciłem kilka stron, oglądając czarno-białe zdjęcia. Ludzie z bliznami, ranami, skórą pofałdowaną od zbyt mocnego zszycia, deformacje, przetoki...

– Ooo, widzę, że wciągnął cię mój podręcznik!

Potężne łapsko wylądowało na moim ramieniu. Byłem tak pijany, że nie słyszałem, jak ten wielkolud podniósł się od stolika. Normalnie jego kroki wywoływały mikrotrzęsienia ziemi, ale tym razem ich nie zaobserwowałem.

– Podręcznik?

Günter zaśmiał się i głośno beknął.

– Znalazłem go w piwnicy. Przed wojną w tym domu musiał mieszkać jakiś lekarz, bo trafiłem na parę tego typu książek. Większość wylądowała w piecu.

– Ale nie to.

– Nie. Pomyślałem, że moja robota ma wiele wspólnego z chirurgią.

– A ma?

Günter zaśmiał się jeszcze głośniejszym głosem i po raz kolejny poklepał mnie rubasznie po ramieniu. Zatoczył się.

– Joseph, stary durniu! – Oparł się o mnie całym ciężarem, a przy swoich dwóch metrach ważył co najmniej sto dwadzieścia kilogramów. – Oczywiście, że nie! Coś ty myślał? Że do rozebrania bydła potrzeba lat studiów i podręczników medycznych?

– Skąd mam wiedzieć...

Odsunąłem się, bo moje nogi z trudem utrzymywały ciężar kumpla. Günter omal nie runął na ziemię, ale w ostatniej chwili złapał równowagę.

– Spójrz! – Wyciągnął dłonie przed siebie. Były wielkie i opuchnięte. – Wszystkiego nauczył mnie ojciec, a jego – jego ojciec. Mamy to we krwi. Już jako dziecko grzebałem tymi rękoma we flakach. Patrz, to serce, a to wątroba, teraz wyciągamy śledzionę, chyba że chcesz płuca. Do wyboru masz również jelita, już je wyciągam... – Przystępując z nogi na nogę, grzebał w bebechach wyobrazonego zwierzęcia. A może to wcale nie było zwierzę?

– Wezmę żołądek – zażartowałem. – Lubię żołądki.

– Proszę cię bardzo. Osobiście uważam je za świństwo, ale nie odmówię.

– Może być jeszcze mięso z łopatki.

– Tłuste, dobry wybór. Łatwo się je odkrawa i dobrze konserwuje.

Günter wciąż udawał, że obrabia tuszę. Jego dłoń na przemian zaciskała się na wyimaginowanym nożu i chwyciła tasak. Kolejne razy spadały na kawały niewidzialnego mięsa. Rycząc ze śmiechu, zataczaliśmy się

i objaliśmy o siebie. Gdyby w tym stanie naprawdę zaczął obrabiać mięso, posiekałby wszystko wokół.

Wtedy uruchomił się jakiś uśpiony zakątek mojej wyobraźni. Uspokoilem się i oparłem o parapet. Z głębi domu dobiegały pijackie wrzaski, które zupełnie mnie nie obchodziły. Kolejne obrazy przewijały mi się przed oczami w błyskawicznym tempie.

Rozdęty brzuch padłego konia. Trupy w okopach, trupy w błocie, w śniegu, na bagnach i w wodzie. Setki, tysiące trupów wyściełających szpitalne podłogi, sienie i piwnice. Zmarnowane życia. Zmarnowane dusze. Zmarnowane mięso.

Dlaczego nikt tego nie wykorzystał? Dlaczego zwłoki Alberta po prostu wrzuciłem do wody?

Odwróciłem się od okna i ruszyłem w stronę Güntera. Wciąż stał przy komodzie z pijackim uśmiechem.

- Mogę pożyczyć tę książkę? – zapytałem, stukając palcem w okładkę.
- *Lehrbuch*? – Zarechotał jowialnie. – Zamierzasz się uczyć?
- Żebyś wiedział. Żebyś, cholera, wiedział.

**PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R.**

**GODZINA: 9:37**

**SĄD WOJEWÓDZKI W SZCZECINIE**

**UL. KASZUBSKA 42**

**Z ZEZNAŃ ZOFII SZEPTUCKIEJ**

Irenę spotkałam około południa, może nieco wcześniej. Właśnie wtedy wracałam z bazaru. Chwilę porozmawiałyśmy i pokazała mi torbę pełną śliwek. Nie wiem, czy je kupiła, czy gdzieś nazbierała, ale mówiła, że będą w sam raz na ciasto. Cieszyła się. To była taka miła kobieta... Zawsze uśmiechnięta.

Zaprosiła mnie do siebie na piętnastą. Śmiała się, że spróbuję, czy te śliwki nie są zatrute. Była w naprawdę dobrym humorze. Nie wiem, czy z jakiegoś konkretnego powodu. Jak powiedziałam, ona naprawdę niemal zawsze się uśmiechała.

Zgodziłam się przyjść. Choć zastrzegłam, że mogę się chwilę spóźnić, bo miałam jeszcze kilka sprawunków na głowie. Nie miała z tym problemu. Wydaje mi się, że była zadowolona również dlatego, że na chwilę zostawiła dziecko. W ostatnim czasie ciągle płakało i przechodziła z nim prawdziwą katorgę. Kiedy tylko mogła, prosiła o pomoc sąsiadki. Sama kilka razy przychodziłam, żeby nim się zająć. Byłam chyba jej najbliższą przyjaciółką, a znałyśmy się od paru lat. Przez pół roku pracowałyśmy razem w PGR-ze Szczecin Gumieńce.

W czwartek udało mi się uporać ze wszystkim o czasie i mogłam być punktualnie. Bardzo szybko się zebrałam. Pamiętam, że wzięłam ze sobą sweter, bo Irenka mogła chcieć pójść na spacer. Często się spotykałyśmy i szłyśmy się przejść. Chodziłyśmy na ogródki działkowe albo dalej, aż do Szopena. Siadałyśmy na ławce



i obserwowałyśmy dzieci bawiące się na placu sportowym. A ona tuliła swoje. Naprawdę je kochała i była dobrą matką.

Ale chyba zbaczam z tematu...

Drzwi do mieszkania Irenki i Józka były niedomknięte. Zapukałam kilka razy, lecz nikt mi nie odpowiedział. Nie zdziwiło mnie to, wiadomo, jak to jest u sąsiadów... Pomyślałam, że Irenka poszła do Wandy coś pożyczyć. Spodziewając się mnie, zostawiła uchylone drzwi. To była bardzo solidna osoba. Jeżeli się umawiałyśmy, robiła wszystko, żeby być o czasie. Nigdy się nie spóźniała. Nawet kiedyś, gdy złapała ją straszna burza, a miałyśmy się spotkać w... Przepraszam, znowu gadam od rzeczy.

No więc wtedy zapukałam dwa albo trzy razy i weszłam do środka. Nie zobaczyłam absolutnie niczego niepokojącego. Jedynie zdziwiło mnie, że dziecko Jaroszów leżało same w kołysce. Spało. Nawet się nie obudziło, kiedy do niego podeszłam.

Zawołałam Irenę, ale w mieszkaniu na pewno jej nie było. Nawet gdyby chciała zrobić mi dowcip, nie miałyby gdzie się ukryć. Usiadłam na kanapie przy kołysce i wtedy mały wybuchnął płaczem. Bez zgody matki nie chciałam niczego robić. Sama wychowałam dzieci i wiem, jak to jest. Pewnych przestrzeni się nie narusza. Cokolwiek by się działo. To świętość.

Mimo to zaczęłam śpiewać kołysanki i piosenki. Było mi szkoda tego dzieciaczka, więc wymyślałam kolejne melodie. Nie wiem, jak długo to trwało. Kwadrans, dwa? W końcu zaczęłam się poważnie niepokoić. Postanowiłam odczekać, aż dziecko zaśnie, ale ciągle płakało. Udało mi się je uspokoić pewnie po jakichś czterdziestu minutach od przyjścia. Może później.

Cicho wyszłam z mieszkania i na klatce schodowej spotkałam Wandę Tonder. To sąsiadka. Tak, jestem w stanie pokazać ją na tej sali. Siedzi tam, w drugim rzędzie.

Opowiedziałam jej, co się stało, i razem uznałyśmy, że trzeba poszukać Irenki. Na pewno nie zostawiłaby dziecka bez opieki na dłużej niż to niezbędne.

Jezu, to była taka sympatyczna dziewczyna...

Po drodze dołączyła do nas sąsiadka. Wyszłyśmy na podwórze

i zaczęłyśmy wołać: „Irka, Irka!”. Myślałyśmy, że może poszła gdzieś do sąsiadów, przeciągnęła się jej rozmowa albo... albo na przykład zasłała.

Po chwili jak spod ziemi wyrósł przy nas Józef Cyppek. Był wyraźnie zdenerwowany i nawet się go przestraszyłyśmy. On zawsze sprawiał wrażenie rozzłoszczonego. Wielokrotnie powodował kłótnie, uciszał bawiące się na podwórzu dzieci, potrafił w nie nawet rzucać różnymi przedmiotami. Oczywiście, o nic go nie podejrzewałyśmy...

Zapytał, dlaczego tak wrzeszczymy. Nie pamiętam, która z nas opowiedziała mu o tym, co się stało, ale w ogóle się nie przejął. Machnął tylko ręką i mruknął, że Jaroszowa wreszcie dorosła i zostawiła tego rozdartego bachora na pastwę losu. Użył dokładnie tych słów. A potem dorzucił jeszcze, że na młode, przepraszam za słowo, baby trzeba bomby atomowej, bo nie potrafią upilnować dzieci.

Nie wiem, co go bardziej denerwowało. Dzieci same w sobie czy hałas, jaki robiły. W każdym razie chwilę później Cyppek nas zostawił i wrócił do mieszkania. Mówił jeszcze coś o tym, żebyśmy przestały się wydzierać mu pod oknami.

Boże, on wtedy był...

Nie zobaczyłam na jego ubraniu żadnych śladów. Pojawił się tak, jakby właśnie oderwał się od czytania książki albo przygotowywania obiadu...

A potem wyszedł. Wie sąd, dokąd wyszedł?

**CZWARTEK, 9 WRZEŚNIA 1948 R.**

**GODZINA: 10:27**

**UL. WILSONA 7/3**

– Cześć, kochanie. Tęskniłeś? Ładne mieszkanie nam przydzielili...

Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, gdy otworzyłem drzwi, a w progu stała Margharita. Prawie po dwóch latach od chwili, gdy znikła z mojego życia, i po wielu miesiącach, odkąd straciłem nadzieję, że się znów zobaczymy. Schudła, zmizerniała, wciąż jednak w jej oczach był zadziorny błysk. Kąciki ust miała uniesione, a podbródek – lekko wysunięty do przodu.

– Mój Boże...

Uchyliłem szerzej drzwi, ale się nie przesunąłem. Byłem jak sparalizowany. Najbardziej słowami, których użyła. O tak, to było mieszkanie, które przydzielono nam. Jej i mnie. Nie samemu Józefowi Cyppkowi, ale jemu i jego szanownej małżonce. Tylko dlatego nikogo do mnie nie dokwaterowano. W papierach mieszkaliśmy tu we dwójkę, a może nawet liczone, że bohatercko spłodzimy dla systemu dziecko. Całą armię dzieci.

Co prawda, miałem pięćdziesiąt trzy lata, byłem jednak, do cholery, bohaterem wojennym.

– Nie odpowiedziałeś, czy tęskniłeś.

Margharita przywarła do mnie. Pocałowała mnie mocno w usta i, jakby wróciła z zakupów, przepchnęła się w głąb mieszkania. Rzuciła na podłogę niewielki tobołek, a ja wciąż obserwowałem ją w milczeniu.

– Masz jakąś nową kobietę? – zapytała ot tak. – Kochankę? A może kochanka?

Bezczelnie żartowała. Na pewno nie była zazdrosna, ale zachowywała się jak pan, który po latach przyjechał wizytować włości. Włości, których w tym wypadku nigdy nie widział. Ja byłem jedynie ubogim poddanym, który miał wznosić wiwaty.

– Nie mam – odparłem wreszcie. – Nie mogłem zdobyć o tobie żadnych informacji... Jedyna notatka dotyczyła tego, że odbył się proces. Nic więcej.

– A w ogóle chciałeś je zdobyć?

– Oczywiście, że...

Przerwałem w pół zdania. Właściwie nie było potrzeby się oszukiwać. To, że Margharita trafiła do więzienia, okazało się dla mnie nadzwyczaj korzystne. Pod wieloma względami, których nie chciałem za bardzo analizować. Dopuszczałem je w podświadomości, nie zamierzałem jednak wydobywać ich na jaw. Jeszcze nie byłem gotów.

Moja żona – nazwanie jej tak nawet w myślach wydało mi się pretensjonalne – przeszła do kuchni, uważnie się rozglądając, Zatrzymała się przy blacie i zerknęła na założone kawałkiem gazety *Lehrbuch der Chirurgie*. Parsknęła.

– Zacząłeś studiować? Widzę, że pod moją nieobecność wiele się wydarzyło!

Wzruszyłem ramionami. Nie chciało mi się odpowiadać na tę zaczepkę, tym bardziej, że Margharita zajęła się ostentacyjnym przeglądem szafek. Wiedziałem, co się zaraz stanie, i musiałem być przygotowany.

– Ale masz tu bałagan... Na pewno nie znalazłeś nowej baby.

– Po co miałbym szukać? – zapytałem nerwowo. – Po jaką cholere?

– Bo boisz się samotności.

Ta prosta, banalna odpowiedź wprawiła mnie w zakłopotanie. Czułem się, jakby dziewczyna na pierwszej randce obwieściła mi, że boję się ciemności. Albo pajaków. Albo czegoś jeszcze nudniejszego. Poza tym doskonale wiedziałem, że Margharita ma wiele racji. Bałem się samotności, choć nie w takiej formie, jak to sobie wyobrażała.

– Ładne zapasy... – Margharita otwierała kolejne szafki. Na chwilę zatrzymała wzrok na mojej kolekcji wódek. – Szkoda, że połowa flaszek jest pusta.

– Idź się umyj i odpocznij. – Dałem jej jeszcze szansę. – Nie było tu żadnej kobiety...

– Wcale jej nie szukam. Ale te szafki mówią mi wszystko o twoich ostatnich dwóch latach, Joseph.

– Nie wydarzyło się nic...

– Jezu, co to, kurwa, jest?! – Pisk Margharity zagłuszył moje

tłumaczenia. – Boże...

No tak. Zapomniałem wam wspomnieć o jednym szczególe. Zwłoki nieszczęsnego Alberta pociąłem i wywoziłem do jeziora, ale nie mogłem się rozstać z jego głową. Nie wiem, dlaczego ją zostawiłem. Przez kilka dni pracowałem nad jej dokładnym oczyszczeniem, ale nie byłem w tym dobry. Nieudolnie pozbawiłem ją skóry, ścięgien i mięśni. Wyjąłem mózg, odciąłem uszy i wyłupiłem oczy. Odrąbałem nawet nos, a całość przez tydzień moczyłem w occie. Starłem się uzyskać samą czaszkę, lecz moja robota była zupełnie amatorska. W *Lehrbuch der Chirurgie* nie znalazłem żadnych pożytecznych wskazówek.

Po półtora roku przechowywania jej w gigantycznym słoju wciąż obklejały ją pozostałości tkanki, a na dole naczynia zebrał się brudny osad. Ścianki pokryła para wodna i poruszające się drobinki. Drobnoustroje? Nie miałem pojęcia, bo słoje zakręciłem szczelnie. Po otwarciu lub rozbiciu mógł stanowić śmiertelne zagrożenie.

Jako dowód w ewentualnym procesie – również.

Być może wymyśliłbym jakąś głupią bajeczkę, ale istniał jeszcze jeden problem. Przy słoju leżało kilka osobistych rzeczy Alberta. W tym jego dokumenty, małe zdjęcie i listy. Tego też nie potrafię racjonalnie wytłumaczyć. Niby te przedmioty nie miały dla mnie żadnej wartości, lecz nie potrafiłem ich wyrzucić. Nie stanowiły bynajmniej pamiątki. W ten sposób chyba wyrażałem szacunek dla tego chłopaka. Zamordowałem go, jednocześnie zachowując go w swojej pamięci.

– Boże...

Margharita raczej tego nie zrozumiała. Przycisnęła do ust zwiniętą pięść, a jej ciałem wstrząsnęły spazmy. O mało nie zwymiotowała. Odwróciła się do mnie i wyszarpnęła pierwszą lepszą szufladę.

Pudło. Nóż i tasak rzeźnicki trzymałem zupełnie gdzie indziej. Pozostałymi nożami mogła co najwyżej zamieszać herbatę.

– To nic takiego... – starałem się jeszcze załagodzić sytuację. – Wszystko ci wyjaśnię...

– Odejdź ode mnie. Cofnij się...

Wymachując widelcem, jedynie wzmagala moje rozdrażnienie. Nie czułem już do niej niczego. Po dwóch latach bez jakiegokolwiek kontaktu zanikają największe miłości, a co dopiero pragmatyczna relacja z dziwką.

Poza tym samotność zagłuszałem nowymi znajomymi, filmami w kinie i głową w słoiku.

– Mar...

Nie zamierzała ze mną rozmawiać. Zamachnęła się widelcem, o kilka centymetrów mijając moje ramię. Stałem prawie zupełnie nieruchomo, obserwując jej strach. Dziwki rzadko się boją, a Helga była naprawdę najdzielniejszą z dzielnych.

– Coś ty zrobił?!

Tym razem widelec zadrasnął mi dłoń. Chciałem złapać Margharitę za nadgarstki, lecz rzucała się jak oszalała. Cofnęła się prawie pod samo okno i oparła pośladkami o parapet. Zwróciłem na ten szczegół uwagę. Zawsze pociągały mnie jej duże, kształtne pośladki. A nawet to, że tyłu mężczyźni miało okazję się im przyglądać przede mną.

– Jak cię traktowano w więzieniu? – zapytałem, nie hamując uśmiechu. – Spotkałaś swoje podopieczne? A może za miskę zupy puszczałaś się ze strażnikami?

Znowu straciłem kontrolę nad tym, co robię i mówię. Może zrozumiałem, że mam już alternatywy? Nie potrzebowałem Margharity, aby przemocować podczas dwudziestostopniowego mrozu ani żeby zdobyć mieszkanie. Nie potrzebowałem jej, aby móc myśleć o wszystkich kobietach świata. Nie potrzebowałem jej, by żyć, jeść czy spokojnie spać.

Zacisnąłem pięści i zadałem cios, nim zdążyła zareagować. Trafiłem prosto w podbródek. Jej zęby szczęknęły, a głowa poleciała do tyłu jak piłka. Zachwiała się i wypuściła z dłoni widelec.

Potem wycelowałem w skroń. Przez cholerną protezę nie byłem wystarczająco sprawny i uderzyłem w kość policzkową. Margharita nie potrafiła się nawet osłonić. Zamachnęła się na oślep, lecz jej dłoń przecięła tylko powietrze.

Ofiara, idiotka, dziwka.

Nie Margharita.

Helga.

Tak, teraz to Helga.

Helga, Helga, Helga...

Z jej ust ciekła strużka krwi, a oko błyskawicznie puchło. Następne ciosy wymierzałem jak zahipnotyzowany. Na pięści czułem łamane zęby, kości

i wyrywane włosy. Helga umierała zaskakująco cicho. Nie piszczała ani nie wyła z bólu. Gdy upadła na podłogę, zaczęła jedynie głośno charczeć. Tak brzmiało łkanie z krwią i resztkami zębów w ustach. Dławiła się nimi.

– Nie mogłaś po prostu być miła? – warknąłem, łapiąc powietrze. – Wrócić po dwóch latach i nie traktować mnie jak pieprzonego robaka? Co?!

Nie odpowiedziała. Leżała skulona na podłodze, spazmatycznie rozwierając i zaciskając prawą dłoń. Jej palce przebierały powietrze. Była półprzytomna, lecz wodziła za mną wzrokiem.

Problemem związanym z posiadaniem protez jest to, że nie można kopać. Odpada połowa frajdy. Kopiąc zdrową nogą, i tak ryzykowałbym upadkiem. Zamiast tego z impetem stanąłem na wciąż drżącej ręce Helgi. Pod podeszwą poczułem łamiące się palce. Ciężar całego ciała przeniosłem na piętę, a Helga wydała z siebie żalosne jęknięcie.

Opadłem na kolana. Ująłem jej głowę i pogładziłem opuchliznę, którą wyczuwałem pod okiem. Kciukiem roztarłem spływającą z nosa krew, a potem wierzchem dłoni dotknąłem jej rozpalonego czoła. Przytuliłem się.

Skręcając jej kark, usłyszałem puste chrupnięcie. Jakby nóżkę kurczęcia oddzielać od uda. To skojarzenie wydało mi się wyjątkowo smakowite.

## DZIEWIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ

Helga unaoczniała mi pewien kłopot. Trzymanie w mieszkaniu pozostałości trupa to pół biedy. Czaszkę zawsze mogłem znaleźć na cmentarzu, ukraść z akademii medycznej lub muzeum. Coś bym wymyślił. Przechowywanie jednak innych pamiątek, w tym rzeczy osobistych ludzi zaginionych, było problematyczne. Nieważne, jak bardzo bym się z nimi związał, jak bardzo bym ich potrzebował, musiałem się ich wszystkich pozbyć. Nie było innego wyjścia.

Słoik z głową Alberta schowałem do takiego samego worka jutowego jak niegdyś resztę jego ciała. Helgą zająłem się z jeszcze większą skwapliwością. W sumie byłem jej to winien. Oderznąłem jej nogi i ręce, ale głowę zostawiłem przy tułowiu. Odpowiednio wygięte powinny się zmieścić do worka. Tym razem wyzbyłem się sentymentów. Długo ścisakałem jej więzienny tobołek i biłem się z myślami, czy go nie rozpakować. Rozpakowywanie pociągnęłoby jednak za sobą dalsze problemy. Z każdym przedmiotem wiązałyby się jakaś historia, uczucie lub wspomnienie.

Albo domysł.

Straciłbym wiele godzin, nim zdołałbym się od nich oderwać. A potem straciłbym wiele, wiele lat, by o nich zapomnieć. Być może nigdy by mi się to nie udało.

Wrzuciłem tobołek do tego samego worka, w którym znajdowała się już głowa Alberta. Wszystko zdawało się gotowe, ale wciąż czułem wewnętrzne napięcie. Coś było nie tak, jak powinno. Coś zrobiłem źle.

Bardzo źle.

Dreńczyło mnie fatalne przecucie.

Rozwiązałem worek i wyjąłem tobołek Helgi, po czym wrzuciłem go do oddzielnego worka. Od razu zrobiło mi się lepiej. Pewnych spraw nie należy mieszać, a jedną z nich na pewno są pozostałości po ludziach. Gdybyście widzieli masowe groby, w których spoczywa sto, dwieście albo tysiąc osób,



też byście to zrozumieli. Eksplozje bomb potrafiły zmieszać ze sobą szczątki mnóstwa osób. Czasem do symbolicznego grobu wrzucało się całe ściany, bo fragmenty zwłok były ze sobą tak zbrylone, że trzeba by je zeszkrobywać i oddzielać chyba tylko pincetą. Ale o tym już chyba wspominałem...

Pamięci o zmarłych się jednak nie miesza.

Nigdy.

Głowę Alberta wraz z jego rzeczami zaniósłem do jeziora. Tam było ich miejsce. Nie pamiętałem, gdzie dokładnie wrzuciłem resztę jego zwłok, ale to zdawało się nieistotne. Woda wystarczająco nasyciła się ciałem i rozniosła jego strzępy po całym zbiorniku. Zjadały je ryby, które później zdychały i również gniły, unosząc się brzuchami do góry. Albert stał się już nierozłączną częścią świata. Nigdy nie stanowił jego aż tak dopasowanego elementu.

Z Helgą postanowiłem zrobić inaczej. Kłębiące się od dawna myśli pchały mnie do tego wbrew rozsądkowi. Poddawałem się dowolnie losowi. Nie był jakąś magiczną siłą, Bogiem, Okiem Proroka lub Opatrznością, ale czułem jego dłoń na karku. Czasem wrzynał mi się w mózg i naprawdę nie mogłem nic zrobić.

Mam pewne przypuszczenia, dlaczego sprawy potoczyły się właśnie w ten sposób. Myślałem nad tym i wydaje mi się, że potrafię się nawet usprawiedliwić. Na to musicie jednak jeszcze chwilę poczekać.

Najpierw opowiem wam, co zrobiłem, a później... Sami zdecydujecie.

Porąbanie zwłok na kawałki i pozbycie się ich jest proste. Ale jednocześnie to tak, jakby przerwać opowiadaną historię w połowie. Albo łowić ryby bez haczyka.

Los – czy jak chcecie to nazwać – kazał mi zrobić coś więcej. Mięso Helgi było zbyt cenne, żeby go nie wykorzystać. W sklepach wciąż trafiałem na puste półki, Johanna narzekała na brak towaru, Günter zwał winę na Hansa, a Hans załatwiał tusze, gdzie tylko się da. Za nielegalny obrót groziły im przy tym całkiem pokaźne kary.

Dlaczego miałbym im nie pomóc? Johanna w tamtym okresie ledwie wiązała koniec z końcem, a szczecinianie z tęsknotą na twarzach chodzili po bazarze, podpytując o jej bigos. Bigosu nie było, bo nie było mięsa. Prosta historia. A co z setkami tysięcy trupów, które jeszcze niedawno tkwiły w ruinach? Wszystko poszło na marne, każda śmierć urwała coś

w połowie.

Zdjąłem z Helgi ubrania i pobieżnie przemyłem jej ciało. W więzieniach kłębią się rozmaite bakterie i pasożyty. A pierwszy raz musiałem wszystkiego spróbować sam. Zanim dostarczę produkt, muszę sprawdzić jego jakość i przydatność do spożycia.

Odkroiłem okazały płat mięsa z prawego pośladka i dokładnie go obejrzałem. Nie miałem pojęcia, czy powinno się oddzielać tłuszcz albo zdejmować skórę. Zresztą ta przylegała do mięsa tak mocno, że nie zrobiłbym tego wystarczająco dobrze. Poza tym byłem ciekaw, czy rozszerzone pory Helgi zaskwierczą na ogniu. Fascynowało mnie to.

Podniecało.

Przełożyłem mięso na patelnię i postawiłem na kuchni. Dodałem do niego tylko szczyptę soli. Przez kolejne minuty rozkoszowałem się jego aromatem. Tłustawy, krwisty, ale zarazem delikatny. Zapewne charakterystyczny dla tej konkretnej sztuki.

Obserwowałem, jak czerwony kawał mięcha zamienia się w wysmażony brązowy stek. Przez chwilę zastanawiałem się, czy będę miał apetyt, jednak niepotrzebnie. Błyskawicznie zgłodniałem. W ustach zebrała mi się ślina. Splunąłem do zlewu i napiłem się wódki. Symbolicznie. Dokładnie obmyłem nią zęby i język.

Byłem gotowy.

Nawet nie wyjąłem sztućców. Chwyciłem gorący płat mięsa prosto w palce. Skurczył się do rozmiarów dziecięcej pięści. Z jednej strony dostrzegłem ścięgna, które pewnie powinienem usunąć. Niedoskonałość to cecha permanentna pierwszego razu.

Przy drugim pośladku już się tym zająłem. A to, co zostało, zamarynowałem i zjadłem w następnych dniach. Bez żadnych dodatków albo z cebulą i chlebem.

W Heldze było coś z koniny. Choć może chodziło jedynie o podobieństwo sytuacji, które przydawało daniom właściwego smaku. Mięso gnijącego, rozdętego konia jadłem przed wielu laty... Nie opowiadałem wam o tym, jak wszystko się zaczęło?

Niedługo przyjdzie na to czas.

## KOLEJNE MIESIĄCE

Kolejne miesiące mijały pod znakiem niepokoju. Bałem się, że coś zrobiłem nie tak. Że zostawiłem jakiś ślad, który naprowadzi służby na mój trop. Pojawił się strach, którego wcześniej nie czułem. Posmakowałem życia i nie chciałem go na razie tracić. To był stan przejściowej, złudnej euforii. Ale budziłem się po nocach i nasłuchiwałem kroków. Nikt jednak po mnie nie przyszedł. Teraz się zastanawiam, czy przypadkiem nie o to mi chodziło. O czyjąś fatygę. O to, że świat zainteresuje się robakiem.

W każdym razie z Albertem formalnie nikt nie mógł mnie połączyć. Nawet gdyby rozpytać wszystkich mieszkańców Szczecina, niewiele mogliby pomóc. Moi sąsiedzi niemal nie mieli możliwości go poznać, w listach nie podał żadnych moich danych, a poza tym byłem pewny, że jego ciało to już tylko strzępy tkanek.

Powinienem być spokojny.

Ale nie potrafiłem.

Z Helgą sprawa była jeszcze prostsza niż z Albertem. Wyszła z mamra i nigdy się u mnie nie pojawiła. Nie dotarła do naszego mieszkania, nie dała znaku życia. Mogła odnowić stare znajomości, mogła zająć się tym, czym zajmowała się kiedyś. Przejść do szarej strefy, z dala ode mnie i państwa. To brzmiało przekonująco.

Podczas dwóch wizyt milicji zachowywałem się jak zdruzgotany i wściekły na system obywatel. Szukając winnych wśród władz, stawałem się dla nich jednocześnie bardziej wiarygodny.

Gówniarz w stopniu porucznika nawet nie sporządzał notatek. Słuchał, wzdychał i ocierał wiecznie spocone czoło. Mógłbym się założyć, że jeszcze przed dwoma laty albo pasł krowy, albo uganiał się po lesie z polskimi partyzantami.

„My ze spalonych wsi”. Tak to leciało? Tyle że w tej piosence razem z nimi byliśmy my, „my z głodujących miast”. A ja nie chciałem mieć nic

wspólnego z tą wschodnią nawałą. Po wojnie okazywało się, jak wiele racji miał Hitler. Coraz częściej o wytatuowanej swastyce myślałem z sentymentem, a nie jak o piętnie. Myślałem o niej szczególnie intensywnie wtedy, gdy ten młokos głowił się nad tym, jakie pytania mógłby mi jeszcze zadać. Pocił się i pocił. Nagle lekceważąco machnął ręką i westchnął. Wbił wzrok gdzieś w przestrzeń za mną.

– W takim razie przepraszam za najście. – Wyprostował się, nałożył czapkę i wyszedł.

Za każdym razem rozmawialiśmy w przedsionku. Nie zamierzałem go zapraszać w głąb mieszkania, a on nie nalegał. Chyba go wcale nie interesowało, a poza tym miał na głowie ważniejsze sprawy niż poszukiwania dziwki. Pewnie w ogóle nikt by się nią nie zainteresował, gdyby nie obowiązek stawienia się na komendzie jakiś czas po opuszczeniu więzienia. Skoro zaginęła, to w pewnym sensie przestawała być problemem dla systemu.

Zamknąłem drzwi za milicjantem i odczekałem kilka minut. Nie miałem ochoty natknąć się na tego tępego porucznika gdzieś w okolicy. Kiedy roskopf odmierzył pięć minut, zarzuciłem płaszcz i wyszedłem na dwór.

Mieszkanie przy Wilsona siedem... Nie mogłem trafić lepiej. Dokładnie po drugiej stronie ulicy, pod numerem dwadzieścia osiem, znajdowało się kino Polonia. To w nim władze zorganizowały pierwszy seans filmowy w polskim Szczecinie. Nie byłem na nim, ale mówiło się o tym, że z tej okazji puszczono radziecką produkcję – *Sekretarza Rejkomu*. Całkiem wymowne. Liczyłem na powtórkę.

Od połowy czterdziestego ósmego we wszystkich kinach puszczano *Stalowe serca*. Propagandowe dziełko, osadzone na Śląsku, jakiego nie znałem, z urzekającą rolą Ireny Laskowskiej, którą z chęcią bym poznał. Po trzech seansach dialogi znałem już prawie na pamięć. Alternatywą dla *Stalowych serc* były między innymi *Jasne łany*. Obraz jeszcze bardziej propagandowy i jeszcze obrzydliwszy, bo jawnie obrazujący polskie zacofanie. Radzieckie zresztą też.

Jesienią jednak do repertuaru Polonii weszła *Opowieść o prawdziwym człowieku*, na którą czekałem. To nic, że opiewała wątpliwe bohaterstwo wątpliwego asa lotnictwa czasów Stalina, ale nakręcono ją naprawdę sensownie. Po wizycie szczyłowego porucznika z przyjemnością

obejrzałem ją po raz drugi.

Nie wiem, skąd się wzięły te maniakalne wycieczki do kina. Potrafiłem zaliczać wszystkie seanse w tygodniu, premiery oglądałem po kilka razy, miałem swoje ulubione miejsca, ulubioną bileterkę i projektory. Szlag mnie trafiał, gdy wymieniano stary model na nowy. Nadawały na przemian, ale w tym przypadku technika nie poszła do przodu. Przynajmniej radziecka technika. Dziesięcioletni zeiss bił współczesne wschodnie gówno na głowę. Tej prawdy nie dało się zakrzyczeć nagłówkami gazet.

W tamtych miesiącach w głowie nieustannie dudniły mi słowa Helgi. „Boisz się samotności”. Bałem się, a jednocześnie byłem samotny. W pracy, jak dawniej, potrafiłem z nikim nie zamienić słowa przez cały dzień. Moje relacje ograniczały się do spotkań z Hansem, Günterem i Johanną, a prawdziwe emocje odczuwałem dopiero w kinie.

Filmy potrafiły wiele zastąpić.

Filmowe życie było więcej warte niż rzeczywiste.

**NIEDZIELA, 2 STYCZNIA 1949 R.**  
**GODZINA: 17:31**  
**UL. TARCZYŃSKIEGO 1**

– Pan Cyppek?

Odwróciłem się, gdy poczułem, że ktoś dotyka mojego ramienia. W kolejce do wyjścia stała za mną niska, ciemnowłosa kobieta. Miała okrągłą, ale ładną twarz, prosty nos i bystre spojrzenie. Skądś ją kojarzyłem.

– Tak, to ja – odparłem, przepuszczając ją przed siebie. – O co chodzi?

Znajdowaliśmy się w okazałym gmachu przy ulicy Tarczyńskiego. To w nim na trzecim piętrze odkryłem tańsze, a przede wszystkim zabawniejsze zastępstwo dla kina. Teatr kukielkowy „Czarodziej” pod wodzą jakiejś nadgorliwej nauczycielki. Lubiłem te amatorskie inscenizacje. Lubiłem ich klimat, sposób przedstawienia lalek i głosy aktorów. To był ciekawy świat uludy.

Dzień po Nowym Roku na spektaklu pojawiły się przede wszystkim dzieci i ich rodzice. Zresztą nic nadzwyczajnego, skoro wystawiano *Baśnie* braci Grimm. Jednak przy kobiecie, która mnie zagadnęła, nie dostrzegłem ani partnera, ani gromadki bachorów.

– Jadwiga Szepert.

Ująłem delikatną dłoń i cmoknąłem w powietrzu. Jadwiga Szepert. Nic mi to nie mówiło. Kobieta musiała dostrzec to w moich oczach, więc zaraz dodała:

– Sprzedaję bilety w Polonii.

– Ach, przepraszam. Oczywiście.

Zawsze powtarzam, że wszystko kręci się wokół kina. Po raz pierwszy widziałem tę kobietę inaczej niż skuloną przy biurku nad plikiem biletów i szufladą drobnych. Była dość zgrabna, choć dużo niższa, niż sądziłem. Podobało mi się to. Przy moich stu pięćdziesięciu ośmiu centymetrach wszystko, co więcej, wydawało mi się zbędnym naddatkiem. Żartem natury

wymierzonym wyłącznie przeciwko mnie.

Jadwiga była o kilka centymetrów niższa ode mnie, a jej kształtny nos...

– Już wiem, z kim pan nas zdradza. – Zaśmiała się, przysłaniając dłonią pełne usta. Miała ładne białe zęby.

– To tylko nic nieznacząca przygoda – odparłem, również się uśmiechając.

– Ratunek na wypadek notorycznych powtórek seansów...

– Albo na dzień taki jak dziś?

– Drugiego stycznia wszystkie kina powinny być otwarte.

– A to dlaczego? Żeby nigdy nie miała szansy obejrzeć Czarodzieja?

Zmieszałem się. Postąpiłem za nią w sznurze kolejki i ugodowo uniosłem dłoń.

– Najmocniej przepraszam. Nie to miałem na...

– Ależ oczywiście, że to. – Jadwiga obróciła się i puściła do mnie oko. Nie była oburzona. Ponownie zaniósła się niskim i gardłowym rechotem, który z jednej strony nie pasował do jej kobiecości, a z drugiej idealnie wpasowywał się w jej seksualność.

Wreszcie wyszliśmy na ulicę i zadygotaliśmy z zimna. Lodowaty wiatr smagał nam twarze, a płatki śniegu wirowały w powietrzu. Po świątecznych roztopach znowu go napadało i zrobiło się ślisko. Jadwiga wzięła mnie pod rękę. Być może nie miała świadomości, że jestem kaleką, bo oparła się na mnie ciężarem całego ciała tak, że omal nie upadłem. Za wszelką cenę starałem się utrzymać równowagę.

Do tej pory graliśmy wobec siebie całkiem inne role. Dla mnie była wysoką panią z kinowej kasy, a ja dla niej... No właśnie. Kim mogłem być dla niej?

– Kiedyś przychodził pan do Polonii z kobietą – zagadnęła, ciągnąc mnie na drugą stronę ulicy. – Ostatnio zawsze jest pan sam.

Stwierdzała fakt, ale w jej tonie wyczuwałem ciekawość. A może nawet dociekliwość. Przez chwilę naszła mnie myśl, że może być współpracowniczką milicji, ale to było absurdalne. Bileterka agentką służb? Choć przecież życie jest kinem...

– Żona odeszła – mruknąłem oględnie.

– Przykro mi...

– Nie powinno pani być.

– Przykro mi, bo wiem, że jest pan dobrym człowiekiem.

Zatrzymałem się i poprawiłem rondo kapelusza. Płatki śniegu osadzały mi się na kołnierzu płaszcza. Strzepnąłem je. Jadwiga stanęła naprzeciwko mnie, bardzo blisko. Zmrużyła oczy. Kąciki jej ust wciąż unosiły się w uśmiechu.

– Niby skąd może to pani wiedzieć?

Wzruszyła ramionami.

– Choćby po wyborze filmów, które ogląda pan po kilka razy. To pozwala ocenić, jaki pan jest.

– Naprawdę?

– Oczywiście.

Powiedziała to z pełnym przekonaniem. Musiała w ten sposób analizować każdego bywalca Polonii i traktować to niemal jako element pracy. Mimo wszystko zainteresowała mnie. Chwyciłem mocniej jej ramię i poprowadziłem ją w dół ulicy. Śnieg sypał coraz bardziej, a porywy wiatru pchały nas do przodu.

– W takim razie proszę mi powiedzieć. – Nachyliłem się do jej ucha. – Jaki jestem? Sam chciałbym się tego dowiedzieć.

Jadwiga przyspieszyła kroku. Nie patrzyła na mnie, a gdzieś daleko przed siebie, starając się przeniknąć wzrokiem zawieruchę.

– Wrażliwy – powiedziała tak cicho, że ledwie ją usłyszałem. Wiatr rozwiewał jej słowa. – Lubi pan filmy, w których pojawiają się prawdziwe emocje. Nie pompatyczne, sztuczne uczucia, ale właśnie szczerze emocje. – Zawiesiła głos, jakby zastanawiając się, czy coś powiedzieć, ale zaraz dodała tym samym tonem: – Jest pan sentymentalny. Dlatego ogląda pan produkcje wojenne, nawet te najbardziej kiczowate. Domyślam się, że przypominają panu młodość i wojnę. Nie tę ostatnią. Mam rację?

Nie odezwałem się, więc Jadwiga mówiła dalej:

– Był pan na wszystkich seansach *Chłopca z naszego miasta*. Samodzielny, a do tego zapalony do wojaczki młodzieniec, który wyrusza na front hiszpańskiej wojny domowej. Doświadcza największych okrucieństw, o włos unika śmierci i zostaje uznany za zaginionego. Potem cudownie pojawia się na sztuce teatralnej, w którą jedną z ról odgrywa jego ukochana. Piękne i nawet wiarygodne. To trochę o panu. Prawda?

Jadwiga się zatrzymała i przez płaszczyz dotknęła mojego biodra.



Poprowadziła dłoń niżej po udzie, a potem tam, gdzie już nic nie czułem.  
Jednak wiedziała.  
A może to też wyczytała z mojego ulubionego repertuaru.

## POCZĄTEK

Urodziłem się 20 sierpnia pięć lat przed końcem dziewiętnastego stulecia. Imię otrzymałem po ojcu, a charakter podobno po matce. Jadwiga z domu Śliwa była cicha, ale wybuchowa. Rządziła domem i trzymała w garści męża. Co z tego, skoro umarła kilka tygodni po porodzie. Niby to nie była moja wina, ale swoje wiem. Zresztą ojciec kilkakrotnie poinformował mnie o tym w przypiływie złości. Już jako niemowlę zniszczyłem dwa życia.

Wyrzuty sumienia mam do dzisiaj.

Z wczesnego dzieciństwa dobrze pamiętam tylko jedno wydarzenie. Miałem sześć, może siedem lat i poszedłem z przyjaciółmi nad stawy. Nie pamiętam już imion tamtych chłopaków, ale długo trzymaliśmy się razem. W głowie zostaje tylko to, co istotne.

Była zima, wodę skuł lód, więc wszystko zapowiadało świetną zabawę. Nie miałem jeszcze łyżew, a nikt mi nie chciał pożyczyć swoich. Zazwyczaj chłopcy otrzymywali je od ojców i stanowiły jeden z tych przedmiotów, których nie powinien dotykać nikt obcy. Mój ojciec nie miał zamiaru mi ich zrobić. O kupnie nawet nie było mowy.

Przez kilka godzin przypatrywałem się, jak większość dzieciaków z wioski szaleje ze szczęścia. Tańczyły, wygłupiały się, krzyczały. A ja siedziałem na brzegu zmarznięty i znudzony. Po jakimś czasie miałem dość. Podciągnąłem nogawki spodni i zacząłem się ślizgać na butach. Moi przyjaciele się śmiali, a ja po raz pierwszy w życiu odgrywałem przed nimi rolę jak w cyrku. Byłem pośmiewiskiem, ale miałem to w nosie. Pięknym uczuciem jest mieć dwie nogi i móc się tym cieszyć.

W pewnym momencie wpadłem na jednego z najmłodszych chłopców. Sebastiana. A może Seppa? Nieważne. Runęliśmy jak dłudzy na lód i wtedy usłyszałem tępy trzask. Tafla pękła, przez chwilę opierała się naszemu ciężarowi, aż wreszcie załamała.

Chwilę później dostrzegłem twarz Sebastiana lub Seppa po drugiej

stronie lodowej szyby. Bez słowa przypatrywałem się tej znajomej dziecięcej buzi. Była różowa, z oczami szeroko rozwartymi w przerażeniu. Doskonale je pamiętam. Wielkie, niebieskie oczy, trzepoczące powieki. Nasze nosy dzieliło może kilkanaście centymetrów, ale nie mogliśmy się dotknąć.

Nie myślałem wtedy o niczym poza pięknem wielkich, pełnych strachu oczu. Spoglądałem w nie jak zahipnotyzowany. Nie wiem, jak długo to trwało. Często podczas seansów filmowych ma się wrażenie, że czas przyspieszył. Zdajemy sobie sprawę, że minęła pełna godzina, a odczuwamy to jak ledwie kilka minut.

Wtedy odebrałem to podobnie. Tyle że był pewien problem.

To ja byłem pod lodem, a Sebastian lub Sepp rozpaczliwie usiłował mi pomóc.

Tamtego popołudnia po raz pierwszy w życiu doświadczyłem tego dziwnego uczucia. Przez jakiś czas nie byłem sobą. Nie czułem przeraźliwego zimna, nie walczyłem o życie, po prostu poddałem się temu, co będzie. Przypatrywałem się wszystkiemu jak widz w kinie, nie zamierzając szukać przerębli. Nie interesował mnie antrakt.

Ledwie mnie odratowano.

Bynajmniej nie po wyziębieniu, ale po tym, jak ojciec pasem uświadomił mi, jakim byłem idiotą.

Kilka lat później dostałem od niego kolejarskiego roskopfa. Być może w ten sposób chciał mi uświadomić upływ czasu, a może nie było w tym żadnego podtekstu. W każdym razie wydarzenia w naszym życiu są ściśle powiązane. Są przyczyny i skutki. Ojciec okazał się jasnowidzem, a ja dostałem swoją pierwszą robotę. Zostałem ślusarzem na kolei.

Przez kolejne dwa lata nie wydarzyło się nic ciekawego. Pracowałem, chadzałem do szynku Pod Latarnią i starałem się znaleźć kobietę, z którą mógłbym zaplanować przyszłość. Wciąż mieszkałem z ojcem, a roskopf nieustannie odmierzał mój czas.

7 maja 1915 roku, a więc na krótko przed moimi dwudziestymi urodzinami, wychodząc do magazynu kolejowego, natknąłem się na listonosza. Już z daleka do mnie machał, ale nie uśmiechał się szeroko jak zwykle. To zwróciło moją uwagę. W życiu każdego z nas są chwile, kiedy ogarnia nas złe przecucie, ale nie możemy niczego zrobić. Poddajemy się

biegowi wydarzeń.

Bryftrygier podjechał do mnie, zsiadł z roweru i bez słowa ściągnął torbę. Przez chwilę szperał w niej, wymownie chrząkając. Widziałem, że ma całe pliki podobnych listów. Wreszcie, nie podnosząc wzroku, wręczył mi zwykłą, opieczętowaną kopertę. Niemal wyrwałem mu ją z dłoni.

Natychmiast rozerwałem cienki papier i przebiegłem wzrokiem kolejne linijki.

*...ma obowiązek stawić się punktualnie, dokładnie umyty i trzeźwy, w czystym ubraniu. Zlekceważenie niniejszego wezwania lub spóźnienie się będzie skutkowało nałożeniem kary do marek 30 lub pięciu dni aresztu.*

Tego dnia dopadła mnie wojna, o której dotąd jedynie słyszałem. Mój patriotyczny ojciec po raz pierwszy był ze mnie dumny. Tyle że, tak jak wtedy pod taflą lodu, wszystko, co się działo, pozostawało poza moim wpływem. Poddałem się losowi.

A on w ciągu dwóch lat miał mnie ukuć na nowo. Obrobić niczym garncarz, który mokrą dłonią szlifuje glinę. Teraz, po upływie wielu lat, myślę, że tamtego dnia stałem się sobą. Albo przestałem być sobą.

To tylko kwestia perspektywy.

## **CZWARTEK, 17 SIERPNIA 1916 R.**

### **GODZINA: 11:07**

### **OKOPY**

– Baron!

Wrzask Henryka wyrwał mnie z zamyślenia. Od paru minut starałem się opracować jakieś sensowne zakończenie listu do Marii. Poznałem ją trzy tygodnie przed wyjazdem na front, tydzień później zobaczyłem kawałek jej piersi, a ostatniego dnia zdążyłem obiecać, że kiedy wrócę, weźmiemy ślub. Wymieniliśmy kilkadziesiąt listów, ja byłem po uszy zakochany, choć ona ostatnio stała się oszczędniejsza w słowach i mniej przekonana do naszych planów. Choć mogła to być tylko moja ponura interpretacja. Z perspektywy okopów nawet świat miłości staje się podejrzany.

– Baron!

Złożyłem kartkę i odłożyłem ją na bok. Moje buty z głośnym plaśnięciem odlepiły się od błotnistego podłoża. Wymiana ognia ucichła przed jakąś godziną i wszystkie dźwięki odbierałem znacznie wyraźniej. Otarł się o mnie szczył w rozchełstany mundurze. Ciężko dysząc, gonił za szczurem. Gryzoń uciekł po drewnianym wzmocnieniu okopu i prysnął w stronę ziemi niczyjej.

Ziemia niczyja była niespełna dwustumetrowym odcinkiem pomiędzy nami a zabojadami. Dwieście metrów obeschniętego błota, wyrw po ostrzale artyleryjskim, trupów, prowizorycznych zasieków, dawnych stanowisk ogniowych i zniszczonego sprzętu. Wszystko pod baczna obserwacją okopowych peryskopów, lunet i lornetek. Pod lufami dziesiątek tysięcy karabinów i pistoletów. W zasięgu kilkuset dział.

Podobno były takie fragmenty, gdzie ziemia nasiąkała krwią jak bibuła. Sam widziałem kałuże krwi, więc nie miałem żadnego powodu, by w to nie uwierzyć. Po każdej ulewie do okopów z ziemi niczyjej ściekała czerwona woda. Miała obrzydliwy zapach żelaza, który przyprawiał o mdłości.

– Baron!

Trzeci okrzyk przywołał mnie do rzeczywistości. Henryk stał kilka kroków dalej i wychylał się ponad linię umocnień. Wystawał mu dosłownie sam czubek głowy, lecz nawet to było surowo zabronione, gdyż stanowiło doskonałą okazję dla snajperskich popisów. Takie trafienie nazywano zdejmowaniem skalpu.

– Co ty robisz, do cholery? – Wsunąłem list i ołówek do kieszeni. – Wracaj tu!

– Baron pobiegł za tym pieprzonym szczurem.

Baron, miniaturowy kundel Henryka, był głupszy od gęsi. Tak tępego psa jeszcze nie spotkałem. Cieszył się z byle powodu, nikogo nie słuchał, ale cholernie się przymilał. Co noc spał zwinięty w kłębek na klatce piersiowej swojego przeszczęśliwego z tego powodu pana. Nie mam pojęcia, jak to wytrzymywali. On w pozycji mumii, a pies bez ruchu. Najwyraźniej sto procent aktywności wyrabiali w ciągu dnia.

Stanąłem na drewnianym wzmocnieniu i na ułamek sekundy wychyliłem się nad skraj okopu. Baron siedział w szerokiej wyrwie kilka metrów od nas. W błocie i na bardziej otwartej przestrzeni musiało mu być chłodniej niż w błotnistym zaduchu okopu. Z zadowoleniem rozdziawił pysk. Jego urwisowate spojrzenie mówiło, że nie zamierza wrócić.

– Baron! – wrzasnął Henryk po raz kolejny. Oczywiście, bez żadnego rezultatu. – Potrzymaj. – Zdjął z ramienia karabin i położył go obok mnie.

– Czyś ty zwariował?

Nietrudno się było domyślić, co chce zrobić. Chwyciłem go za rękę, ale się wyrwał. Nim zdążyłem zareagować, podciągnął się za poprzeczny występ i wyskoczył z okopu.

– Henryk, wracaj tu, do cholery!

W tym samym momencie rozległ się pojedynczy strzał. Usłyszałem plaśnięcie padającego na rozoraną ziemię ciała.

– Kurwa mać!

Dopałem do skraju okopu i wbrew regulaminowi znowu się wychyliłem. Henryk leżał skulony na boku parę metrów dalej. Był obrócony twarzą w moją stronę. Zbladł.

– Pieprzony idiota! – Porucznik von Strasse wyrósł jak spod ziemi. Musiał obserwować całą sytuację, a w dłoni wciąż ścisnął przenośny

peryskop. – Ani się waż... – rozkazał mi.

Chwilę później od strony francuskiej poniosło się kilka pojedynczych wystrzałów. Snajperzy mieli zabawę w celowanie w rannego. Albo w psa. Pieprzone sukinsyny.

– Żyjesz?

Porucznikowi odpowiedziało żalosne charczenie. Zebrało się przy nas kilku innych żołnierzy, ale nikt się nie odezwał.

Kolejny pocisk wbił się w ziemię na skraju okopu. Obłoczek błotnistego pyłu uniósł się i zaraz rozwiął, niesiony upalnym wiatrem.

– Musimy go tu ściągnąć – jęknąłem.

Z Henrykiem przyjaźniłem się od dziecka. Poznałem go niedługo po niefortunnym wpadnięciu pod taflę lodu. Jego imię pamiętam doskonale. Byliśmy jak bracia i jak bracia razem pojechaliśmy na wojnę. Razem przeżywaliśmy pierwsze miłości, rozczarowania i koszmar okopów. Ufałem mu bezgranicznie. I kochałem go za krotochwilne podejście do rzeczywistości. Gdy dwa miesiące temu we wsi na tyłach frontu przypałał się do nas pies, Henryk od razu go zaadoptował. Dzielił się z nim swoim jedzeniem, bez końca i bez powodzenia uczył komend, a przede wszystkim przywiązał się do niego. Mój przyjaciel był nieszkodliwym dziwakiem z wielkim sercem. Naprawdę go podziwiałem. Nie tylko ja. Urzekał każdego, z kim spędził choć kilka chwil.

Kolejny strzał przeciął powietrze, a zza okopu rozległ się jęk. Kula musiała trafić cel. Kolejna świsnęła metr nad naszymi głowami.

– Szlag!

Nie zważając na krzyki von Strassego, wyskoczyłem z okopu. To był odruch. Chyba po raz pierwszy w życiu działałem pod wpływem impulsu. Natychmiast padłem na ziemię i, odpychając się z całej siły, przeczołgałem się kilka metrów.

Pojedyncze strzały zamieniły się w kanonadę. Dwóch żołnierzy było celem wartym zachodu. Szansą na zaznaczenie kolejnego zabitego wroga na kolbie karabinu.

Henryk cały czas leżał w tej samej pozycji. Ciężko dyszał, ale widziałem, że mruga. Żył.

Zerwałem się do biegu i w kilku krokach do niego dopadłem. Jednym ruchem zarzuciłem go sobie na ramiona, a potem zawróciłem w stronę

okopów. Nie wiem, skąd wykrzesalem tyle siły. Kolejne wystrzały przecinały powietrze tuż koło nas. Ślizgałem się i chwiałem na nierównym podłożu. Przebiegnięcie kilku metrów wydawało się maratonem.

Gdy byliśmy tuż przy okopie, usłyszałem przeciągły pisk. W ułamku sekundy uświadomiłem sobie, że gdzieś obok spada pocisk moździerzowy. Nie zdążyłem nawet paść na ziemię. Siła eksplozji pchnęła mnie do przodu i zrzuciła z moich ramion Henryka. Razem runęliśmy do okopu.

Straciłem dech i przez chwilę leżałem oszołomiony. Nie wiem, jak długo to trwało, ale gdy otworzyłem oczy, pochylał się nade mną von Strasse. Darł się, aby natychmiast sprowadzić sanitariusza. Jego krzyk mieszał się z piskiem, który wciąż świdrował mi w uszach.

Z trudem obróciłem się na bok. Kilkanaście centymetrów dalej leżał Henryk. Poznałem go jedynie po włosach. Jego twarz nie przypominała twarzy człowieka. Strzępy mięsa zwisały z niej całymi płatami. Zamiast nosa zionęła czarna pustka. Jedno oko wypłynęło i ściekło po policzku.

– Jezu...

Zrobiłem wszystko, żeby go uratować, ale do okopu wrzuciłem już trupa. Odłamki pocisku moździerzowego jakimś cudem nie zrobiły mi krzywdy, a jemu dosłownie urwały twarz.

Nie pamiętam już, co się stało z Baronem. Z perspektywy lat mogę jedynie powiedzieć, że wtedy byłem dobrym człowiekiem. Ludzie nie rodzą się potworami, lecz takimi czyni ich świat. Gdzieś to przeczytałem.

Ale mam na to dowody. Upchnięte gdzieś w głębi szafy lśniące srebrne medale. Wbrew temu, co pisały gazety i bredził sąd, wcale nie jestem potworem. Choć to chyba kwestia pokrętnej logiki.



## NADAL NA FRONCIE

Jak się mogłem spodziewać, w końcu listy od Marii w ogóle przestały przychodzić. W ostatnim z nich wyjaśniała, że musi sobie poukładać pewne kwestie, a poza tym ma wyjechać do dziadków na wieś. Ponoć były tam problemy z pocztą. Najpierw wydało mi się to wygodną wymówką, a potem zrozumiałem, że jest gorzej, że to wierutne kłamstwo. Do Henryka pisywała niegdyś dziewczyna z Zwiedorfu. Zwiedorf składał się z kilku domów, ładnego kościoła, którego zdjęcie raz załączyła, oraz maleńkiego cmentarza. Nie leżał przy żadnej głównej drodze, nie miał własnego urzędu pocztowego, a mimo to listy przychodziły regularnie.

„Więź żołnierzy z rodzinami i bliskimi to podstawa!” – tak przecież wykrzykiwał Ludendorff albo ktoś podobny. A skoro dowództwo o tym zapewniało, to tak musiało być.

Maria najzwyczajniej w świecie mnie wystawiła. Nie miało sensu zastanawianie się, czy poznała kogoś zwolnionego ze służby albo ранego sprowadzonego w jej strony, czy też ojciec załatwił jej małżeństwo z bogatym emerytem.

„Tu mieszka szczęście”.

To już nie były słowa Ludendorffa ani nikogo ze sztabu. Ponoć takie inskrypcje znajdowano na portykach rzymskich burdeli. O tym również opowiadał mi Henryk, gdy obserwowaliśmy obskurne wozy ciągnące za naszymi liniami.

Byłem jeszcze idealistą i z myślą o Marii wciąż się powstrzymywałem przed odwiedzeniem domu szczęścia. Chyba jako jeden z dwóch żołnierzy w plutonie. Drugi, jak się dowiedziałem nieco później, w dzieciństwie stracił jedno jądro i właściwie nie odczuwał popędu seksualnego. Smutne, prawda?

Po śmierci Henryka najpierw popadłem w przygnębienie, ale stopniowo się z tego otrząsnąłem, aż wreszcie postanowiłem odszukać to szczęście.

Skoro mieszkało w drewnianym czterokołowym wozie, zdawało się być na wyciągnięcie ręki. Pogardzenie nim byłoby niegodziwością wobec samego siebie. Poza tym zrozumiałem, że Maria już nigdy nic nie napisze.

A nawet jeśli... Przestało mnie to obchodzić.

Wóz miał nieco ponad dwa metry długości. Pośrodku jednej ze ścian znajdowało się niewielkie podwójne okienko, dzięki któremu można było pozbyć się panującego w środku smrodu. Do drzwi prowadziła kilkustopniowa drabinka. W środku znajdował się niewielki barek, stoliczek i dwa oddzielone kotarą łóżka. Klient dziewczyny baraszkującej w głębi, wychodząc, miał możliwość przypatrzenia się zabawom jej koleżanki.

Takich wozów były tysiące. Wszystkie zbudowane mniej więcej tak samo. Właśnie dlatego mawiano, że być w burdelu raz to jak bywać w nim przez całe życie. Ceny były powszechnie znane. Zmowy cenowe trwały w najlepsze, choć czasem trafiały się upusty. Usługi też wszędzie oferowano te same. Wybierać można było jedynie pomiędzy damami. Jedni woleli starsze, inni nieco młodsze, na niektórych wozach reklamowały się „Duże Teresy”, na innych „Małe Sary”. Szczęście mogło być szybkie, wolne, głośne, ciche, charakterne i uległe.

Charlotte była cichą Francuzką. Po raz pierwszy przyjęła mnie sama, gdyż jej współtowarzyszka właśnie miała przerwę. To się chyba nazywa fart. Poczęstowała mnie ciepłą wodą w kieliszku. Smakowała obrzydliwie. W środku wozu pachniało nagrzanym drewnem, potem i perfumami. Od samej tej mieszanki zbierało mi się na wymioty.

Szczęście miało więc brzydki zapach.

Smakowało najpierw również nieświeżo, tytoniem. A niżej miało już tylko słony posmak potu, zmęczenia i...

Okazało się naprawdę przyjemne.

Pierwszy raz. Zainicjowanie życia, przełamanie tabu i zaznanie miłości. Za wszystko to zapłaciłem kilka kilometrów od pełnej trupów ziemi niczyjej. Moją przepustką był medal, który dostałem za próbę ratowania towarzysza broni i niewielkie obrażenia, jakie wtedy odniosłem. Gdybym miał pecha, skończyłbym jak rozkawałkowany trup lub przed plutonem egzekucyjnym za nieposłuchanie rozkazu von Strassego.

Stało się jednak inaczej. Henryk zafundował mi pierwsze od dawna

chwile szczęścia.

Wtedy jeszcze nie miałem pojęcia, że szczęście u Charlotte miało dodatkowy wymiar. Nie chodziło o to, że było raz szybkie, a raz wolne, czasem ciche, a innym razem głośne. Zawsze było perwersyjne. Charlotte prosiła, by dawać jej klapsy, ścisnąć za piersi i robić to tak mocno, jak tylko było się w stanie. Wtedy uznałem to za coś normalnego, ale kilka lat później, gdy kochałem się z delikatną Heleną, zacząłem się zastanawiać. Jak ona dawała radę robić to w ten sposób dziesiątki razy na dzień? A może coś nie tak było z moją żoną?

W tamtym wojennym czasie miałem to głęboko w nosie. Przychodziłem i brałem swoje szczęście tak często, jak tylko mogłem. Nie chciałem próbować żadnego innego. Odpowiadało mi właśnie takie. Zmienne, bolesne i upokarzające. Bez rozmów, bez pytań i bez popijania wina. Nigdy nie pojawiło się nic innego prócz ciepłej wody nalanej do eleganckiego kieliszka. Sądzę, że ukradła go z jakiegoś francuskiego serwisu.

Charlotte zazwyczaj przyjmowała kochasiów (nazywała nas kochasiami, nigdy – klientami) przy wejściu. To był element jej gry erotycznej. Jeżeli kochaś jej współpracownicy wychodził, prężyła się i śmiała. Lubiała, kiedy patrzyli. Niekiedy prosiła, by w czasie, za który płaciłem, ktoś inny mógł dać jej klapsa. Nie przeszkadzało mi to. Skoro nakręcała się wtedy jeszcze bardziej, byłem wręcz zachwycony.

Któregoś razu mimowolnie pewne pytanie zaprzętnęło całą moją uwagę. Czy daję jej zbyt mało satysfakcji, skoro potrzebuje klapsów od innych? Nurtowało mnie to przez wiele dni. Choć miałem po temu okazję, dwa razy z rzędu nie odwiedziłem Charlotty. Te myśli mnie dręczyły. Chciałem pójść do innej dziewczyny i się przekonać. Ale nim się na to zdecydowałem, los wziął sprawy w swoje ręce. O nim opowiem za chwilę.

Potem to cholerne pytanie męczyło mnie przez lata i nie znalazłem na nie odpowiedzi. Później, kiedy poznałem Helenę, również nie znalazłem odpowiedzi. Byłem jej pierwszym mężczyzną, a w sprawach damsko-męskich miała rozeznanie zbudowane na kobiecych gazetach. Czyli zerowe. Po ciemku mogła pomylić palec z penisem, a grdykę z jajkiem. Nieustannie wszystko ją bolało, klapsy nie pozwalały się skupić, a gdy ciągnąłem ją za włosy, grzecznie prosiła, żebym przestał. Dwa światy. Trafiłem na pieprzone dwa światy i nie umiałem z nich wybrać tego prawdziwego.

Jeden był pełen ułudy, a drugi wypchany moją fantazją. Leżąc i dysząc przy zgaszonym świetle, nie potrafiłem czerpać radości z seksu. Równie dobrze mógłbym ocierać się o pieprzony materac. Helena musiała się z tym pogodzić. Czy jej się to podobało, czy nie.

A później...

A później... już chyba rozumiecie, dlaczego tak dobrze dogadałem się z Margharitą.

Nie wierzyłem w miłość. Wierzyłem w urozmaicenia.

**PIĄTEK, 2 LUTEGO 1917 R.**  
**GODZINA: 7:41**  
**NADAL W OKOPACH**

Przez ostatnie dziewięć miesięcy jedyną zmianę stanowiło to, że błoto pokryło się lodem. Wyrwa artyleryjska, w której niegdyś chował się Baron, wciąż znajdowała się dokładnie naprzeciwko mojego stanowiska. Strzepy munduru Henryka nadal tkwiły w ziemi niczyjej. Ostrzał czasem był cichszy, a czasem głośniejszy. Na naszym odcinku jakimś cudem nigdy nie doszło do próby przerwania pozycji. Francuzi próbowali to zrobić parę kilometrów dalej na północ, ale wobec porażki tamtych działań być może odpuścili tutaj.

– Masz poczucie, że śmierć nie może ci się przydarzyć? Że nie dotyczy akurat ciebie?

Wolfgang spoglądał na mnie spode łba. Miał osiemnaście lat, ale wyglądał na kilka mniej. Naburmuszone dziecko, które trafiło do obcego świata. Zarzucał mi najbardziej absurdalnymi pytaniami. Lubił dywagacje i filozofowanie. Nie był chłystkiem z zamożnego domu, w których rodzice każą dzieciom zastanawiać się nad istotą stworzenia, ale jego ojciec pracował jako nauczyciel pierwszych klas w szkole powszechnej, a to wiele wyjaśniało. Przywlekał do domu wszystkie wątpliwości wiejskich dzieciaków i scalał je w jeden monolog.

– Czasem – odparłem, zaciskając dłonie na kolbie mausera. – Staram się o tym nie myśleć.

Za kilka minut mieliśmy rozpocząć atak. Po raz kolejny rzucić się do biegu w stronę wroga. Dwieście metrów po ziemi niczyjej, dwieście metrów sprintu między kulami, szrapnelami i drutami kolczastymi.

– A ja mam czasem ochotę to sprawdzić i sam sobie strzelić w łeb – skwitował Wolfgang. – Ciekawe, co by się wtedy stało.

Skulony tuż obok nas żołnierz zaśmiał się nerwowo. Dwóch kolejnych

nuciło nieznaną mi piosenkę. Ktoś głośno się modlił.

– Słaby pomysł. Obawiam się, że mógłbyś tego nie przeżyć...

– Strzału w łeb?

– Aha.

Wolfgang wzruszył ramionami. Był jeszcze w tym wieku, kiedy śmierć jest abstrakcją. Nawet jeżeli widzisz ją codziennie w najgorszej postaci. Ten wiek pozwalał naszym asom na dziesiątki powietrznych zwycięstw. Brak szacunku dla życia, pogarda dla śmierci. A później się okazywało, że kostucha jednak istnieje i sprawnie ucina głowy. W kraksie, przy zderzeniu z ziemią lub przy użyciu karabinowej kuli.

Sam miałem ledwie dwadzieścia dwa lata, ale pobyt na froncie udowodnił mi, że ludzie nieśmiertelni nie istnieją. Może latając w przestworzach, dłużej się żyje marzeniami? Może to zwyczajnie kwestia perspektywy i bliskości do nieba? Podejścia do tak przyziemnych spraw jak śmierć i przemijanie?

– Słyszałeś o solipsyzmie? – Wolfgang był coraz bledszy i zaczął drżeć. To zaciskał dłonie na karabinie, to odpuszczał. Spod hełmu ściekła mu struzka potu. Wiła się wzdłuż brwi i spływała przy nosie.

– Nie. Co to jest?

Nie miałem ochoty na rozwodzenie się nad głupotami. Właściwie, jak przed każdym atakiem, najchętniej wcisnąłbym do uszu zatyczki. Odciał się od całego świata. Zamiast tego poprawiłem pojemnik z maską przeciwigazową i udałem zainteresowanie tematem.

– Pogląd filozoficzny – wyjaśnił oględnie Wolfgang. Rozejrzał się po okopie i po chwili mówił dalej: – Zakłada, że na świecie istniejemy tylko my sami. To znaczy ja albo ty, albo ktokolwiek inny. A wszystko pozostałe to jedynie wytwór naszej wyobraźni. To znaczy wyobraźni tego jedyne istniejącego. Chyba rozumiesz?

– Dlaczego więc mi to tłumaczysz, a ja o tym w życiu nie słyszałem?

– To właśnie jest sedno! Mogłeś słyszeć, ale twoje ja specjalnie tak modyfikuje ci osobowość, żeby...

– Dobra, skończmy z tym. Już się pogubiłem.

– Ale...

– Po prostu się skupmy.

Te idiotyzmy zaczynały mnie drażnić. Solipsyzm, hedonizm, komunizm,

a do tego tysiące innych pojęć, którymi szafował Wolfgang. Jego świat miał bardzo optymistyczne barwy. Wszystko wokół niezmiennie go ciekawiło i nie rozumiał, że czasem właśnie najlepiej jest zamknąć się w sobie. Po co mu były te wszystkie problemy? Sam nigdy nie wpadłbym na pomysł zastanawiania się, czy istnieję na świecie jako jedyny. Takie myśli potrafią namieszać w głowie.

– Dlaczego artyleria nie daje nam wsparcia? – zapytał nagle. – Zawsze najpierw jest artyleria...

– Pewnie mamy wreszcie zaskoczyć zabojadów. To wąski odcinek frontu – mruknął stary Reiss. Pojawił się nie wiadomo skąd i od razu zaczął snuć swoje mądrości. Kolejny.

– A może kajzerowi skończyła się ciężka amunicja?

Reiss skarcił mnie wzrokiem.

– Tak, wiem. – Nerwowo się roześmiałem. – Nasze kobiety od świtu do nocy ślęczą w fabrykach. Tylko które? Bo mam wrażenie, że wszystkie Niemki zjechały na front w burdelwozach.

– Jak śmiesz!

Są chwile, kiedy wszystko ma się gdzieś. Człowiek nie przejmuje się tym, co pomyślą inni, albo – co mu grozi. Czy to było sianie defetyzmu? Nie sądzę. Poza tym kogo interesuje kara za defetyzm, kiedy ma się zaraz rzucić pod ogień karabinów maszynowych.

– Zawsze byłeś śmieciem. – Reiss pchnął mnie na drewniane rusztowanie. Był wyższy, ale na pewno słabszy ode mnie. – Powinieneś...

Nigdy się nie dowiedziałem, co powinienem, bo w tym momencie powietrze przecięło wycie setek gwizdków. Dostawaliśmy taki sam sygnał jak psy na szkoleniu. Reiss odwrócił się i wspiał po drabinie. Wolfgang pobiegł za nim, a ja jeszcze przez ułamek sekundy stałem bez ruchu. Wokół rozpętało się piekło. Do gwizdów dołączył rozrywający bębenki huk kanonady. Kajzer miał jednak jeszcze amunicję. Rozkaślały się ciężkie karabiny, a nad naszymi głowami zawyły pociski moździerzy.

Von Strasse wymownie uniósł pistolet. Odruchowo poprawiłem karabin i wspiałem się po obłoczonej drabinie. Wypadłem na otwartą przestrzeń ziemi niczyjej. Pędziłem ile sił w nogach, nie zważając na nic. Ramię w ramię z tysiącami młodych mężczyzn, którzy byli gotowi poświęcić wszystko w imię ukochanej ojczyzny. *Heimat. Vaterland.* Być może to one

istniały, a my byliśmy ich wyobrażeniem.

Przeskoczyłem wyrwę, w której kiedyś, wykrwawiając się, leżał Henryk. Paroma susami ominąłem krater, w którym chował się Baron. Głęboko wciągałem powietrze. Zostawiałem za sobą przeszłość i...

Najpierw zaskoczyło mnie, że tracę koordynację ruchów. Później nogę przeszyła mi seria skurczy. Jeszcze później zdałem sobie sprawę, że moje spodnie przypominają sito i błyskawicznie nasiąkają krwią.

Wtedy poczułem ból. Ostry i palący, jakby szarpano mi mięśnie rozgrzanymi szczypcami.

Zachwiałem się, ale zdołałem wykonać jeszcze kilka kroków. Wreszcie zwałem się bezwładnie na ziemię i skuliłem na boku. Wewnętrzny głos kazał mi jednak iść dalej, ciągle naprzód, do ataku. Nie zważając na ból, zacząłem się więc czołgać po oblodzonych bryłach błota.

Jak robak, który zwietrzył woń trupa.

Podciągałem się i parłem na wroga. Obserwowałem oddalający się zarys sylwetki Wolfganga. Obok niego biegł stary Zeiss. A może ktoś zupełnie inny? Wówczas wszyscy wyglądaliśmy tak samo.

To była moja ostatnia myśl przed utratą przytomności.



## GODZINĘ PÓŹNIEJ

Głównym problemem przyfrontowych szpitali, a raczej sal operacyjnych, było sortowanie rannych. W ciągu godziny mogło się ich pojawić nawet kilka tysięcy. Rozumiecie to? Kilka tysięcy w przybytku, który w ludzkich warunkach pomieściłby stu, w najlepszym razie – dwustu ludzi. W warunkach bydłowych – pięciuset. Tylko część z nich jest nieprzytomna. Nieprzytomny ranny to dobry ranny, bo nie drze się pod niebiosa. Poza tym rokuje, że szybko zwolni miejsce następnym.

Nosze lądowały jedne obok drugich na podłodze lub przed budynkiem, bezpośrednio na ziemi. Właściwie ta druga opcja była przyjemniejsza, bo szpitalna podłoga często była pokryta kilkucentymetrową warstwą krwi, płynów ustrojowych i kału. Wokół zaś unosił się potworny smród śmierci.

Wspomniałem o sortowaniu. Było za nie odpowiedzialnych kilku, czasem kilkunastu młodych sanitariuszy lub – częściej – studentów. W ich rękach spoczywał los rannych. Decydowali o tym, kto jako pierwszy ma trafić na umowny stół operacyjny. Operowało się bowiem na podłodze, krzesłach i szafkach. Wszędzie, gdzie tylko był kawałek wolnej przestrzeni.

Ja miałem szczęście. Dobry anioł z przerażonym spojrzeniem i umazanymi krwią dłońmi przydzielił mnie do drugiej tury. Nim pojawiłem się przed chirurgiem, znalazło się przy mnie kilka zakonnic.

Otumaniony z bólu, ledwie oddzielający sen od jawy, myślałem, że chcą ze mną zmówić ostatnią modlitwę. Zamiast tego dwie z nich chwyciły mnie pod ramiona, a trzecia rozcięła spodnie. Brzmi zachęcająco, ale wcale takie nie było.

– To nie boli... – wydukałem.

Chwilę później miałem jednak wrażenie, że jestem rozkrajany na żywca. Że trzecia siostra chwyciła wiązanki moich nerwów i szarpała nimi nad niewidocznym płomieniem. Wiłem się. Wrzeszczałem. Traciłem kontakt ze świadomością tylko po to, by zaraz znowu ocucił mnie piekielny ból.

Zaciskając szczęki, połamałem sobie zęby i przygryzłem język. O to w tamtym momencie nikt się nie martwił. Niemowa mógł trzymać karabin, a do tego nie był w stanie jątrzyć. Żołnierz idealny.

Okazało się, że do największych ran właśnie wsadzano mi specjalne bloczki soli, które miały działać dezynfekcyjnie. Dezynfekcja ponoć ratowała życie, ale w tamtym momencie chciałem już tylko umrzeć. Marzyłem o tym, żeby mnie dobito.

Sól wypalała mnie od środka. Miałem wrażenie, że przepływająca przez moją nogę krew ma co najmniej tysiąc stopni. To nie była krew. To było wrzące żelazo. Lawa.

Kiedy bezsilny, otumaniony z bólu opadłem na nosze, siostry mnie puściły. Nie zamierzały tracić czasu. Kolejni ranni czekali w kolejce.

Następne godziny i dni pamiętam jako poszatowane obrazy. Ból je wykrzywił i pomieszał. Kule, które przeszły moją łydkę i udo, nie były najgorsze. Pech chciał, że inna utkwiła w kolanie, odrywając kawałek rzepki. W tamtym czasie równało się to amputacji. Jeżeli miałem przeżyć, musiałem stać się kaleką.

Na takich jak ja chirurg nie tracił czasu. Nie próbowano innych terapii. Przynajmniej tak mi się zdaje. Po prostu odzyskałem świadomość już z owiniętym bandażem kikutem i metalową blaszką wieńczącą kość. Najpierw pomyślałem, że to tylko potworny sen, a potem ból powrócił ze zdwojoną siłą. Bolała mnie część ciała, która już nie istniała. Chciałem się chwycić za piszczel, ale tam było jedynie powietrze.

Płakałem, myśląc o okrutnej Marii i perwersyjnej Charlotte. Cała nadzieja, że wrócę z tego piekła do normalnego życia, w jednej chwili okazała się mniej warta od bajek. Byłem naiwny. Znacznie bardziej naiwny niż nafaszerowany solipsystycznymi banialukami Wolfgang. Jak ciele zwabione do rzeźni zapachem świeżej trawy.

Podczas tamtego bezsensownego ataku, który w ciągu kilkudziesięciu minut został odparty, straciłem normalność. Stałem się robakiem, choć nie miałem jeszcze o tym pojęcia.

Zastanawiam się, czy może tutaj był mój początek. Czy to w szpitalu polowym, w morzu kału i krwi, w smrodzie gnijących ran i usuwanych kończyn, stałem się Józefem Cypkiem? Imię i nazwisko to tylko umowa. Decyzja rodziców. Nie możemy o tym decydować, tak samo, jak nie mogłem

zdecydować o swoim losie. Bohater wojenny z kilkoma wspaniałymi orderami w jednej chwili stawał się nikim. Tracił marzenia, nadzieje i perspektywy. Spadał na samo dno hierarchii społecznej.

Tyle że wtedy o tym nie myślałem. Zamknąłem to w sobie i karmiłem się złudzeniami. Marzyłem o tym, żeby cały świat trafił w okopy tej wojny, a każdy człowiek stracił część siebie. Tylko tak mogła dla mnie powrócić normalność. Tylko wtedy, gdy wszyscy będziemy kalekami.

O tym marzeniu zapomniałem na długie lata.

Ale w końcu niespodziewanie odżyło.

**SOBOTA, 10 GRUDNIA 1949 R.**

**GODZINA: 17:31**

**UL. WILSONA 7/3**

Zabijanie bagnetem, granatem lub kulą karabinową to morderstwo takie samo jak każde inne. Usprawiedliwiamy śmierć milionów, ale nie jesteśmy w stanie zrozumieć instynktów. Wszystko ma swoją przyczynę i skutek. Biednego Alberta zabiłem, bo chciał mnie zostawić. Helgi się pozbyłem, bo odkryła jego głowę. Dwukrotnie nakaz odebrania życia rozbłysnął w moim umyśle jak błyskawica. Nie planowałem tego ani nie analizowałem.

Była przyczyna i był skutek.

To jak wypowiedzenie wojny. Jego rezultatem jest śmierć, choć nikt nie mówi o niej wprost. Mimo że jest jego oczywistym następstwem, pozostaje w szarej strefie oczywistości. To jedna z wielu prawd. Taka sama jak ta, że tylko normy społeczne, kulturowe albo moralne powstrzymują nas od mordowania.

Człowiek jest maszyną stworzoną do zabijania. Nie oszukujmy się. Jeszcze przed kilkuset laty większa część populacji męskiej ginęła z ręki innych ludzi, nie na skutek chorób. Dwa wieki temu pojedynek na śmierć i życie był sposobem rozwiązywania sporów. Rozwój cywilizacji zawdzięczamy tylko chęci wynalezienia jak najbardziej śmiertelnej broni. W którym momencie zerwał się ewolucyjny łańcuch zabijania dla przeżycia? Dla zaspokojenia popędu, rozładowania emocji czy oczyszczenia atmosfery? Umarł król, niech żyje król. To wcale nie hasło francuskich lojalistów, a zawołanie prehistorycznych plemion. Najsilniejszy eliminował dotychczasowego wodza i sam się nim stawał. Dopóki nie pojawił się silniejszy od niego. Albo równie silny, lecz z twardszą czaszką.

Regularnie nachodziły mnie myśli o śmierci i zabijaniu. W snach powracały opuchnięte trupy z okopów albo śpiące zwłoki Heleny. Nigdy moi synowie. Czasem zjawiał się stary Koch z obrzmiałym językiem

w splekanych ustach. Innym razem nawiedzali mnie Albert, Helga albo mały Eryk. Nie wiedziałem przecież, czy umarł, lecz w snach widziałem go zatłuczonego na śmierć. Nie przerażał mnie. Raczej byłem ciekawy tego, jak potoczyła się jego historia. Dla świata nie zmieniłoby się zupełnie nic, gdybym go zabił tamtej nocy w lodowatej piwnicy.

Lubiłem filmy, w których pokazywano śmierć. Interesowało mnie, jak przedstawiają ją ci, którzy być może nie mieli okazji się z nią zetknąć. Obserwowałem reakcje widzów. Żałowałem tylko, że na te pokazy nie wpuszczano dzieci. Co za absurd. Może gdybyśmy już za najmłodszych lat mówili im o śmierci, a nie odchodzeniu, przemijaniu czy wstępowaniu do nieba ludzkość byłaby bardziej odporna. Bralibyśmy to jak każdy etap życia. Nie rozumiem, jak można ronić łzy rozpaczony nad zmarłym, a cieszyć się, że ktoś właśnie został inwalidą, a nie trupem. Albo że się urodził.

„Mogłeś umrzeć”.

Mogłem i pewnie lepiej by było, gdybym umarł. Od razu.

W każdym razie po prawie roku bliższej znajomości Jadwiga zrobiła mi prezent. Zbliżała się Gwiazdka, ale nie chodziło chyba o żadną okazję. Analiza charakterów na podstawie gustów filmowych powinna trafić na sale wykładowe.

Tuż po wpół do szóstej usłyszałem pukanie do drzwi. Od dłuższego czasu nikt mnie nie nachodził. Z Hansem i Johanną spotykaliśmy się u Güntera, sąsiedzi trzymali się ode mnie z daleka, a szczyłowaty gliniarz w końcu sobie odpuścił. Dochodzenie w sprawie Helgi zostało umorzone.

Nigdy nie pytałem „kto tam?”, nie chowałem się za drzwiami, nawet nie przekręcałem zamka. Nacisnąłem po prostu kłamkę i ze zdziwieniem spostrzegłem dziesięcio-, może dwunastoletniego chłopca. Wpatrywał się we mnie spojrzeniem potulnego barana.

– Pani Jadwiga z kina wysłała mnie do pana – oznajmił bez ogródek. – Tak miałem powiedzieć.

Otworzyłem drzwi nieco szerzej. Oparłem się na zdrowej nodze i odruchowo pogładziłem podbródek.

– Po co?

– Powiedziała, że pan na pewno rozmieni mi pieniądze na bilet.

– Co takiego?

– Pieniądze. Na bilet. Rozmieni. – Malec niemalże przesyłabizował te

słowa, przekonany, że nie dosłyszę. – Dobrze? Bardzo proszę.

Nabrałem powietrza. Popatrzyłem na jego wątlą sylwetkę, wąskie ramiona i długie nogi. Miał czerwony od zimna nos, pąsowe policzki i blade usta. Za duża futrzana kurtka musiała w jego rodzinie przechodzić z pokolenia na pokolenie. Albo zdarto ją z jakiegoś trupa w czasie wojny.

Wyobraziłem sobie, jak heroicznie Jadwiga musiała powstrzymać się od śmiechu.

„Tam po drugiej stronie ulicy mieszka bardzo miły pan. Zawsze ma drobne, żeby rozmienić. Jeśli będziesz grzeczny i ładnie poprosisz, może jeszcze dostaniesz cukierka. No, nie wstydź się, mały. Idź śmiało”.

I wtedy do repertuaru moich związanych ze śmiercią wątpliwości dołączyła jeszcze jedna.

Dlaczego ten cholerny gówniarz może się cieszyć pieprzonym seansem filmowym, podczas gdy moi synowie gniją w ziemi? Nie interesowało mnie następstwo pokoleń ani inne tłumaczenia. Coś za coś. Powtarzam, każdy skutek ma swoją przyczynę. Czasem jest nią jedynie chęć rozładowania emocji. A czasami, jak w przypadku śmierci, są nimi narodziny.

Chwyciłem chłopca za kołnierz i, nim zdążył krzyknąć, wciągnąłem go do mieszkania. Zatrzasnąłem drzwi i zakneblowałem mu usta. Rzucił się i wił, ale nie miał szans nawet z kaleką. Był za słaby i za mało zwinny. To ten typ, który służy za ofiarę. Chłopiec do bicia.

Przycisnąłem go do siebie i obróciłem jego głowę tak, że brakowało może centymetra, a skręciłbym mu kark. Spojrzałem mu w oczy. Załzawione i szeroko rozwarte. Palcem wskazującym przeciągnąłem po jego dolnej powiece i delikatnie nacisnąłem. Poczułem, jak gałka oczna się przesuwa.

Nacisnąłem raz jeszcze.

I zamrugałem.

Chłopiec stał przede mną, ściskając w dłoni banknot. Patrzył na mnie błagalnie, jeszcze bardziej zmieszany przeciągającą się ciszą.

– Rozmieni mi pan? – zaskomlał. – Bardzo proszę.

Błyskawicznie chwyciłem go i wciągnąłem do mieszkania.

Tym razem naprawdę.

# **CZTERDZIEŚCI MINUT PÓŹNIEJ MAGAZYNY DZISIEJSZEJ WYŻSZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ (PODCZAS WOJNY: SKŁAD FARMACEUTYCZNY) UL. SŁOWACKIEGO**

Chłopiec miał na imię Daniel i (tak jak sądziłem) dopiero skończył jedenaście lat. Jego ojciec zaginął podczas wojny, a matka trafiła do Szczecina z jakiejś zapadłej dziury w dawnej Polsce wschodniej. Chłopiec pamiętał jedynie, że znajdowała się w niej cerkiew, a ludzie handlowali małymi końmi. -ice. Tak wypowiadał jej nazwę. Pierwsza sylaba była żalonym łkaniem.

Prowadziłem go jak najlepszy ojciec. Obejmowałem go dłonią i co chwilę poklepywałem po ramieniu. Byliśmy niczym świetni kumple. Kiedy ktoś się do nas zbliżał, ostrzegawczo zaciskałem palce na kruchym obojczyku. Wiedział, że jeżeli cokolwiek zrobi, to go zabiję.

O opuszczonych magazynach przy Słowackiego dowiedziałem się przypadkiem. Hans zastanawiał się nad sprowadzeniem do nich części trefnego bydła, do którego miał dojście. Obecnie dokonywał przerobu na bieżąco, a i tak brakowało mu mięsa. Czasem musiał czekać tygodniami na kolejną dostawę, więc miałem pewność, że nie będzie z nich teraz korzystał.

My to co innego.

My byliśmy tu i teraz.

Musieliśmy iść szybko, choć Daniel starał się nas spowalniać. Udawał skurcze, dygotał, błagał mnie, żebym pozwolił mu wrócić do domu. Dwukrotnie wpadł w panikę. Musiałem go wtedy uspokajać wbijanym w żebra ostrzem noża. Ukradkiem, by żaden z przechodniów się nie zorientował.

Odgrywanie ojca z dzieckiem całkiem mnie bawiło. Czułem się, jakbym ulice Szczecina przerobił na wielką scenografię. Ja i on. I nasze role życia  
Przynajmniej na pewno jego.

Do magazynu można się było dostać od tyłu, przez gruzowisko. Nikt nie pilnował tego terenu, lecz z każdą sekundą poziom adrenaliny w moim organizmie osiągał nowe rekordy. Po raz pierwszy coś planowałem. Delektowałem się myślą, że wreszcie zdołałem opanować impuls i przekuć go w rozsądne działanie.

Daniel nagle okazał się godnym przeciwnikiem. Niespodziewanie kopnął mnie w protezę tak, że o mało nie upadłem. Wywinął się z mojego uścisku i rzucił do ucieczki. Mógł biec tylko w jedną stronę.

Do magazynu.

Zły na swoją nieuwagę i kalectwo, powlokłem się za nim.

– Hej! Wracaj tu! – Mogłem krzyczeć do woli, a nikt obcy by mnie nie usłyszał. – Bo będzie tylko gorzej!

Odpowiedział mi szelest kroków między gruzami.

Było już ciemno, a tyłów magazynu nie oświetlała żadna lampa. Zdjąłem niewielki tobołek i wyciągnąłem latarkę. Ostrożnie ruszyłem naprzód. Po bokach hałdy rumowiska były na tyle wysokie, że po omacku chłopiec nie był w stanie ich pokonać. Dalej aż do samego magazynu ciągnął się dwumetrowy płot z gładkich desek.

– Gdzie jesteś?

Tym razem odpowiedzią był szmer wiatru między zwałami metalu. Daniel musiał gdzieś się schować. Albo jakimś cudem po ciemku udało mu się biec, nie wpadając na żadne sprzęty. Nie wierzyłem w cuda.

– Pieprzony gówniarzu!

Zaczynałem się denerwować. Sytuacja wymknęła mi się spod kontroli, a tego bardzo nie lubiłem. Z narastającą złością myślałem o tym drobnym, rozciągniętym jak sparciała guma gnojku. Wyobrażałem sobie, że gołymi rękoma łamię mu obojczyki. Wydłubuję oczy, wyrywam język i rozpruwam usta.

Mógł mi uciec.

– No, pokaż się szczyłu!

Niezdarnie przyspieszałem kroku. Omiatałem światłem latarki drogę przed sobą i czerń magazynu. Kuśtykałem. W moim tobołku brzęczały



noże, tasak i piła.

Pusto. Po Danielu nie było nawet śladu. Od bramy magazynu dzieliło mnie mniej niż dziesięć metrów, ale nie słyszałem, żeby ktoś ją przesuwiał. Chłystek nie był aż tak drobny, aby się precyzyjnie przeczisnąć przez wąską szparę.

Chociaż...

Gdyby pierwszy dostał się do środka, pewnie udałoby mu się zwiać. Do rana nie zdołałbym go odszukać w stertach gruzu, porzuconych sprzętów i śmieci.

Ciężko dyszałem. Westchnąłem, opuściłem nisko ramiona i... Gwałtownie się odwróciłem. Przestałem odgrywać niezdarnego durnia, który pozwoliłby uciec swojej ofierze.

Światło latarki padło na wykrzywioną przerażeniem twarz chłopca. Ukrył się w jedynym możliwym miejscu, pomiędzy płotem a starym zejściem do kanałów. W ostatnich miesiącach zbyt wiele razy obszedłem tę okolicę, by coś przegapić. Zdaje się, że od dawna planowałem tę chwilę.

– Chodź tu – nakazałem mu ostro. – Wyłaź.

Daniel, ociągając się, zrobił, co kazałem. Nie odzywał się słowem. Nie łkał, nie wrzeszczał ani nie błagał o pomoc. Nie takie miałem wyobrażenie o jego drodze krzyżowej. Dawniej, myśląc o tej chwili, zawsze wspominałem myszowłosą dziewczynkę, której dłoń ścisnąłem na zgliszczach starego miasta. Miałem nad nią pełną władzę i czułem to. A ona czuła to samo.

Tymczasem małego gnojka ogarnął taki strach, że przypominał kukielkę z teatryku Czarodzieja. Był całkowicie bezwolny. Całkowicie poddany. Dwa razy popchnąłem go mocniej, tak że upadał na ziemię, ale niczego to nie zmieniło. Wstał, otrzepał się i poszedł dalej.

Bąłem się, że stracę część satysfakcji. Wkrótce jednak okazało się, że zupełnie niepotrzebnie. W momencie, gdy ogłuszyłem go ciosem w potylicę, od razu poczułem radość. A może bardziej spełnienie, podobnego do tego, jakie się czuje po wytrysku? Sam nie wiem. W każdym razie rozkładając Daniela na betonowej posadzce, miałem ochotę płakać ze szczęścia. Zdjąłem z niego ubranie i rzuciłem pod pokrytą pleśnią ścianę. Uważałem, by latarka oświetlała tylko dół pomieszczenia. Wolałem nie przykuwać niczyjej uwagi, choć pewnie nikt by tu nie przyszedł, nawet gdybym rozpałił ogniska.

Daniel ocknął się, gdy metalową piłą zacząłem odcinać mu nogę. Nie mógł

się poruszyć, bo skrupowałem go grubym sznurem, a dla pewności dodatkowo rzeźnicką linką. Próbował się uwolnić, wyginał nadgarstki. Przez szmatę, którą wepchnąłem mu do ust, wibrował rozpaczliwy charkot. Wola życia najwyraźniej mu powróciła.

Miał szczupłe uda. Niemal mógłbym je objąć dłonią. Z tętnicy trysnęła krew i ochlapała wszystko wokół. Cofnąłem się i z bezpiecznej odległości obserwowałem tę ludzką fontannę. Jej każda kolejna erupcja była coraz słabsza. W półmroku wydawało się, że krew jest prawie czarna, choć wiedziałem, że ma odcień rozwodnionego barszczu.

Wkrótce przedstawienie się zakończyło. Wreszcie mogłem się zabrać do tego, na co najbardziej czekałem. Sprawnie rozciąłem resztę mięśnia, a następnie piłą rozkroiłem kość. Uciałem malcowi nogę, tak jak przed laty uciał mi ją los.

Potem zabrałem się za dłoń i za ramię. Mściłem się już nie tylko za synów, lecz przede wszystkim za siebie.

**NIEDZIELA, 11 GRUDNIA 1949 R.**  
**GODZINA: 12:17**  
**UL. WILSONA 7/3**

Była niedziela, a niedziela to przede wszystkim czas odpoczynku i dobrego jedzenia. Pokrojone w kostkę mięso z pośladków Daniela obsypałem solą i wymieszałem z cebulą. Nie było go dużo, więc dodałem jeszcze znacznie bardziej żylaste uda. Trudno. Mięso to mięso.

Nie znalazłem pieprzu, ale tym również niespecjalnie się przejąłem. Nie pozowałem na nadętego smakosza. Zresztą nie miałem przed kim pozować. Zalałem całość wodą i dusiłem, wdychając przyjemny aromat. Pachniało naprawdę świetnie. Po kilku minutach dorzuciłem suszone grzyby, które jeszcze jesienią dostałem od Johanny. Natychmiast zrobiłem się głodny. Do ust napłynęła mi ślina, a w żołądku zaburczało. Z trudem powstrzymałem się przed skosztowaniem. Nigdy nie miałem okazji plątać się w kuchni przy matce i próbować podjadać, ale zdaje się, że czułbym się wtedy prawie tak samo. Walczyłem z pokusą.

Po niecałych trzech kwadransach dodałem skromną porcję kiszonej kapusty i trochę startej marchewki. Aromat jeszcze się nasilił. To było coś obłądnego. Głupi bachor, który pewnie na podwórzu zbierał lanie od każdego z kolegów, wreszcie mógł się do czegoś przydać. Urodził się i umarł. Jak każdy z nas. Różnimy się jedynie czasem, który pomiędzy tymi granicami przydzielił nam los. W tym wypadku to ja byłem jego losem.

Kiedy kapusta zmiękła, głód dosłownie wykręcał mi trzewia. Nie mogłem się dłużej hamować. Spróbowałem krztyny gorącego dania wprost z gara i natychmiast poczułem się lepiej. Znacznie lepiej, niż gdybym wypił pół litra wódki, zagryzając ją najlepszymi ogórkami. Przyznaję, że Daniel smakował po prostu obłądnie.

Po kilku kęsach otarłem dłonią usta i uśmiechnąłem się sam do siebie. Koniec. Mimo że nie zaspokoilem głodu, nie miałem problemu

z oderwaniem się od posiłku. Gdybym go teraz zjadł, wyzerając wprost z gara, wszystko poszłoby na marne. Nie taka była koncepcja. Sam się zdziwiłem, że gdzieś w podświadomości miałem już przygotowany plan. Do tej pory ukryty, zasnuty powracającymi wspomnieniami, nagle ujawnił się z całą mocą.

Jak zwykle poddałem się temu, co miało być.

Całość potrawki przełożyłem do wielkiego słoja, w którym kiedyś trzymałem głowę Alberta. To był symbol, ale cholernie mnie rozbawił. Wspominałem już chyba, że każdy skutek ma swoją przyczynę. Życie to pieprzony krąg, a ten słoje tylko mi o tym przypomnieli. Choć już naprawdę nie wiem, w jaki sposób. Wtedy wydawało mi się to doskonałym skojarzeniem. Zakręcając wieko, śmiałem się do rozpuku.

Tamtej nocy nie zmrużyłem oka. Nie mogłem przestać myśleć o małym Danielu i o tym, że wreszcie czyjaś śmierć miała nie pójść na marne. Poza tym wyrównałem z życiem porachunek o pamięć po Ottonie. Przynajmniej w tym starciu był remis. Choć w całej grze póki co przegrywałem z kretesem, dostrzegłem szansę na odmianę losu.

To był dopiero początek, a ja miałem wiele rachunków do wyrównania. I wcale mi się nie spieszyło.

**PONIEDZIAŁEK, 12 GRUDNIA 1949 R.**  
**GODZINA: 7:09**  
**BAZAR PRZY UL. CEGIELSKIEGO**

Musiałem się jakoś odwdzińczyć Johannie. Za grzyby. Za dobre słowo, dowcipy, którymi wraz Günterem mnie raczyli. Po prostu.

Tego dnia miałem przyjść do zajezdni na późniejszą zmianę, więc mogłem się wyspać. Do samego rana przeleżałem jednak, przekręcając się jedynie z boku na bok. Kiedy tylko mój roskopf wskazał szóstą, zerwałem się z łóżka i pospiesznie przyszykowałem. Gdy wyszedłem z kamienicy, było jeszcze ciemno. Na bazar nie miałem daleko, a poza tym mogłem podjechać autobusem. Mimo to wybrałem się na piechotę. Na plecach dźwigałem stary tornister, do którego upchnąłem słój z moim popisowym daniem. Nie zmieścił się ani do tobołka, ani do teczki. Nie miałem ochoty przewozić go taczka, która nadal stała obok wejścia do klatki.

Delikatnie prószył śnieg, ale nie było mroźno. Temperatura musiała spaść raptem kilka kresek poniżej zera, bo wczorajsze kałuże skuł cienki lód. Dzieciaki w drodze do szkoły wygłupiały się i ślizgały po nich jak dawniej moi przyjaciele na stawie. Tym razem to moja twarz była nad lodem. Tryumfowałem.

Po kwadransie byłem na miejscu. Johanna stała tam, gdzie zawsze, przy niewielkim stoliku, na którym miała wystawione owinięte w gazety towary. Ubrana była w grube futro z przydługimi rękawami. Co chwilę je podciągała, odsłaniając wełniane rękawice. Wokół szyi miała czerwony szal. Wyglądała jak karykatura eleganckiej damy sprzed dwudziestu lat. Jej o wiele zbyt obfite kształty robiły wystarczającą różnicę.

– Co mamy dzisiaj? – zagadnąłem, podchodząc.

Odwróciła się zaskoczona. Dopiero po chwili się uśmiechnęła i machnęła na powitanie, oczywiście poprawiając zaraz rękaw.

– Joseph!

Przynajmniej dla Niemców nadal byłem Josephem.

– Mam coś dla ciebie. W prezencie, żebyś mogła...

Nie dokończyłem. Właściwie nie wiedziałem, po co to zrobiłem ani co Johanna mogłaby z tym zrobić. Ściągnąłem tornister i postawiłem go na ziemi. Kilka przechodzących obok osób natychmiast skupiło na mnie spojrzenia. Każdy nowy towar był atrakcją.

Wyciągnąłem słój i podałem go Johannie. Ważył co najmniej siedem kilo, ale wzięła go, jakbym podał jej kostkę masła. Przez chwilę się nie odzywała. Obróciła słój i obejrzała go, nachylając w stronę pobliskiej latarni. Uwaga przechodniów i okolicznych sprzedawców jeszcze się wzmogła.

– Z mięsem? – zapytała, stawiając naczynie na stole.

– Z mięsem – przytaknąłem. – Naprawdę dobrym.

– Od Hansa?

– Nie.

– W takim razie skąd?

– Zdobyłem.

Spojrzała na mnie podejrzliwie.

– Spokojnie. Mam paru znajomych na wsi. – Zapewniłem, siląc się na uśmiech. – To żaden pies, tylko naprawdę smaczne mięso.

– Wygląda dobrze.

– I tak też smakuje. Możesz mi wierzyć. Nie patrz, jakbym miał cię otruć.

– Po prostu nigdy wcześniej mi o tym nie mówiłeś.

– Nie gadaj, tylko spróbuj.

W ustach wciąż czułem delikatną kwasowość kapusty pomieszanej ze słodyczą mięsa. Daniel był naprawdę smaczny. Chudszy i delikatniejszy niż Helga. Mimo że dorzuciłem kawałki z ud, nie czuło się ścięgien ani żył. Naprawdę rozpływał się w ustach.

– Będzie na kilka porcji. – Johanna jeszcze raz obróciła słój pod światło. – Ile za to chcesz? Tylko pamiętaj, że jeżeli to wkładka z jakiegoś starego uboju albo padłego ze starości, będziesz miał przesrane. U klientów mam naprawdę dobrą opinię.

– Nie rozczarują się – powiedziałem z przekonaniem. – Będą jedli, aż im się uszy będą trzęść.

– Ile?

- Co ile?
- Ile za to chcesz?
- Mówiłem, że to prezent. – Udałem obruszonego, choć Johanna po prostu zachowywała się jak handlarka. – Ważne, że się nie zmarnuje.
- „Nie tak jak mięso moich synów” – dodałem w myślach.

**PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R.**  
**GODZINA: 10:21**  
**SĄD WOJEWÓDZKI W SZCZECINIE**  
**UL. KASZUBSKA 42**  
**Z ZEZNAŃ JÓZEFA JAROSZA**

Milicjanci musieli czekać, aż Cyppek wreszcie się pojawi. Utrzymywali, że nie mogą po prostu wejść do jego mieszkania, bo widzieliśmy na podłodze poplamioną pierzynę. Jeden z nich zachowywał się przez cały czas bardzo nerwowo i chciał się skontaktować z przełożonym, ale drugi go uspokajał. Nie pamiętam ich nazwisk. W końcu zdecydowali, że będziemy czekać na klatce schodowej. Reszcie sąsiadów nakazali natychmiast rozejść się do domów. Obawiali się chyba, że ktoś mógłby go ostrzec lub spłoszyć.

W każdym razie ja czekałem razem z nimi. Chcieli, żebym również wrócił do mieszkania, ale kategorycznie odmówiłem. Powiedziałem, że jeśli chcą, mogą mnie aresztować, lecz się stamtąd nie ruszę. Przecież nie mogłem. Jakbym mógł pójść i siedzieć sam?

Zofia obiecała zająć się jeszcze przez jakiś czas naszą małą, za co byłem jej bardzo wdzięczny, ale nie miałem nawet jak tego okazać. Siedziałem na schodach i starałem się jakoś to wszystko sobie wytłumaczyć, zebrać w logiczną całość. Jednak – tak jak powiedziałem – nie miałem już nadziei. Wyobrażałem sobie, że Irena jest w środku cała i zdrowa, że może tylko ją uprowadził, skrepował, delikatnie zranił, ale w to nie wierzyłem...

Dobrze wiedziałem, że oszukuję sam siebie. Przecież to nie



miałoby sensu. Poza tym miałem złe przeczucie. Tak, wiem, że to nieistotne.

O ile dobrze pamiętam, Cyppek pojawił się tuż przed jedenastą. Nie spodziewał się obecności milicji i całkowicie nieświadomy wszedł na klatkę schodową. Było zupełnie ciemno, więc kilkakrotnie nie wcelował kluczem do zamka. Zdaje się zresztą, że był nieco podпиты. Może nawet bardzo. Trzymał się futryny, a kiedy wreszcie otworzył drzwi i milicjanci wyszli z ukrycia, nie zareagował. Po prostu ruszył do mieszkania. Zatrzymał się dopiero na wyraźne polecenie. Najpierw zapalił światło w mieszkaniu, a potem obrócił się w naszą stronę. To akurat zapamiętałem bardzo wyraźnie.

Nie próbował uciekać. Wydaje mi się, że nawet się uśmiechał. On w ogóle zawsze miał taki wyraz twarzy, jakby kpił ze wszystkiego wokół. Nawet teraz! Niech wysoki sąd każe mu przestać! On znowu to robi!

Przepraszam.

Ale...

*Tu sąd zarządza dziesięć minut przerwy.*

*Dalsze zeznanie podjęto zgodnie z zarządzeniem.*

Tak, kiedy milicjanci zaczęli z nim rozmawiać, przepchnąłem się i wbiegłem do jego mieszkania. Wyrwałem się im. Od razu, bez namysłu pobiegłem w stronę pomieszczenia, w którym przez okno dostrzegłem pierzynę. Nigdy wcześniej nie byłem w środku, ale mieszkanie ma niemal identyczny rozkład jak nasze, więc bez trudu się orientowałem. Poza tym to ledwie dwa pokoiki, kuchnia i niewielki przedsionek.

W powietrzu wyczułem ostry zapach, lecz nie był to smród zgnilizny. Raczej... Teraz wydaje mi się, że właśnie tak pachnie krew, choć wtedy nie zwróciłem na to uwagi. Wciąż mam w nosie ten odór. Czuję, jak oblepia mi gardło, i nie mogę go odcharknąć. Nigdy nie będę mógł. To wszystko, wysoki sędzie, co mi zostało po żonie... Odór jej wnętrzości. Zapach krwi i potu, wypełniający

i tak cuchnącą stęchlizną norę.

Kiedy minąłem kuchnię... Przepraszam. Chyba nie mogę o tym opowiadać. Po prostu źle się czuję. Czy mógłbym jeszcze raz prosić o chwilę przerwy?

*W tym miejscu przewodniczący oddał wniosek świadka. Zarządza odczytanie milicyjnej notatki z oględzin mieszkania Józefa Cyppka. Józef Jarosz podnosi, że ustosunkuje się do jej treści.*

*Sąd odczytuje notatkę milicyjną:*

W pokoju na kanapie leżały zwłoki kobiety z odciętą głową, rękami i wyciągniętymi wnętrznościami. Ręce i jedno udo przy szafie. Wnętrzności – w wiadrze pod oknem. W kuchni na zlewie, krzesłach i drzwiach czerwone plamy – część nieudolnie pościerana. Na półce przy kafłowej kuchni miska do połowy wypełniona czerwoną cieczą. Obok maszynka do mielenia mięsa ze świeżymi śladami. Na talerzach serce i wątroba ludzka. Na stole na patelni niedojedzona jajecznica z jakimś tłuszczem. Obok chleb ze smalcem, sałatka z pomidorów i kawałek surowego mięsa, chyba wołowego. Po mieszkaniu walały się butelki po piwie i wódce.

*Dalsze zeznanie Józefa Jarosza:*

Nie pamiętam szczegółowego rozmieszczenia fragmentów zwłok, ale pamiętam, że cała kuchnia była pokryta krwią. Wszędzie widać było jej zacieki, a na meblach znajdowały się roztarte plamy. Na podłodze krew dosłownie zbierała się w kałuże i wyciekała na korytarz. Pamiętam też tę miskę i garnki, ale nie zwróciłem uwagi na ich zawartość. Jak wspomniałem, chciałem się jak najszybciej dostać do tamtego pokoju. Boże...

Jej ciało było całe rozkawałkowane... Ubranie rozpruto jak stare szmaty. Nie zostało nawet zdjęte. On po prostu rozerwał je razem ze skórą. Ręce... Ręce zostały odrąbane, tak samo nogi... Nigdzie

**nie było głowy. Wtedy nie wiedziałem, że po prostu wziął ją ze sobą na spacer. Rozglądałem się w nadziei, że to ktoś inny, choć doskonale znałem tę sukienkę i kształty... Nie mogłem się mylić. Wiedziałem, ale...**

**Czy to mógł zrobić człowiek? Ten ktoś nie może być człowiekiem, wysoki sędzie. Proszę, niech jego również posiekają na takie kawałki. Czy istnieje taka kara wśród tych waszych najdoskonalszych przepisów? Niech ten skurwysyn poczuje to samo, co czuła moja żona!**

**Proszę...**

**Błagam o sprawiedliwość...**

## **POCZĄTEK STYCZNIA 1919 R.**

Po dwóch latach rekonwalescencji doszedłem do siebie na tyle, że nie tylko umiałem dość sprawnie kuśtykać, lecz nawet zwalczyłem nawracające drętwienie nieistniejącej nogi. Mimo to nie zdążyłem już wrócić na wojnę. Poza tym, pozbawiony z dnia na dzień większości środków do życia, stałem się wrogiem tego, za co dopiero byłem gotów przelewać krew. I za co straciłem kawałek siebie. Jakieś dwanaście kilogramów.

Pieniądze to wystarczający argument za całkowitą zmianą poglądów. Cesarz mnie zostawił, świat Zachodu – zdradził, więc z łatwością zwróciłem się ku prężnie rozwijającej się partii komunistycznej. Jako inwalida wojenny błyskawicznie stałem się jej żywą wizytówką. Opłacono mi nawet pobyt i mieszkanie w Berlinie. Trafiłem do niego pod koniec osiemnastego roku, a od paru miesięcy przynależałem do Spartakusa.

Właściwie wcale nie zgadzałem się z ich poglądami. Marks, Engels, ten krzykacz Lenin? Przecież to wszystko byli nasi dawni szpicle. Każdy doskonale o tym wiedział. Ci wariaci mieli rozmontować carską Rosję, ale przy okazji zbyt mocno wczuli się w swoje role.

Mówiłem wam już, że życie to film? Tak jest naprawdę.

W tamtym okresie byłem jednak przede wszystkim zły na to, jaki los spotkał właśnie mnie. Nie Niemcy czy Niemców, ale konkretnie mnie. Dlatego mogłem przymknąć oczy na mrzonki o wielkim związku socjalistycznym, o uniwersalnym państwie, które wcale nie byłoby państwem, i na wszystkie te inne farmazony.

Rewolucja klasowa?

Nie byłem robotnikiem, rolnikiem ani proletariuszem. Byłem żołnierzem. Inwalidą wojennym. Bohaterem.

To, co przybliżało mnie do komunistów, jednocześnie czyniło mnie od nich bardzo odległym. Wtedy jednak o tym nie myślałem. Byłem po prostu zły. Tyle że złość kierowałem w niewłaściwą stronę.

Na początku stycznia rząd zdymisjonował Emila Eichhorna ze stanowiska szefa berlińskiej policji. Eichhorn, tak jak ja, był członkiem Partii Komunistycznej oraz Spartakusa. To okazało się wystarczającą iskrą, by rozniecić prawdziwy pożar. Przyczyną, o której tak często wspomynam. Istotną nie tylko dla kraju, lecz także dla mnie. I moich przyszłych ofiar.

Ale po kolei.

5 stycznia 1919 roku w większości porannych gazet pojawiły się nawoływania do strajku, co właściwie nikogo nie powinno dziwić. Tysiące osób wyszło na ulice. W ciągu dwóch kolejnych dni do Berlina przyjechały kolejne mniej lub bardziej zwarte grupy. Nawet część wojska przeszła na naszą stronę.

Bez trudu zdobywaliśmy drukarnie, redakcje gazet i dworce. W rękach Spartakusa znalazło się nawet część gmachu ministerstwa wojny. Rząd próbował negocjować, wojsko się wahało, a tłum gęstniał. Sytuacja wymykała się spod kontroli. Nikt nie przewidywał takiego rozwoju wydarzeń. Rewolucja miała być szybka lub zduszona w zarodku.

Naprzeciw mnie stanęli moi dawni towarzysze broni, zorganizowani w Freikorpusach. Chyba wciąż myśleli, że wojna nie została przegrana, a upokarzający traktat to tylko mydlenie oczu. Przez cały czas nie wiedziałem, czy to ja wybrałem złą stronę barykady, czy oni. W sumie... Dalej nie potrafię tego ocenić.

11 stycznia razem z grupą kilkuset działaczy broniłem redakcji „Vorwärts”. Wiedzieliśmy, że do szturmów szykują się uzbrojone po zęby jednostki rządowe. Budynek miał cztery piętra i spore poddasze. Przez pewien czas planowano umieszczenie w nim dowództwa powstania, ale nic z tego nie wyszło. Rządowi jednak chyba mieli inne informacje.

– Idą!

Pamiętam, jak wykrzyknął to któryś z dzieciaków. Było wśród nas dziesięciu, może piętnastu nastolatków gotowych bardziej do szabrowania niż do walki w imię jakichkolwiek postulatów. Ich czujność jednak nie miała sobie równych.

Błyskawicznie zerwaliśmy się z miejsc i rzuciliśmy w stronę głównego wejścia. Każdy jak mógł, a miejcie na względzie moje zdolności.

Nim padły strzały, na budynek skierowano pociski artyleryjskie. Kilka

z nich zrobiło pokaźne dziury w dwóch górnych piętrach i rozerwało parę balkonów. Chwilę później pod naporem kanonady z okien wyleciały wszystkie szyby. Do środka wdarł się lodowaty wiatr.

Nie mieliśmy dokąd uciekać.

Siła eksplozji granatu wyrwała drzwi z zawiasów i wtedy nasz los został przesądzony. Kolejne granaty wpadły do budynku przez okna, dziury w ścianach i główne wejście. Co trzeci z nas miał broń, większość zwyczajnie się bała. Prawie nikt nie rzucił się do okien, by powstrzymać szturm. Rozległy się pojedyncze strzały, poczuliśmy swąd dymu i usłyszeliśmy huk eksplozji. Ktoś doniósł, że część poddasza zajął ogień. Padał śnieg i to było naszą jedyną nadzieją na ocalenie przed spaleniem się żywcem.

– Można uciec, skacząc z górnej kondygnacji na...

Wszyscy o tym mówili, a ja nie zamierzałem tego słuchać. Po pierwsze, z jedną nogą o skakaniu mogłem zapomnieć, a po drugie, dość miałem uciekania. Po raz kolejny śmierć ocierała się o mnie, a ja wyciągałem do niej dłoń.

Po mojej stronie nie było nikogo. Choć raczej dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że to ja jestem po niczyjej stronie. Usiadłem tuż obok wyrwanych drzwi wejściowych i nabiłem fajkę. Odpaliłem ją, czekając na to, co się wydarzy. Odłożyłem mausera i wszystkie pięć zamkniętych w łódce naboju. Spoglądałem na kilkadziesiąt osób cisnących się ku schodom na piętro.

Tak, tam była wolność i ucieczka.

Tam była hańba.

Przymknąłem oczy i oparłem się o ścianę. Po raz kolejny w życiu zaciągnąłem się swądem spalenizny, który miał mi już towarzyszyć zawsze. Dopiero cios wymierzony kolbą w żołądek odebrał mi dech. Skuliłem się na boku i otworzyłem oczy. Członkowie Freikorpusu wpadli już do budynku. Kilku z nich z zaciętymi minami stało nade mną.

Kopali mnie w głowę, klatkę piersiową i ramiona. Podkutymi piętami i czubami butów. Silnie. Wściekle.

– Zastrzel go.

Mężczyzna z żelaznym krzyżem pod kołnierzem koszuli ledwie na mnie spojrział. Nie interesowała go pojedyncza zdobycz, a w głowie pewnie wciąż

miał marzenia o zdobyciu głównej kwatery powstańców.

Po chwili podszedł do mnie czterdziestokilkulatek z austriackim manlicherem. Miał założony bagnet i byłem pewny, że będzie chciał oszczędzić amunicję.

Podciągnąłem się i spojrzałem mu prosto w oczy. Nie bałem się. Czekałem, aż stalowe ostrze przeszyje moje ciało i przybije je do ściany.

– Co to?

Nie wiedziałem, o co chodzi. Dopiero po chwili zrozumiałem, że mężczyzna wskazuje na mój kikut. Nogawka spodni podciągnęła się i odsłoniła protezę.

– Służyłeś? – zapytał zdziwiony.

Skinałem głową. Wymienianie imienia, nazwiska, stopnia i jednostki miałem gdzieś. Na moim nagrobku mogli postawić jedynie stertę kamieni.

– Na tyły go – rozkazał szturmowiec. – Do paki!

## KOLEJNE TRZY MIESIĄCE

Kolejne trzy miesiące spędziłem na tułaczce po berlińskich aresztach, ancelach i więzieniach. Powstanie upadło kilka dni po moim aresztowaniu, choć nie miało z nim żadnego związku. Byłem nic nieznaczącym trybikiem w nienaoliwionej maszynie. Zryw komunistyczny w Niemczech nie miał wtedy racji bytu. Zbyt silne było przywiązanie żołnierzy do dowódców, a dowódców – do własnych korzeni.

Dziewięćdziesiąt procent oficerów pochodziło z rodzin szlacheckich. Nawet jeżeli nie mieli tytułu, służyli cesarzowi od pokoleń. Wychowywani w domach z wojskowymi tradycjami brzydzili się rewolucją. Koniec cesarstwa był dla nich wystarczającym szokiem i zmianą. Nigdy nie nakazaliby swoim ludziom walki o obalenie i tak nowego ustroju – chyba że w imię przywrócenia tego, co było.

Moje pierwsze przesłuchanie prowadził rosły Hauptman w doskonale wypolerowanych oficerkach. Po nich można poznać prawdziwego żołnierza. Najpierw ich podeszwy lądowały na moich dłoniach, potem czub parę razy wbił się pod zębra. Pytania padły na samym końcu.

– Z kim współpracowałeś? – Hauptman nie podnosił głosu. Sprawiał wrażenie całkowicie opanowanego, a kopniaki można by uznać za zwykły tik nerwowy.

Po raz kolejny nie odpowiedziałem. Byłem rozpoznawalnym, ale całkowicie szeregowym członkiem partii. Robiłem za pajacyka i reklamę. Nie miałem żadnego pojęcia o sposobie jej funkcjonowania, układach ani władzach. Jasne, imponowali mi Róża Luksemburg i Karl Liebknecht, lecz ich nazwiska znał każdy.

Kolejny kopniak wymierzony był w mój kikut. Ku ogólnej ucieście protezę zabrano mi tuż po zatrzymaniu. Wbrew pozorom nie było to szczególnie wrażliwe na ból miejsce. Mimo wszystko skuliłem się na boku.

– Patrz na mnie, gdy do ciebie mówię.



Oczy miałem prawie przez cały czas zamknięte. Otwierałem je tylko wtedy, gdy udawało mi się osłonić rękoma głowę. Wtuliłem się w zimną ceglana ścianę. Cela miała trzy, może cztery metry kwadratowe wielkości i poza mną oraz Hauptmanem znajdował się w niej jeszcze jeden żołnierz. Stał z tyłu, tuż przy wejściu. Tyle odnotowałem pomiędzy kolejnymi razami.

– Patrz na mnie, bydlaku! – Tym razem oficer wrzasnął.

Rozwarłem delikatnie powieki i zobaczyłem, jak zakończony drutem kolczastym pejcz mknie prosto ku mojej głowie. Poczułem potworny ból. Druty wyrwały mi całe kępki włosów wraz ze skórą.

– To pamiątka z pola walki. – Hauptman nachylił się nade mną i otarł pejcz dłonią. – Podobno też byłeś na froncie, co? I nagle strzeliło ci do łba, żeby dołączać do tych bandytów?

Obróciłem się nieco, a wtedy poczułem kolejne uderzenie. Spadło na mój bark i plecy. Skuliłem się otumaniony rozszarpującym świadomością bólem.

– Jesteś śmieciem. Powinienem cię zabić.

Usłyszałem odgłos przeładowywania pistoletu i otworzyłem oczy. Wola życia powróciła zaskakująco szybko. Jeszcze niedawno byłem gotowy umierać, ale... Kiedy jest się katowanym, to z jednej strony marzy się o śmierci, a z drugiej – jedynie o wolności. To skomplikowane.

– Jesteś zwykłym zdrajcą. – Hauptman pokręcił głową i zaczerpnął powietrza. Uśmiechnął się, mierząc mi prosto w twarz. Jego palec powędrował w stronę spustu, uśmiech się powiększył i...

Rozległo się tępe pstryknięcie.

Pistolet był nienaładowany.

Oficer wybuchnął głośnym śmiechem, schował broń do kabury i się wyprostował.

– Będziesz gadał – wycedził. – Oj, już to czuję, że będziesz gadał.

Skinął do stojącego w drzwiach żołnierza, a ten go przepuścił. Miał szesnaście, może siedemnaście lat. Gdy Hauptman zniknął, dzieciak zmierzył mnie pogardliwym, zimnym spojrzeniem. Po chwili splunął i również wyszedł z celi. Szczęknęła zasuwka, a ja zostałem sam.

Przez kolejne trzy miesiące bito mnie, głodzono, kazano siedzieć godzinami w lodowatej wodzie albo na nodze odwróconego stołka. Wszyscy traktowali mnie jak pieprzonego organizatora całego powstania albo co

najmniej jednego z przywódców strajku. Byli też wściekli, że milczałem. Po chwilowym przyływie woli przetrwania wkrótce znowu popadłem w apatię. Nie było mi może wszystko jedno, ale próg bólu się zwiększył. Moje ciało przypominało nawet nie wrak, a rozbity szkielet człowieka. Skóra na zdrowej nodze schodziła całymi płatami. Namoczona i pokierszowana, przypominała skórę pozbawionej łusek ryby, mocno nieświeżej i gnijącej.

Nie było żadnego procesu. Przesłuchania ciągnęły się aż do końca lutego, co wiem tylko dlatego, że Hauptman kilka razy sporządzał raport. Rozpocynało go, oczywiście, skrętne podanie dnia oraz godziny. Przypuszczam, że za każdym razem kartki kończyły w piecu.

Wreszcie chyba zrozumiano, że nie mam pojęcia o działalności wywrotowej komunistów. Od tego czasu bito mnie już tylko dla czystej przyjemności. Raz albo dwa razy dziennie, czasem z przerwami na podgojenie ran. Zabawa skończyła się zupełnie nieoczekiwanie i któregoś ranka wylądowałem prosto na ulicy. Oddano mi nawet ukochanego roskopfa, a do kieszeni wepchnięto woreczek tytoniu. Do tej pory nie wiem, jaki cud to spowodował.

Początek 1919 roku miał dwie konsekwencje. Po pierwsze, znienawidziłem komunistów za to, że byli nieudacznikami. A po drugie, zamarzyłem, by być kiedyś po drugiej stronie. To ja chciałem kogoś dopaść i aresztować.

Marzenia przekułem w rzeczywistość wiele lat później.

**CZWARTEK, 13 KWIETNIA 1950 R.**  
**GODZINA: 17:21**  
**UL. JAGIEŁŁY**

Emocje, których dostarczył mi Daniel, buzowały we mnie przez wiele miesięcy. Nigdy nie brałem narkotyków, nawet nie miałem do nich dostępu, ale myślę, że mechanizm jest podobny. Raz wzięte, trzymają przez jakiś czas, wprowadzają w przyjemny nastrój, a potem nagle organizm domaga się kolejnej dawki.

Można to również, jeszcze wymowniej, przyrównać do uczucia, jakie towarzyszy jedzeniu dobrej potrawy. Spowolnijmy je i rozbijmy na kęsy. Po pierwszym głód jeszcze wzrasta, a danie wydaje się wyborne. Jeżeli w tym momencie wstaniemy od stołu, po chwili apetyt gwałtownie opadnie. W ustach pozostanie niezapomniany aromat, o którym będziemy przez jakiś czas myśleć bez przerwy. Ale, oczywiście, nie będziemy mieć potrzeby, by kolejnego dnia skosztować tę właśnie potrawę. Przypomnimy sobie o niej zupełnie przypadkiem, a wtedy po prostu będziemy musieli ją przyrzędzić.

Rozumiecie, do czego zmierzam?

Tamtego dnia z zajezdni wracałem okrężną drogą. Było dość ciepło, całkiem jasno, a niebo przybrało piękną pomarańczową barwę. Wiele par wyszło na spacer, po ulicach biegały watahy dzieciaków, a z daleka niósł się odgłos przewalających się składów tramwajowych.

W owym czasie Szczecin wciąż pozostawał gruzowiskiem. Uporządkowanym, oczyszczonym przynajmniej z większości trupów, ale gruzowiskiem. Budowano niewiele, raczej przywracano do używalności to, co się do tego nadawało, i debatowano. Nad przyszłością starego miasta, nad kształtem bulwarów, nad ulicami, promenadami i losem portu. Portu, który pozostawał jeszcze pod częściową kontrolą Sowietów.

Debaty, wiece, spędy i ogłoszenia, oczywiście, niczego nie zmieniały.

Prace nad hucznie zapowiadaną arterią nadodrzańską utknęły w miejscu. Nawet linia tramwajowa została skrócona, co oznaczało, że będę miał mniej roboty.

Natomiast sprawa odbudowy słynnego pomnika Sediny wywołała ogólnospołeczną dyskusję. Nie znam się na wartości artystycznej rzeźby, ale dostrzeganie w grupie zwiewnych bab odwołań do koncepcji pangermańskich było zabawne.

Mój wzrok przemknął po wątpliwie odbudowanej fasadzie kamienicy i zatrzymał się na twarzy kilkuletniej dziewczynki. Bawiła się, skacząc przez rozwieszony nad ulicą sznurek. Miała długie, ciemne włosy, granatowy kombinezon i czerwone buciki. Przyciągała mnie jak magnes.

Właśnie wtedy nieoczekiwanie powrócił mi apetyt. Zadrzałem, a plecy zlał mi pot. Zatrzymałem się przy pobliskiej bramie i obserwowałem malutką. Musiałem się zachowywać tak, żeby nikt nie zwrócił na mnie uwagi. Podniosłem głowę, jakbym obserwował niebo. Jednocześnie zmrużyłem oczy, licząc podskoki dziewczynki.

Pięć, sześć, siedem...

Przykro mi. Skucha.

Grupa chłopców ganiała się po okolicznych podwórzach, a nastoletnia para ścisnęła się w bramie. Z kamienicy dobiegały odgłosy szczękających naczyń, brzęczących sztucców, kłótni starszego małżeństwa. Zaczął bić rozregulowany zegar.

Spijałem wszystkie te dźwięki, obserwując skaczącą przez sznurek dziewczynkę. Zostałem przez nią zahipnotyzowany. Przyglądałem się, jak jej mięśnie się napinają, policzki pąsowieją, a włosy – rozwiewają przy każdym podskoku.

Wyobrażałem sobie jej ciało. Nagie. Piękne, giętkie i doskonale wygimnastykowane.

Dwanaście, trzynaście i znowu skucha.

Rozejrzałem się wokół, upewniając się, że nikt nie zwraca na nią uwagi. W pobliżu nie było żadnych koleżanek, rodziców ani braci. Zupełnie nikogo. Jakby stanowiła fragment ideału, wstawiony w przestrzeń zrujnowanego wszechświata. Albo coś takiego.

Szybkim krokiem ruszyłem w jej stronę. Z każdym metrem moje mięśnie sztywniały, krew płynęła coraz szybciej i brakło mi tchu. Zupełnie jakbym

zapominał oddychać.

Nie rozglądałem się. Teraz nie byłem robakiem, a najprawdziwszym, w pełni sprawnym człowiekiem. Drapieżnikiem. Biegłem. Po raz pierwszy od lat czułem się, jakbym miał obie nogi. Cudownie ozdrowiałem. Jestem pewny, że gdybym wtedy dotknął protezy, zamiast drewna poczułbym prawdziwą skórę, mięśnie i ścięgna.

Biegłem.

Dziewczynka nie zwracała na mnie uwagi. Po raz kolejny skusiła i obniżyła sznurek. Dzielilo mnie od niej już tylko kilka metrów. Dyszałem.

Wyobrażałem sobie, jak zanurzam dłoń w jej puszystych włosach. Czułem pod palcami jej kruche kręgi szyjne, delikatną skórę i sperlony pot. Wiedziałem, że ma żebra tak miękkie, że zmiażdżyłbym je gołymi rękoma. Bez wysiłku skręciłbym jej kark i połamał kręgosłup. Mógłbym jedną dłonią objąć jej szyję i ją udusić.

To wszystko byłaby przednia zabawa.

Raz, dwa, trzy. Skucha.

Minąłem dziewczynkę i przełknąłem ślinę. Nie tym razem. Nie ona. Nie tu. Nie zwolniłem jednak kroku. Przebiegłem obok zdewastowanej bramy i zatrzymałem się na kolejnym podwórzu. Pod zadaszonym przejściem siedziało dwóch chłopców. Mieli około dziesięciu lat i na przemian spoglądali sobie w dłonie. Jakie czasy, takie zabawy.

Sięgnąłem do kieszeni i wyszarpnąłem nóż. Nim drobniejszy chłopiec zdążył się zorientować, co się dzieje, poderżnąłem mu gardło. Gorąca krew trysnęła na moje nogawki, a bezwładne ciało momentalnie zważyło się na bruk.

Dopadłem drugiego dzieciaka i przytknąłem mu nóż do chudej szyi.

– Spróbuj krzyknąć, a skończysz jak kolega – syknąłem, zatykając mu przezornie usta. – Zachowuj się, jakbyś był moim synem. Rozumiesz? Teraz idziemy na spacer. Ojciec i syn idą na pierdolony spacer. Zrozumiałeś?

Chyba skinął głową.

## **DWIE GODZINY PÓŹNIEJ MAGAZYNY DZISIEJSZEJ WYŻSZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ (PODCZAS WOJNY: SKŁAD FARMACEUTYCZNY) UL. SŁOWACKIEGO**

Tym razem nie wiedziałem, z kim mam przyjemność. Chłopiec nie powiedział mi, jak ma na imię, a ja nie zamierzałem go specjalnie naciskać. Przynajmniej nie wśród tylu ludzi. W każdej chwili mógł wybuchnąć i wszystko skomplikować. Przez całą drogę pochlipywał, posłusznie trzymając mnie za rękę.

Daniel numer dwa? Zawsze podobały mi się dynastie, ale to by było zbyt nudne. Eryk? Z pewnością nie zasługiwał na imię któregoś z moich synów.

– Knur. Jesteś Knur. Rozumiesz?

Zbliżaliśmy się już do magazynu i poczułem się pewniej. Znowu prawie biegłem, zapominając o tym, że w jednej ósmej jestem wybrakowany. Osadzony na protezie but zawijał się, ale nie zwracałem na to uwagi. W półmroku ślady krwi na nogawce nie rzucały się w oczy i nawet ich nie wytarłem. Byłem szczęśliwy.

Dwa razy obeszliliśmy okolicę. Znajdowaliśmy się kilkaset metrów od miejsca, w którym spotkałem chłopca. To dodawało mi sił i napawało ekscytacją. Mimo to zachowywałem się ostrożnie. Balansowałem na krawędzi, ale miałem zabezpieczenie. Nóż, który trzymałem w kieszeni.

Rozluźniłem się dopiero, gdy po szalonym spacerze dotarliśmy w pobliże magazynu.

– Rozumiesz, że jesteś Knur? – Teraz mogłem bez obaw przytknąć nóż do smukłej szyi. – Rozumiesz, gnoju?

– Tak.

– To powtórz!

– Jestem Knur – załkał chłopiec.

– Bardzo dobrze.

Władza daje satysfakcję. Los tego dziecka spoczywał w moich rękach. Jeszcze przed paroma minutami, wśród przechodniów i milicjantów, mógł próbować ucieczki. Teraz nie miał na nią szans.

Przeszliśmy między płotem a gruzowiskiem, w którym przed paroma miesiącami chciał się ukryć Daniel. Z tamtego wieczoru pamiętałem każdą minutę. Wiedziałem, że ten – znacznie cieplejszy, kwietniowy – również zostanie w mojej pamięci na zawsze.

– Knurze... – mruknąłem.

Chłopiec nie zareagował. Jego mała rączka coraz mocniej się pociła, ale się nie wyrywał. Był posłuszny.

– Knurze... – powtórzyłem.

Drgnął. Nie odwrócił głowy ani na mnie nie spojrzał.

– Przesuń te drzwi. Natychmiast je przesuń!

Omiotłem metalowy szkielet światłem latarki. Chłopiec posłusznie podszedł do wielkiej płyty i chwycił ją za uchwyt. Miał mało siły. Całym ciałem napierał na zasuwę, ale ta ledwie zadrżała.

– Mocniej!

Patrzyłem, jak napinają się mięśnie jego szczęki, jak pracują nadgarstki i układają się stopy. Nie był chudy ani żylasty. Należał raczej do tych, którzy już w młodości rokują, że po czterdziestce będą prawdziwymi knurami. Poruszał się niezdarnie, pocił się, a na jego podbródku rysował się już zarys fałdy tłuszczu. Ale szyję miał zadziwiająco kruchą i chudą.

Wreszcie udało mu się przesunąć furtę i w tym samym momencie wybuchnął spazmatycznym płaczem. Natychmiast zatkałem mu usta. Dławił się własnymi łzami, ale nie walczył. Rozumiał, że to nie ma żadnego sensu.

– Jesteś aresztowany – szepnąłem. – Do paki! Do paki! Do paki!

Pchnąłem go w głąb magazynu i złapałem za rękę. Zwolniłem kroku. Obeszliśmy regał z potłuczonymi słojami, fiolkami i preparatami. Magazyn podczas wojny podobno służył za skład farmaceutyczny. Nie mam pojęcia, dlaczego wycofujący się żołnierze potraktowali go materiałami wybuchowymi i miotaczami ognia. Najwyraźniej dowódcy rozumieli, że szkoda cokolwiek oddać w łapy czerwonoarmistów. Mieli zresztą świętą

rację.

– Do paki! Do paki!

Ekscytacja mnie nakręcała. Teraz ja byłem Hauptmanem i dorwałem swojego więźnia. Do tego wiedziałem, że będę miał z niego więcej pożytku, niż ktokolwiek miał ze mnie.

Ominąłem szerokim łukiem pomieszczenie, w którym rozkawałkowałem Daniela, i skierowałem się do następnego. Chciałem, żeby ta chwila była intymna. Nasz pierwszy raz. Nie tylko jego. Mój też.

– Wiesz, co się teraz z tobą stanie, Knurze? – zapytałem, jeszcze mocniej ściskając kruchą dłoń. – Masz pojęcie?

– Nie. – Chłopiec pokręcił głową. Wciąż bał się na mnie popatrzeć i cicho popłakiwał.

– Nie wiesz, co się dzieje z durnymi knurami?

– Nie.

– Jesteś durny. Wiesz?

Teraz nie odpowiedział. Za karę z całej siły ścisnąłem jego rękę. Poczułem, jak kilka kości przeskakuje mu w stawach. Szarpnął się i zawył z bólu, ale go przytrzymałem.

– Wiesz? – powtórzyłem.

– Tak, tak – zapewnił pospiesznie.

– I naprawdę nie masz pojęcia, co się dzieje z durnymi knurami?

Zatrzymałem się pośrodku hali. W świetle latarki sprawiała upiorne wrażenie. Strop był cały popękany, na podłodze poniewierały się śmieci, a drewniane regały rozpadły się na kawałki. W powietrzu unosił się smród szcurzych odchodów i zgnilizny.

– Nie mam pojęcia, proszę pana – odparł chłopiec. – Ja... Ja... Proszę...

Gówniarz ponownie wybuchnął rozpaczliwym płaczem. Gdy poświeciłem latarką prosto na jego twarz, natychmiast się odwrócił. Skulił ramiona i starał się schować między nimi głowę. Widziałem, że spod jego krótko ściętych włosów na kark spływa pot. Pocił się naprawdę jak świnia.

Puściłem jego dłoń i podszedłem do jednego z regałów. Nie martwiłem się o to, że chłopiec ucieknie. Po ciemku prędzej by się zabił o ścianę, niż zdołał wybiec z magazynu. Odsunąłem spróchniałą półkę i sięgnąłem za nią. Po chwili z brzęknięciem postawiłem metalowy przyrząd na betonowej posadzce.



– Wiesz, co to jest?

Tępy Knur pokręcił głową. Idiota. Ścisnął nadgarstek ręki, której palec mu przetrącił. Już nie wiedziałem, czy płacze, czy syczy z bólu. Pewnie jedno i drugie.

– Z knurów jest taki pożytek, że nie żyją na marne – wyjaśniłem, kucając przy nim. Położyłem dłonie na jego drżących ramionach jak ojciec, który opowiada dziecku historię na pocieszenie.

Chłopiec pociągnął nosem.

– To maszynka do mięsa – mówiłem dalej. – Z tyłka knurów można zrobić naprawdę dobre mielone mięso. Cieszę się, że to ode mnie się o tym dowiadujesz. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, czyj tyłek niedługo do tego posłuży.

## KOLEJNE MIESIĄCE

Przez kolejne miesiące, tak samo jak po śmierci Daniela, czułem wewnętrzną ciszę. Byłem naprawdę szczęśliwy. Mięso ponownie podarowałem Johannie, choć tym razem obróbkę pozostawiłem do jej uznania. Knura nawet nie spróbowałem. Ponoć Johanna sprzedawała go w pakietkach, a jej klienci byli zachwyceni. Nie wnikała, skąd dostałem tak dobrą sztukę, ale cieszyła się, bo grono zadowolonych klientów stale się powiększało. Biznes kwitł.

Mniej więcej w tym samym czasie kino Polonia przemianowano na Młodą Gwardię. Duch postępu nie był w stanie zająć się odbudową starego miasta, ale z łatwością przychodziło mu rozliczanie przeszłości. Ulica Wilsona miała stać się ulicą Rewolucji Październikowej, upadło kilka pomników, a szkoły zyskały nowych patronów.

– Zajmę się tobą na stare lata – zapewniła mnie wczesną jesienią Jadwiga. – Nie będziesz sam i zawsze będziesz mógł liczyć na darmowy seans.

Właśnie skończyła pracę, a ja po prawie dwugodzinnym pokazie *Spotkania nad Łabą* byłem rozczarowany. W sumie mogłem się spodziewać, że wielki hit okaże się klapą, ale nie aż tak. Nie w takim stylu. To było zwyczajnie żałosne.

Radzieckie polowania na nazistów, amerykański protektorat nad Niemcami, a wszystko to w atmosferze napięcia między strefą okupowaną przez aliantów i rozpieszczaną przez czerwoną armię. Podobała mi się jedynie ostatnia scena. Symboliczne wysadzenie przez Amerykanów mostów nad rzeką jako znak zerwania kontaktów z ZSRR. To było naprawdę wymowne i dobrze wieńczyło dzieło. Każde inne zakończenie byłoby nieodpowiednie.

Gdybym to ja stał za kamerą, zrobiłbym to podobnie. Dramatyczne i metaforyczne zakończenia zawsze mi się podobały. Również w życiu.

No dobrze. Przyznam się, że polubiłem majora Kuźmina i wspierającego go profesora Dietricha. Nie znałem nikogo podobnego do tego naukowca, ale przynajmniej robił za porządnego Niemca. Może przestawaliśmy być jedynie odwiecznym wrogiem. My? Mówię o Niemcach jako o swoich? Oto nawracająca schizofrenia.

– O czym myślisz?

Jadwiga trzymała mnie pod ramię. Naszym zwyczajem przemierzaliśmy ulice Szczecina. Zrobiło się już prawie zupełnie ciemno, wiatr niósł opadłe liście, a chmury zakrywały październikowe niebo.

– Chciałbym obejrzeć jakiś dobry film – odparłem. – Coś, co naprawdę mnie poruszy.

– Ciągłe o tym mówisz.

– Bo to moje marzenie.

– Jedyne? – Jadwiga jeszcze mocniej się do mnie przytuliła.

Przez ulicę przebiegła grupka rozwrzeszczanych nastolatków. Zwróciłem uwagę na ich sprawne ruchy, gibkie ciała i roześmiane twarze. Pieprzone gnoje. Nieświadome własnego szczęścia sukinsyny.

– Nie – odparłem. – Ale na pewno największe. I przynajmniej wiem, że gdyby się spełniło, nie będzie mógł tego trafić szlag. Tak jak wszystkich innych marzeń, które miałem.

– Nigdy mi o nich nie mówiłeś.

– Bo nie ma o czym.

– Ani o kim?

Zatrzymałem się i objąłem ją w pasie. Spojrzałem jej głęboko w oczy. Dlaczego ludzie bywają tak wścibscy? Czy nie mają dość własnych problemów? Czy lubią się dowartościowywać, słuchając, że życie innych to pasmo pieprzonych porażek? Jestem przekonany, że Jadwiga nie miała takiego zamiaru. Były w niej te same szczerść i delikatność, jakie zapamiętałem u Heleny. Helga nie miała żadnej z tych cech. Im więcej czasu minęło od dnia, w którym tak chwalebnie skończyła, tym większą nienawiść do niej czułem. Świadomość, że pomogła mi, bo byłem jej po prostu potrzebny, napawała mnie obrzydzeniem. Los jak zwykle mnie wykorzystał, robiąc ze mnie pociesznego pełzającego robaka.

– Ani o kim – odpowiedziałem, choć nie była to do końca prawda. – Miałem cudowną żonę i wspaniałych synów – dodałem jakby na

usprawiedliwienie. – Ale to już przeszłość.

– W filmach przeszłość ci nie przeszkadza.

– Bo to bajki. Tak samo jak przedstawienia Czarodzieja.

– Dawno na żadnym nie byliśmy.

Westchnąłem. Nie lubiłem zachowywać się, jakby Jadwiga była kimś więcej niż przyjaciółką. Lubiłem spacerować u jej boku, lubiłem jej zapach, uśmiech i ciepły głos, ale nie pasowała do mojego życia. Nie chciałem, żeby zajmowała się mną na stare lata. Gdybym się zaczął z nią spotykać na poważnie, los pewnie natychmiast by ją dopadł. Albo kazał mi się nią zająć zupełnie inaczej, niż to sobie wyobrażała. Przynajmniej od czasu do czasu nachodziło mnie takie przeczucie.

Nigdy nie rozmawiałem z nią o Danielu. Nigdy nie zapytała mnie, dlaczego nie wrócił z rozmienionymi pieniędzmi ani czy w ogóle do mnie dotarł. Często miałem wrażenie, że wie o mnie więcej, niż miała prawo wiedzieć. Skąd? Tego się mogłem jedynie domyślać, lecz w sposobie jej zachowania, w ruchach, a przede wszystkim – w spojrzeniu dostrzegałem coś siostrzanego. Jakby dzieliła ze mną wspomnienia, historię i los.

– Ale ty też nigdy nie mówiłaś mi o swoich marzeniach – odezwałem się i powoli pokuśtykałem dalej. O tak, byłem wścibski.

– Bo nie mam żadnych – usłyszałem jej głos tuż za sobą. – Mam trzydzieści dwa lata i żadnych marzeń.

– A miałaś je kiedykolwiek?

Chwyciła mnie za rękę. Jej dłoń była drobna, palce smukłe i kruche.

– Tak. Żadne się nie spełniło.

– Przykro mi.

– Naprawdę? Nie wydaje mi się. Wiesz o tym więcej niż ja, więc nie mów, że ci przykro. Ciągłe rozmawiamy o tym samym, a... – Sapnęła. – Musimy sobie po prostu radzić i dożyć aż do śmierci. Tak jak każdy.

Nie powiedziałem, jak bardzo się z nią zgadzam. I nie miałem pojęcia, jak doskonale mnie rozumie. Odwróciłem się i popatrzyłem na rozległy gmach Muzeum Morskiego. Był to jeden z niewielu odbudowanych już budynków. Przed kilkoma miesiącami jego pierwsze piętro zaaranżowano na teatr współczesny, ale nie zamierzałem go odwiedzać. Od pewnego czasu zyskiwałem pewność, że sami odgrywamy role w teatrze życia. To brzmi całkiem dobrze, prawda? Jadwiga na pewno by się ze mną zgodziła. Swoją

rolę miała odegrać wręcz koncertowo.

Choć za muzyką nigdy nie przepadałem.

**PIĄTEK, 9 LUTEGO 1951 R.**  
**GODZINA: 15:38**  
**UL. WILSONA 7/3**

– Dzień dobry panu.

W drzwiach mojego mieszkania stał ostrzyżony prawie na łyso nastolatek. Trudno mi było ocenić, ile mógł mieć lat, bo miał na sobie bezkształtny, znoszony kaftan i grubą czapę. Garbił się, a przede wszystkim wstydził się spojrzeć mi w oczy. Wodził wzrokiem gdzieś za moimi plecami.

– Pani z kina powiedziała, że nie sprawi panu kłopotu rozmienienie mi pieniędzy na bilet.

– Nie sprawi.

Stałem bez ruchu, starając się zrozumieć, dlaczego Jadwiga zrobiła to po raz kolejny. Czwarty lub piąty, bo poprzednie zlewały mi się w jedno, gdyż wpadłem w krótki ciąg alkoholowy. Zamordowałem wtedy i przerobiłem maszynką do mięsa dwoje lub troje dzieciaków. Nie pamiętam ich imion, charakterów ani tego, czy stawiały jakikolwiek opór. Wiem, że ciała poszatkowałem w opuszczonym magazynie, obrobiłem, a odpadki wrzuciłem do jeziora Rusałka lub upchnąłem w ruinach. Mięso, jak zwykle, wręczyłem Johannie. Podobno na moje dostawy czekała już stała klientela i można by robić na nie zapisy.

Tępi ludzie, nie mieli pojęcia, co jedzą.

– To mógłby pan...

– O której zaczyna się seans? – zapytałem, zupełnie niezainteresowany odpowiedzią.

– O czwartej, proszę pana.

Wyciągnąłem roskopfa i przyjrzałem się cyferblatowi. Ostatnio szybko pogarszał mi się wzrok. Widziałem coraz słabiej nawet z niewielkiego dystansu. Cyfry się rozmazały, ale w końcu dostrzegłem dwie czarne kreski

na tle porcelanowej tarczy.

– To już niedługo. Bardzo niedługo.

Prawdę powiedziawszy, nie miałem bladego pojęcia, czy jest za dwadzieścia czwarta, czy piąta. Tego dnia dostałem wolne, ale nie byłem pijany. Cug zakończył się i przeszedł w okres abstynencji, co znacząco oddzieliło mnie od Güntera i Hansa. Nie widzieliśmy się od świąt Bożego Narodzenia, które zwieńczyło delirium. To chyba wtedy Jadwiga podesłała mi jednego z chłopców. I chyba właśnie dzięki niemu odzyskałem równowagę.

Na wątrobie i fragmentach kręgosłupa zrobiłem bulion, który zwracałem więcej razy niż struty kot. Przestraszyłem się, że zacznie mnie odrzucać od mięsa. Bałem się, że jeśli nadal będę pił, stracę ten jedyny sposób na rozerwanie się i uzyskanie wewnętrznego spokoju. Że już na zawsze zastygnę w ciele robaka i nigdy, przenigdy, nie będę zdolny do biegu. Teść opowiadał mi kiedyś o buddyjskim cyklu następujących po sobie wcieleń. Ten to miał wiedzę... Tylko co komu po tych niesprawdzonych filozofiach?

Cofnąłem się.

– Wejdz, proszę. – Zrobiłem chłopcu miejsce. – Muszę poszukać drobnych.

– Dziękuję. Zaczekam tutaj.

Miałem ochotę chwycić go i wciągnąć do mieszkania, ale na górze trzasnęły drzwi. Pewnie Jaroszowa wychodziła z dzieckiem.

– Wejdz, śmiało. Z korytarza leci ziąb, a nie zamknę ci przecież drzwi przed nosem.

Uśmiechnąłem się i poruszyłem tak, by chłopiec dostrzegł, że mam protezę. Przez chwilę mierzył mnie wzrokiem, wreszcie skinął głową. Mama pewnie kazała mu być zawsze miłym dla kalek.

– Dobrze. Dziękuję.

Przestąpił próg dokładnie w chwili, gdy ktoś schodził na parter. Zdołałem zamknąć drzwi, nie sprowadzając na siebie i chłopca ciekawskich spojrzeń.

– Zaczekaj tu – poprosiłem, siląc się na grzeczność. – Muszę pójść po pugilares.

– Nie dałem panu jeszcze pieniędzy.

Chłopiec wyciągnął w moją stronę banknot. Zmieszał się, widząc, że do środka naniósł nieco śniegu, ale udałem, że tego nie widzę. Przez kilka sekund mierzyłem go wzrokiem. Był niewiele niższy ode mnie, na twarzy

miał pojedyncze krosty, a plaskaty nos sprawiał wrażenie niegdyś złamanego. Chłopak nie prezentował się szczególnie uroczo. Był blady. Spod czapki wystawały tłuste kędziory czarnych włosów. W wyrazie twarzy miał coś antypatycznego. Od pierwszego spojrzenia wzbudzał złość, a dodając do tego jeszcze jego drażniącą przymilność...

– A, tak... – Wziąłem banknot, nawet go nie oglądając. – Zaczekaj chwilę.

Poszedłem do kuchni i zatrzymałem się przy szafce z narzędziami. Młotek, piła, tasak i nóż rzeźnicki. Każdym z nich mogłem go zabić w ułamku sekundy. Nawet nie spostrzegłby, co się dzieje, a już leżałby cały ociekający krwią. Mogłem go też zaszantażować i zaprowadzić do magazynu. Z chłopcem w jego wieku to byłoby trudniejsze niż z młodszymi, lecz wykonalne. Poza tym ryzyko stawiało mnie na nogi. Nigdy nie bałem się złapania ani nie myślałem o konsekwencjach tego, co robię. Każde działanie miało swój skutek, lecz kogo to obchodzi? Kto myśli o tym, że skutkiem narodzin jest śmierć?

Otworzyłem szufladę i dotknąłem zimnego ostrza noża. Miało ponad trzydzieści centymetrów i było tak wyważone, by bez problemu można było rozkroić nim staw świni. Natomiast tasak przy niewielkiej sile uderzenia kruszył kości. Mimo to zwłoki zawsze starałem się kawałkować właśnie w stawach. Nadgarstki, łokcie, kostki... Najtrudniej było z kolanami, bo należało je rozdzielić od tyłu. Rzepka się łamała i kruszyła, więc potrafiła naprawdę zepsuć robotę. Kawałki kości w mięsie były mi niepotrzebne. Nie chciałem zrazić klientów do Johanny.

Zamknąłem szufladę i zawróciłem w stronę drzwi. Przez sekundę zawiesiłem wzrok na patelni. Miałem wrażenie, że jej nie domyłem i wciąż skrzą się na niej resztki jedzenia. Mięsa? Być może, jednak przede wszystkim widziałem rozbudzające apetyt zacieki tłuszczu.

Przełknąłem ślinę.

Chłopiec wciąż stał w tym samym miejscu. Zdjął czapkę i tarł ją w dłoniach. Słyszając moje kroki, odwrócił się, ale nie śmiał w żaden sposób mnie pospieszyć. Musiał porozdeptywać naniesione bryły śniegu, bo wokół niego zebrała się mokra kałuża. W środku nie było dość ciepło, by tak szybko same się rozpuściły.

– Jak się nazywasz? – zapytałem, podchodząc.

– Andrzej – odparł natychmiast. Oderwał rękę od czapki, jakby



spodziewał się uścisku dłoni, ale nic takiego nie nastąpiło.

– Ładnie. Naprawdę ładnie.

– Dziękuję.

– A wiesz, kim był święty Andrzej?

Chłopiec wyprostował się i uśmiechnął. Ucieszył się, że będzie miał się czym wykazać.

– Apostołem, proszę pana.

– Bardzo dobrze. – Poklepałem go po ramieniu.

Odsunął się nieco, a jego wzrok powędrował ku kłamce.

– Do tego został przybity do krzyża w kształcie litery iks. Iks to chyba po grecku pierwsza litera w wyrazie Chrystus. A może coś mieszam...

Zrobiłem jeszcze krok w stronę chłopca i przeciąłem dłonią powietrze tuż za jego uchem. Roześmiałem się, udając, że wyciągam zza niego monety. Wcisnąłem je w rękę młodego, po czym gwałtownie otworzyłem drzwi.

– Idź już – syknąłem. – Idź, bo zaraz zacznie się seans.

Chłopiec wybąkał coś niezrozumiałego i wybiegł na klatkę. Przez chwilę obserwowałem jego plecy, to, jak pospiesznie kieruje się do drzwi, a wreszcie z ulgą wypada na zewnątrz. W powietrzu czułem jego mdły pot.

Nie wiem, dlaczego pozwoliłem mu odejść. Chyba wydał mi się zbyt odrażający, bym mógł wykorzystać jego ciało. Nie miał nic wspólnego ani z moimi synami, ani z beztroską radością. Niektórzy nadawali się tylko do tego, by po śmierci zgnić w ziemi.

A wcześniej – by bezużytecznie żyć.

## 6 GODZIN PÓŹNIEJ POD KINEM MŁODA GWARDIA

Czekając na Jadwigę, przemarzłem na kość. Nawet moja dawno spalona lub zakopana gdzieś noga dygotała z zimna. Padał deszcz ze śniegiem, dął zimny wiatr i zrobiło się ślisko. Na ulicach zalegała zamarzająca pulpa. Wpół do dziesiątej z Młodej Gwardii, kuląc się i otulając płaszczami, wyszło kilkanaście osób. Właśnie zakończył się ostatni seans. Kolejna powtórka dennego radzieckiego musicalu. Odkąd pojawiła się plotka, że ulubionym filmem Stalina jest *Wołga, Wołga*, emitowano go co najmniej dwa razy w miesiącu. Oglądając tę szmirę, czułem się, jakbym obserwował pochód Armii Czerwonej, a nie popisy zespołów muzycznych zmierzających na występ do Moskwy.

Właściwie mogłem czekać w mieszkaniu. Miałem z niego dobry widok, a poza tym znałem godzinę zakończenia seansu. Wystawanie na mrozie stanowiło chyba formę samoudręczenia. Albo próbę opanowania emocji i wyciszenia.

Co chwilę musiałem przytrzymywać kapelusz, by nie porwał go wiatr. Skuliłem się i oparłem o ścianę kamienicy. Spuściłem głowę, starając się nie zwracać niczyjej uwagi. Kilka osób minęło mnie i rozeszło się do domów. Dwie młode pary przystanęły, głośno się śmiejąc. Po chwili i je przegonił lodowaty wiatr. Wokół nie było nikogo. W okolicy widziałem jedynie kilka zapalonych świateł w domach. Gdzieś w oddali ujadał pies, a z którejs z bram dochodziło pijackie zawodzenie. Wilsona przejechały dwie zdezelowane wojskowe ciężarówki.

Jadwiga wyszła kilka minut później. Miała czerwony płaszczyk i nieco ciemniejszy beret. Szybkim krokiem skierowała się na drugą stronę ulicy. Ruszyłem za nią. Z trudem nadążałem, ale utrzymywałem stałą odległość. Nie zauważyła mnie, a warstwa śniegu skutecznie wyciszała kroki.

Przyspieszyłem, jednocześnie wznajając kikut w protezę. Bałem się, że

nadepnę na zamarznąłą kałużę i runę na ziemię jak... Sami wiecie, jak co.

Ale o wiele głośniej.

Na szczęście udało mi się niepostrzeżenie zbliżyć do niej na kilka metrów. Wciąż się nie zorientowała, że idę za nią, i utrzymywała równe tempo. Kołysała biodrami, stawiała równe kroki, omijała oblodzone kałuże. Jak modelecza wywijająca pupą na pokuszenie publiczności.

Dopadłem do niej tuż za skretem w Krasińskiego. Chwyciłem ją za łokieć i gwałtownym szarpnięciem obróciłem do siebie. Pisnęła, lecz zaraz się opanowała. Delikatnie mnie odepchnęła, ale nie był to ruch na tyle silny, bym stracił równowagę. Poznała mnie. Nie wyglądała ani trochę na zaskoczoną.

W słabym świetle latarni jej twarz wydawała się starsza, a rysy – ostrzejsze. Była ładna, bardzo ładna, ale jednocześnie napawała mnie niepokojem. Wystarczyło spojrzeć, by zrozumieć, że życie zaserwowało jej solidnego kopa. Jej mimika, spojrzenie i ruchy zdradzały to samo, co moja proteza. Gównianą historię.

– Dlaczego to robisz? – zapytałem bez przywitania.

Pchnąłem ją i chciałem przycisnąć do ściany, ale się wyrwała. Stanęła kilka kroków dalej. Nie przestraszyła się ani nie zamierzała uciekać.

– Robię co? – Wesoło oblizwała usta. – Co takiego?

– Wysyłasz do mnie te cholerne bachory. Mówisz, że rozmienię im pieniądze na bilet...

– Naprawdę?

– Jeżeli chcesz się droczyć...

Przyklasnęła i zatarła ręce. Roześmiała się, a z jej ust uniósł się obłoczek pary.

– A jednak do ciebie przychodzą. – Swoim zwyczajem chwyciła mnie pod ramię i ruszyła wolniej niż wcześniej. Świadomość tego, że zwalnia, mając u boku kalekę, doprowadzała mnie do furii. – Już myślałam, że gubią się gdzieś po drodze.

– Dlaczego miałyby się gubić?

– A bo ja wiem? Nigdy ich potem nie widuję.

Nieoczekiwanie się roześmiała. Jak zwykle głośno i ordynarnie. Rechotała, wspierając się o moje ramię, a drugą ręką poklepując moją dłoń. Nie wiem, dlaczego również wybuchnąłem śmiechem. Szczerem,

niekontrolowanym, takim, o którym na wiele lat zapomniałem. Wiatr zdmuchnął mi kapelusz, ale nie zwróciłem na to uwagi. Obróciłem się i przytuliłem do Jadwigi.

– Lubisz chłopców, miłośników kina czy cokolwiek – mruknęła mi prosto do ucha. – Nie interesuje mnie to, bo też cię lubię.

– Ale...

Przytknęła mi palec do ust.

– Będę to robiła tak długo, aż mi się znudzi. Dwa, może trzy razy do roku. Ale pamiętaj. – Mówiąc to, pogroziła mi palcem tuż przed nosem. – Milicja już u mnie była. Mówili, że chłopiec, który wybrał się do kina, zaginął na dobre.

– Na dobre – szepnąłem tak, by mogła mnie usłyszeć.

W jej oczach zamigotała ciekawość.

## JESIEŃ 1951 R.

Całą jesień pięćdziesiątego pierwszego roku ciężko pracowałem. Tabor tramwajowy powoli, ale regularnie się rozrastał, psuł i wymagał notorycznych napraw. Przez ostatnie miesiące coraz rzadziej spotykałem się z Günterem i Hansem. Johannie mięso dostarczyłem tylko dwa razy. W maju, niedługo po Świącie Pracy, a potem pod koniec wakacji. Ponoć obie porcje rozeszły się błyskawicznie.

Natomiast niezmiennie pogłębiała się moja relacja z Jadwigą. Spędzaliśmy razem coraz więcej czasu, grywaliśmy w karty albo warcaby, czasem jeździliśmy pod miasto na dłuższe spacery. Coraz częściej u mnie nocowała, ale nigdy nie zaprosiła mnie do siebie. Nie miałem pojęcia, gdzie mieszkała. Jediną wskazówką był tamten lutowy wieczór, gdy zatrzymałem ją na Krasińskiego. Wkrótce się rozstaliśmy, a ona skierowała się dalej na północ miasta. Być może szła aż na dworzec? To nie miało dla mnie znaczenia, dopóki nie zamierzała wyjechać z mojego życia.

Pierwszy przełom nastąpił, gdy po dobrej kolacji, paru kieliszkach wódki i partii remika położyliśmy się spać. Miałem niezbyt szerokie łóżko, sam kładłem się zazwyczaj nago, a Jadwiga rozbierała do majtek i biusthaltera. Poza nimi oddzielały nas jedynie grube pierzyny.

Nie krępowałem się zdjąć przy niej protezy ani odbębnić wieczornej toalety i masażu kikuta. Jadwigę traktowałem jak przyjaciółkę, jak siostrę albo brata, ale zarazem czułem do niej podświadomy pociąg. Nie jako do kobiety, lecz jak do współniczki. Do kogoś, z kim dzieli się wspólną historię. I wcale nie miałem na myśli dzieciaków, które do mnie kierowała. Chodziło o przeszłość i los, który poobijał nas chyba tak samo mocno. Nie myślcie, że się tłumaczę. Nigdy nie miałem takiego zamiaru, ale chcę, żebyście mnie dobrze zrozumieli. Łączyła nas cholerna więź, z którą popęd seksualny miał tyle wspólnego, ile kawałek drewna z prawdziwą łydką.

Teraz wróćmy do sedna. Tamtej nocy obudziłem się cały spocony. Nie

wiem, co mi się śniło, ale moja pierzyna leżała na podłodze i czułem obok siebie ciepłe ciało Jadwigi.

Niemal natychmiast naszły mnie okropne, jeszcze półsenne myśli. Wypływające z Rusałki zwłoki, unoszące się na wodzie pokawałkowane trupy, setki śladów i milicja gotowa mnie aresztować. Dotąd nigdy o tym nie myślałem. Przyszłość i konsekwencje zupełnie mnie nie interesowały. Żyłem tak, jak chciałem żyć, a przecież śmierć to tylko etap życia.

Obróciłem się na bok i przytuliłem do Jadwigi. Chwyciłem jej pierś. Położyłem głowę tuż za jej karkiem i zaciągnąłem się słodkim zapachem jej skóry. Drgnęła, ale się nie obudziła. Spała mocnym snem, wzmocnionym jeszcze solidną dawką alkoholu.

Zamknąłem oczy i starałem się uspokoić, lecz obrazy nieustannie przesuwwały mi się przed oczami, jakby powieki stanowiły ekran, a gdzieś w środku czaszki zainstalowano mi pieprzony projektor. Kotłowanina myśli nie pozwalała mi zasnąć. Może powinienem powyciągać te wszystkie szczątki? Przynajmniej spróbować je usunąć i ukryć gdzieś indziej? Pozbyć się ich na zawsze. Były całkowicie bezużyteczne, lecz stanowiły ślad, po którym można do mnie trafić.

Przeraziła mnie możliwość utraty wolności. Nie kary, nie procesu, nawet nie śmierci. Bałem się tego, że już nigdy nie dotknąłbym ludzkiego ciała i nie mógł poprowadzić po nim noża. Nigdy nie spróbowałbym już ludzkiego mięsa. Nie byłbym dla nikogo całym światem, a mój własny zamknąłby się w kilkumetrowej celi.

Odruchowo otarłem spocone czoło. Wszystko mnie swędziało.

Podniosłem się z łóżka i spuściłem nogę. Zawsze przyjemnie jest dotknąć ziemi. Przesunąłem kikut na skraj prześcieradła i po ciemku starałem się odnaleźć laskę. Dotknąłem ją opuszkami palców. Wymsknęła mi się i spadła na podłogę. Zakląłem.

– Co się stało?

Jadwiga odwróciła się w moją stronę. Dotknęła moich pleców i pogładziła je.

– Ci przekłęci chłopcy – powiedziałem bez zastanowienia. – Siedzą mi w głowie...

– Bo im na to pozwalasz.

– O czym ty mówisz?

Jadwiga ziewnęła i przytuliła się do mnie. Jej dłoń powędrowała po moich żebrach, a potem niżej, ku podbrzuszu.

– Ciągle o nich myślisz.

– Wcale nie...

– Okłamujesz sam siebie.

Nie wiedziała, co robię z tymi dzieciakami. Miałem wrażenie, że myśli, że się jedynie z nimi zabawiam. Albo że, jak niektórzy zboczeńcy, pokazuję im swoje co nieco i zostawiam ich w spokoju. Nie chciałem być postrzegany jako zboczeniec. Tak samo smakowici wydawali mi się chłopcy, jak dziewczęta. Nie interesował mnie ich wiek, kolor oczu, włosów ani wzrost. Sedno tkwiło przecież w czymś zupełnie innym.

– Wcale o nich nie myślę – szepnąłem. – Po prostu niekiedy pojawiają mi się w głowie. Tak jak wspomnienia. Nigdy cię nie przesładują?

– Czasami.

– No właśnie. Twarze tych gówniarzy są dla mnie wyraźniejsze od najmocniejszych wspomnień. Pamiętam ich lepiej niż swoich synów!

Nie kontrolowałem tych słów. Zbyt późno zrozumiałem, że powiedziałem je na głos i natychmiast tego pożałowałem. Czułem się, jakbym odarł ich z resztek szacunku. Jakbym splamił własne wspomnienia i pamięć. Ale taka była prawda. Twarze Eryka, Daniela i pozostałych wypaliły w moim umyśle obraz znacznie mocniejszy niż twarze moich synów, o których, gdyby nie fotografie, być może zupełnie bym zapomniał.

Nie powstrzymałem łez. Trząśłem się, siedząc na skraju łóżka z żalnym kikutem wycelowanym w ciemność.

Dłoń Jadwigi poruszała się coraz niżej.

– Chodź tu... – mruknęła cicho. Pociągnęła mnie z powrotem na łóżko i objęła. – Nikogo tam nie ma – zapewniła, całując mnie w skroń. – Co najwyżej ja. Teraz.

To był pierwszy przełom.

**11 WRZEŚNIA 1952 R.**

**GODZINA: 23:11**

**KOMISARIAT MILICJI PRZY AL. JEDNOŚCI  
NARODOWEJ 37 (OBECNIE: AL. JANA PAWŁA II)**

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**Czyli rozumiem, że przyznajecie się, obywatelu, do zamordowania Ireny Jarosz?**

**Ob. Józef Cyppek:**

**Już to chyba powiedziałem? Nie wiem, ile razy muszę to powtarzać, żebyście to sobie wbili do tępych łbów, że tak, zabiłem tę kurwę. Czujecie radość? Naprawdę jest wam lepiej, że wywiązaliście się ze swojego obowiązku? To pieprzone kuriozum. Rozumie pan? Tyle hałasu o nic. Jedna kobieta, która znika z tego świata, a zlatuje się setka ludzi. Jesteście żałośni. Co teraz? Pozszywacie jej ścierwo i wrzucicie do trumny? Złiziecie tłuszcz ze ścianek garnka? Co?!**

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**Proszę się uspokoić...**

**Ob. Józef Cyppek:**

**Jest pan Żydem? Ile ma pan w ogóle lat?**

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**To nie wy zadajecie pytania. Jeszcze chwilę, a umieszczę was w izolatce. Porozmawiamy za czterdzieści osiem godzin, a w tym czasie znajdę sposoby, żeby umilić wam pobyt. Czy jednak dokończycie teraz wyjaśnianie...**



**Ob. Józef Cyppek:**

Powiedziałem już, że się, do diabła, przyznaję. Czego chce pan więcej? Naprawdę coś jeszcze was interesuje? Była przyczyna, jest skutek. Zostałem sprawnie aresztowany, a proces pewnie pójdzie jeszcze lepiej. Nie zamierzam niczego komplikować ani przedłużać. Wyobraża pan sobie, Hauptmanie, przepraszam, kapitanie, jakie to cholernie dobre uczucie przeżyć życie tak, jak się chce? W ogólnym rozrachunku wreszcie to ja wygrywam. Może i nie byłem w stanie uratować swoich bliskich, ale odpłaciłem za to światu albo Bogu, zwał jak zwał, w wystarczający sposób. Co się pan tak patrzy? Mam opowiedzieć inną historię?

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

Proszę mówić dalej.

**Ob. Józef Cyppek:**

A jednak udało mi się pana zainteresować, kapitanie. To teraz czas na prawdziwy punkt kulminacyjny i wyznanie prawdy. Słucha mnie pan?

*J.C. przez chwilę coś nuci.*

Zabiłem o wiele więcej osób, niż wam się śniło w najgorszych koszmarach. Właściwie patrząc z perspektywy tego miejsca, Jaroszowa to tylko deser po naprawdę smaczkowym posiłku. Przepraszam za dygresję, ale czy pan albo pańska żona kupują mięso na bazarze? Naprawdę warto. Sprzedają tam znakomity bigos. A teraz przeszukajcie Rusałkę, przeszukajcie beczki w opuszczonych domach, popytajcie o zaginione dzieci, córki, żony... Może zdążyłem je poznać. Może byliśmy razem na jakimś seansie w kinie. Cholernie lubię kino. Chyba o tym jeszcze nie wspominałem. A pan, panie kapitanie? Myślę, że spodobałoby się panu *Donieccy górnicy* albo *Musorgski*. Dzięki filmom można się naprawdę wiele nauczyć, bo wcześniej w ogóle o Musorgskim nie

słyszałem, to taka ciekawa historia. Poza tym...

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**Dość. Ile osób twierdzicie, że zamordowaliście?**

**Ob. Józef Cyppek:**

**A bo ja wiem? Kto by to liczył, panie kapitanie? Poszukajcie, to znajdziecie, wtedy z chęcią sam się dowiem. Mam nadzieję, że nie zachowacie tego w tajemnicy i doniesiecie mi o tym jako pierwszemu. Obiecuje pan? Naprawdę bardzo ładnie proszę. Poza tym jeszcze raz podkreślam, że przynajmniej do czegoś się te dzieciaki przydały. Rozumie mnie pan choć trochę? Ich życie do czegoś się przydało, choć musiały umrzeć, ale umrzeć musimy wszyscy... Ich bliscy naprawdę powinni poczuć ulgę i być mi wdzięczni, bo te dzieciaki same nigdy by się nie odważyły, to...**

*J.C. bełkocze coś niezrozumiale.*

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**Gdzie dokładnie mamy szukać?**

**Ob. Józef Cyppek:**

**Nie zamienię z panem już nawet słowa. Powiedziałem i tak zbyt wiele.**

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**W takim razie podpiszcie ten protokół.**

**Ob. Józef Cyppek:**

**Niczego nie podpiszę. Zróbcie choć raz coś sami, a nie prowadzeni za rękę. To naprawdę wspaniałe uczucie. Prowadzić kogoś za rękę.**

**Kapitan Euzebiusz Supowicz:**

**W takim razie zamieszczam adnotację, że podejrzany odmawia**

**współpracy. Odprowadzić go do celi.**

**21 STYCZNIA 1952 R.**  
**GODZINA: 17:24**  
**KINO MŁODA GWARDIA**  
**UL. WILSONA 28**

Przez ostatnie półtorej godziny wpatrywałem się w ekran jak zahipnotyzowany. Mieliście tak kiedyś? Wczuliście się w zamysł reżysera na tyle, by czas zupełnie wam umknął? Byście zniknęli? Dosłownie rozplynęli się i złączyli w jedno z oglądanym dziełem?

*Dwie brygady.* Wreszcie film, który pokazał, jak fantastycznie można zobrazować życie na ekranie. A właściwie na deskach teatru, bo to na nich rozgrywała się akcja. Wyobraźcie sobie konflikt starego pokolenia trupy teatralnej z młodym. Przedmiotem sporu jest repertuar. Starzy nie rozumieją sensu grania socrealistycznej, absurdałnej sztuki o pracy robotników, a młodzi mają do niej dużo zapału. Zupełnie jak w życiu, prawda? Tyle że głupi zapał młodych nieraz podsycają całkowicie niezapałni już starzy. Właśnie to zrobiłem Ottonowi. I nie zamierzam się oszukiwać.

W filmie jednak reżyser, na podobieństwo Boga, załamuje ręce i zabiera podopiecznych na wizytę w fabryce. Tam aktorzy odkrywają, że konflikt starych i młodych robotników jest jeszcze wyraźniejszy. Ostatecznie przedstawienie się odbywa, gośćmi są napotkani arbajterzy, a aktorzy grają tak, by uświadomić im, że idea wspólnej pracy powinna wygrać z podziałami. Wzruszające? Nie wiem, ale mnie w tym obrazie urzekło coś całkowicie innego.

Gdyby się zastanowić, to chyba żaden z tych ludzi nigdy nie był sobą. Jedni odgrywali role starych, inni młodych, a kiedy przyszedł czas nibyzrozumienia, musieli całkowicie stracić sceniczną wiarygodność.

To tak, jakby powiedzieć ludziom – jedzcie ludzkie mięso. Młodzi weszliby w rolę chojraków chcących zaimponować innymi i nasycić się nowością.

Starzy pewnie solidnie by narzekali. I całkowicie bym ich rozumiał. Jeżeli przez całe życie patrzyłeś, jak ludzkie zwłoki się marnują, jeżeli – tak jak ja – widziałeś te setki, a może tysiące trupów, to uświadomienie sobie, że coś można było z tym zrobić, potrafi przyprawić o solidny ból głowy.

Jesteśmy chodzącymi workami, kośćmi obleczonymi mięsem i skórą. To, czy mamy dla tego świata jakiegokolwiek znaczenie, równie mocno zależy od tego, co zrobią z nami po śmierci, jak od tego, co sami zrobimy za życia. Gdzie jest grób Ottona? Gdzie jest Franz? Gdzie są ci, których spotkałem i zniknęli na zawsze, zazwyczaj nawet bez pożegnania?

Te słowa można potraktować jako manifest. Możecie je też wziąć za wyznania szaleńca. Mnie to całkowicie obojętne.

W szoku nie pomyślałem, żeby chociaż uszczknąć pukiel włosów Heleny. Po synach zostały mi wspomnienia wyklejone twarzami obcych bachorów. Przynajmniej ich fragmenty inni ludzie zachowywali w sobie. Choć zupełnie nieświadomie.

– Chciałabym z tobą porozmawiać...

Jadwiga pociągnęła mnie za rękaw. Był to pierwszy film, na którym pokazaliśmy się razem, i czułem się naprawdę błogo. Niedawno się tego bałem, potem starałem się nie dopuścić do świadomości, a wreszcie pozwoliłem biec życiu własnym torem. Zbliżenie z kolejną osobą to okropna rzecz. Możliwe są tylko dwa skutki. Albo my utracimy ją, albo ona nas. Niebywałe szczęście miała para młoda, która zginęła razem w ruinach hotelu Huch. Naprawdę im zazdrościłem.

– Jak ci się podobało? – zapytałem, przeciskając się między krzeselkami.  
– Udało się nam trafić na niezły film...

– Tak...

– Po prostu „tak”?

– Nic szczególnego. Kto by się zmienił tylko dlatego, że ktoś inny się zmienił?

To pokraczne stwierdzenie podsumowywało chyba cały scenariusz. Wprawilo mnie w konsternację. Przez półtorej godziny jak urzeczony patrzyłem na zwykłą blagę. Choć słowo daję, że mi się podobało. Ale z drugiej strony...

Miałem ochotę bić się pięścią w łeb. Myśli się mi plątały i czułem się jak pijany. To nie było złe kino. Nie. Nie. Nie. Jakie role odgrywamy w życiu?

Worka kości? Jesteśmy sobą tylko po to, by umrzeć, czy nigdy nie jesteśmy sobą? Marnujemy się, marnujemy czas, marnujemy innych...

Zatoczyłem się i wpadłem na damulkę owijającą się właśnie szalem.

– Niech pan uważa!

Stary gamoń asystujący przy każdym jej ruchu obrzucił mnie pogardliwym spojrzeniem. Jego wzrok prześlizgnął się od mojej twarzy ku protezie.

– Pieprz się! – Pchnąłem go, robiąc miejsce dla Jadwigi. – Cholerny pajac.

Odebrałem nasze płaszcze i, nie zważając na zbulwersowanie tamtej pary, przepchnąłem się do wyjścia. Tu było luźniej. Szybko się ubraliśmy i minęliśmy kasę biletowej. Dziwnie było widzieć w niej nieznaną twarz. Wydaje mi się, że Jadwiga coś do mnie mówiła, ale usłyszałem ją dopiero na dworze.

– ...nie mieliśmy okazji.

– Nie mieliśmy okazji na co? – dopytałem. Kompletnie nie miałem pojęcia, o co jej chodzi.

– Porozmawiać. Co się z tobą dzieje?

Poczekaliśmy, aż minie nas tramwaj, i przeszliśmy na drugą stronę ulicy. Wciąż nie czułem się najlepiej. Serce waliło mi jak oszalałe, a dłonie, mimo mroźnego wiatru, oblepił pot. Powrócił dawno już zapomniany ból utraconej nogi. Proteza wbijała się w kikut i wciąż kręciło mi się w głowie.

Byłem robakiem, który marzył o tym, żeby zostać człowiekiem. Bez sensu, że zająłem się odgrywaniem tej roli. Nikogo nie mogłem przecież oszukać.

Kolejne metry pokonałem w zupełnym amoku. Kiedy pchnąłem drzwi mieszkania, nawet nie przepuściłem Jadwigi w prog. Zataczając się, w ubłoconych butach, powlokłem się do łóżka. Dawnym zwyczajem padłem tuż przy nim.

– Józef!

Jadwiga zrzuciła buty i kucnęła przy mnie. Złapała mnie za rękę, ale widząc mój uśmiech, natychmiast się uspokoiła. W rzeczywistości czułem się dobrze. Zawroty głowy ustały, choć w mózgu wciąż kotłowały się myśli. Znowu powróciły te wszystkie twarze. Otto miał jasno- czy ciemnobrązowe oczy? To on czy Franz miał za uchem znamię w kształcie kotwicy? Jak wyglądały piersi Heleny? A Helgi? Czy myszowłosa dziewczynka wyrosła

na piękną brunetkę? A może jej ciało rozkłada się w jakimś bezimiennym grobie? Co z Erykiem?

Do kurwy nędzy, co z Erykiem? Gdzie są jego rodzice?

Pieprzę ich wszystkich.

Pieprzę cały świat!

– Cieszę się, że byliśmy razem w kinie.

Strzępki słów Jadwigi doleciały do mnie z opóźnieniem. Pokiwałem głową i jeszcze raz się uśmiechnąłem.

– Jak cię mam traktować? – Usiadła przy mnie i położyła głowę na moim udzie. – Jak przyjaciela? Czy jak kochanka? A może ani tak, ani tak? Zasługuję na to, żeby to wreszcie wiedzieć...

Nie mogłem się skupić. Rozumiałem, do czego zmierza Jadwiga, ale nie miałem ochoty szukać odpowiedzi. Było mi dobrze tak, jak jest. Po co pewne sytuacje ubierać w słowa? Po co narzucać im ramy?

– Chcę z tobą być na zawsze...

Sapnąłem i oparłem się mocniej o wezglowie łóżka. Powiodłem wzrokiem po jej krągłej twarzy, po długich rzęsach i pełnych ustach.

– Dlaczego mi to robisz? – zapytałem, chwytając się metalowego oparcia.

– He?

– Co ci robię?

– Pytasz mnie o to.

Pokręciła głową, nie rozumiejąc. Podniosła się i zmarszczyła czoło.

– Chcę być przy tobie... – szepnęła, stając nade mną. – Czy to coś złego?

– Żeby mnie potem zostawić? Wiesz o tym? Ty też chcesz mnie zostawić!

Tak szybko, jak byłem w stanie, poderwałem się do pionu. Podparłem się o łóżko i szarpnąłem Jadwigę za ramię. Tym razem naprawdę się przestraszyła.

– O czym ty...

Nie pozwoliłem jej dokończyć. Pchnąłem ją z całej siły na ziemię i przydusiłem zdrową nogą. Była jak robak, którego mogłem rozdeptać.

– Akurat dzisiaj! – wrzasnąłem, przenosząc na nią ciężar swojego ciała. – Akurat po tym, jak pierwszy raz obejrzeliliśmy razem cholerny film! Robisz to specjalnie? Tak?!

Usiłowała coś mówić, ale jej nie słyszałem. Wodospad moich myśli zagłuszał wszystko, co się wokół działo. Nachyliłem się i wbiłem palce w jej

oczy. Poczułem, jak gałki oczne przemieszczają się pod moim naciskiem, a potem...

A potem zapadła ciemność.

Ocknąłem się dopiero kilkanaście godzin później. Zmarznięty, oszołomiony, ale z gotowym planem. Albo przynajmniej ogólną jego koncepcją.

Pamiętacie ciało, które odnaleziono w pociągu? Zostawiłem je tam, po raz pierwszy z myślą, że jeżeli zostanę aresztowany, sąd szybko ze mną skończy. Wyręczy mnie w tym, co uważałem za nieuniknione. Przecież śmierć to tylko kolejny etap. Do samego końca byłem jednak praktyczny. Domyślcie się zapewne, dlaczego w walizce znajdował się jedynie fragment korpusu i stopy.



**SOBOTA, 20 WRZEŚNIA 1952 R.**  
**GODZINA: 10:18**  
**ARESZT ŚLEDczy W SZCZECINIE**  
**UL. KASZUBSKA 28 (DAWNIEJ:**  
**ELISABETHSTRASSE)**

Wielki Budowniczy Polski Ludowej prezydent Bolesław Bierut jest pierwszym kandydatem narodu, Stefan Martyka został zamordowany, bo przeciwstawiał się propagandzie wojny, głoszonej przez „Głos Ameryki”, a w ogóle to jest pięknie. „Kurier Szczeciński” z 19 września 1952 roku jak zwykle niósł dobrą nowinę.

Informowano, że z okazji wyborów i XIX Zjazdu WKP pracownicy sklepu MHD nr 37 rzetelnie obsługują klientelę, a nauczyciele ze Stargardu zlikwidują oceny niedostateczne. Wzmiankowano też o przygotowaniach do Kongresu Ziem Odzyskanych, który miał się odbyć we Wrocławiu; wielkiej akcji szczepień ochronnych przeciw gruźlicy i o tym, że dzięki budowie potężnych fabryk z konnych dorożek przesiądziemy się do nowoczesnych samochodów. Od 1955 roku Polska miała budować trzydzieści siedem tysięcy aut rocznie.

O mnie „Kurier” wzmiankował dopiero na piątej stronie na dole. Krótką informację umieszczono w stałej rubryce „Sąd orzekł”. Tekst nosił chwytliwy tytuł „Zwyrodniały morderca skazany na karę śmierci”, który jednak, jak dla mnie, brzmiał dość tandetnie. Wolałbym coś bardziej filmowego.

Zwyrodniały morderca... To takie banalne.

*Sąd Wojewódzki w Szczecinie w trybie doraźnym rozpatrywał 17 bm. sprawę karną 57-letniego JÓZEFA CYPPKA. Postępowanie dowodowe ustaliło, że osk. Cyppek 11 września br. przy ulicy Rewolucji Październikowej 7 m. 3 na Niebuszewie w bestialski sposób zamordował 26-*

*letnią sąsiadkę IRENĘ JAROSZ, matkę siedmiomiesięcznego dziecka.*

*Zwyrodniał morderca skazany został na karę śmierci, utratę praw obywatelskich i publicznych praw honorowych na zawsze oraz całkowity przepadek mienia na rzecz Skarbu Państwa.*

Notatka niemal kończyła całe wydanie. Była nawet za obwieszczeniami, ogłoszeniami drobnymi oraz informacją o tym, że w barze nr 1 spożywamy posiłki do 21:15. Ważniejsze były również prośby o kontakt, kierowane przez nieszczęśników, którzy zgubili swoje karty meldunkowe. Jeden z nich posiał gdzieś karty swoją i żony.

Za mną został tylko sport i zapytanie „Czy w twoim kole sportowym rozpoczęły się już treningi do Marszów Jesiennych?”. Jeżeli nie, mieliśmy koniecznie o tym przypomnieć swoim kolegom z Rady Koła.

Właściwie tyle miał mi do przekazania adwokat. Wysłuchałem go w milczeniu, nie bardzo wiedząc, jak zareagować. Postanowiłem w ogóle z nim nie rozmawiać. I tak nie mogłem go zrozumieć, a jakikolwiek sposób nawiązania relacji uważałem za zbędny. Jeżeli mnie rzeczywiście powieszają, czy będzie mu chociaż głupio?

Nie sądzę.

Choć nie mogę powiedzieć, żeby się nie starał. W przeciwieństwie do większości nie okazywał mi odrazy ani pogardy. Teraz każdy chciał, abym był plugawym, pełzającym robakiem. Ale robaki nie przerażają tak jak ja.

Zaczęliśmy mówić o karze śmierci i to była dobra rozmowa. Konstruktywna. Zapytałem adwokata o sposoby, w jakie się ją teraz wykonuje, i czy można mieć na nie wpływ. Nie musiał walczyć o moją wolność. Wystarczyłoby mi, aby wywalczył mi dobrą śmierć.

Swoją drogą, to było dla mnie zabawne. Sąd, wydając wyrok skazujący na karę śmierci, również zabija człowieka i nie podlega za to żadnej karze. Kat w zgodzie z prawem i własnym sumieniem może odebrać życie, a prokurator temu przyklasnąć. Adwokat będzie się już zajmował kolejną sprawą i zapomni nawet, jak jego klient się nazywał. A może się chociaż pomodli?

Mecenas wreszcie wstał, upchnął kilka dokumentów do skórzanej torby i ruszył do wyjścia. Strażnik natychmiast otworzył mu kratę.

– Czyli właściwie nie zrobiłem nic złego – mruknąłem, również się

podnosząc. – Na to by wychodziło.

Adwokat zatrzymał się i spojrzał na mnie spode łba. Bez togi prezentował się jak przeciętny urzędnik, którego zawodem jest przekazywanie paskudnych wieści. Śpieszyło mu się, a ja byłem zapewne przypadkiem z góry przegrany, na który szkoda tracić czasu.

– Skoro to nikogo specjalnie nie wzrusza, powinniśmy chyba przejść nade mną do porządku dziennego – wyjaśniłem. – Ona umarła, ale ja nadal żyję.

Adwokat zawrócił i podszedł do mnie. Wbił we mnie zaciekawione spojrzenie. Czekałem tylko, by spłynęło z mojej twarzy ku nodze. Tak się jednak nie stało.

– Czy chciałby pan mi przekazać coś jeszcze? – zapytał uprzejmie.

– Właściwie to tak. – Uśmiechnąłem się.

Przykułem jego uwagę. Zniecierpliwiony strażnik oparł się o kratę, ale nic nie powiedział. Kolejny gówniarz, który nie wiedział, jak się zachować.

– Chciałbym odzyskać swój zegarek – szepnąłem. – Nikogo nim przecież nie zabiję, a odmierzał mi cholerny czas prawie przez całe życie. Rozumie pan, jak to jest?

– Zobaczę, co da się zrobić.

Mecenas skinął głową i ruszył do wyjścia. Wiedziałem, że zupełnie mnie nie rozumie.

**CZWARTEK, 11 WRZEŚNIA 1952 R.**

**GODZINA: 14:34**

**UL. WILSONA 7/3 (PRZEMIANOWANA WŁAŚNIE  
NA UL. REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ)**

Przez ostatnie pół roku byłem naprawdę sam. Po głowie plątały mi się strzępki myśli, podejrzeń i oskarżeń, ale nie miałem odwagi sformułować ich wprost. Albo nie czułem takiej potrzeby. Zaszywałem się w swoim mieszkaniu, pracowałem, wychodziłem jedynie po to, by kupić najpotrzebniejsze rzeczy. Właściwie, gdyby spojrzeć na to z zewnątrz, funkcjonowałem całkiem dobrze.

Gdyby nie to, że naprawdę byłem sam.

O tak, Helga miała rację, mówiąc, że diabelnie boję się samotności, choć miała na myśli całkiem inny rodzaj.

Z Jadwigą naprawdę wyszło nie tak, jak chciałem. A co gorsza, myśl o niej, każde cholerne wspomnienie wywracały wszystko do góry nogami. Ożyła we mnie najdziksza chęć zaspokojenia się i żałowałem, że z jej trupem nie zrobiłem wszystkiego, co powinienem był zrobić. Naprawdę myślałem o tym w każdej wolnej chwili.

A czasu miałem sporo.

Od lipca albo początku sierpnia z nikim się nie spotykałem. Z nikim nie zamieniłem też słowa, poza tym, co absolutnie niezbędne. Hans wciąż dowcipkował z Günterem, Johanna sprzedawała towar spod lady, ale dostawy najlepszego mięsa skończyły się na amen. W moim mieszkaniu nie zjawił się żaden bachor proszący o rozmienienie pieniędzy na bilet, a wizja zaczynania od początku mnie zniechęcała. Przez zaczynanie od początku rozumiałem, oczywiście, dopadnięcie kogoś wprost na ulicy i zawleczenie do mieszkania lub magazynu. Chyba robiłem się stary.

Kikut bolał mnie, jakby na zmianę smagano go biczem i przypalano. Kiedy tylko wracałem do domu, zrzucałem protezę. To niewiele pomagało,

ale przynajmniej pozwalało się skupić na czymś innym. Kuśtykałem wsparty o lasce lub leżałem w łóżku. Czasem przeglądałem *Lehrbuch der Chirurgie*, a czasem Biblię. Miałem właściwie tylko te dwie książki. No i trochę starych gazet, bo prawie nigdy ich nie wyrzucałem.

Tamtego dnia wróciłem ze zmiany tuż po czternastej. Pracowałem od czwartej rano, przygotowując do drogi jeden z najnowszych składów tramwajowych. Ciągle coś trzeba było poprawiać albo przerabiać. Najlepiej byłoby zacząć od pieprzonych torów.

Po powrocie pozbyłem się sztucznej nogi i przez chwilę rozmasowywałem kikut. Byłem zmęczony. Burczało mi w brzuchu, więc w końcu zająłem się przygotowaniem obiadu. Trochę cebuli, trochę kaszy, kawałek niezbyt dobrej kiełbasy. Nigdy nad tym nie panowałem. Zbierałem w kuchni rozmaite produkty, ale ich skomponowanie stanowiło dla mnie nieodgadnioną zagadkę. Poza bigosem oraz mielonymi nie potrafiłem nazwać niemal żadnej potrawy. No, zdarzały się jeszcze galareta, smalczyk i koreczki. Miejskowa klasyka.

Kiełbasa i cebula zaskwierczały na patelni, znad której unosił się przyjemny aromat, a ja oparłem się o parapet. Wyglądanie przez okno uświadamiało mi, że tu toczy się inne życie niż na ulicy. Tak samo inne życie toczyło się w mojej głowie i na zewnątrz mojego ciała. Grałem.

O filmie i życiu nie muszę wam już pewnie wspominać.

Z zamyślenia wyrwało mnie pukanie. Delikatne, ale dość mocne, bym od razu je usłyszał. Chwyciłem laskę i powłokłem się do drzwi. Jak zwykle były niezamknięte, więc machinalnie szarpnąłem klamkę.

W progu stała moja sąsiadka. Całkiem zgrabna, z dużymi piersiami, kształtną, nieco pucołowatą buzią i pełnymi ustami. Z rodzaju tych, o których mówi się, że nie są piękne, ale seksowne. Włosy zawsze nosiła elegancko zaczesane do tyłu i upięte w niewielki kok. Wtedy chyba nawet nie wiedziałem, że nazywa się Irena Jarosz i ma zaledwie dwadzieścia lat. Widywałem za to jej bufoniastego męża, a jeszcze częściej słyszałem płacz dziecka. Nigdy mi jednak nie przeszkadzał. Skoro wyrażał cierpienie, a nie radość, wszystko było w porządku.

– Dzień dobry... – Jaroszowa skinęła głową. – Panie Józefie... Mam drobną prośbę.

Od razu zaskoczyłem. Nie znosiłem, gdy nazywano mnie Józefem, a tym

bardziej „panem Józefem”. Chodziło o kogoś innego, kogo właściwie nie znałem. Herr Zyppeck. Po kilku latach byłem już pewny, że tylko tak można się do mnie zwracać.

– Chciałabym pożyczyć szklanę mąki. Zaraz przychodzi do mnie...

Machnąłem ręką. Nie interesowało mnie, kto do niej przychodzi ani po co jej pieprzona szklanka mąki. Skoro zaszła aż do mnie, musiała być naprawdę pod ścianą i obejść wszystkich sąsiadów.

Ta kobieta zawsze mi się podobała. Odkąd tylko się wprowadzili, lubiłem patrzeć na jej apetyczne kształty i obserwować jej sposób chodzenia. Poruszała się z gracją, świadoma swoich atutów. Teraz, ubrana po domowemu, w fartuch i ciemną bluzeczkę, wydawała się jeszcze bardziej smakowita.

– Mógłbym pożyczyć... – wycedziłem. – Gdyby zechciała pani na chwilę do mnie wejść i dać się nacieszyć towarzystwem...

Jaroszowa natychmiast pokręciła głową. Uśmiech zniknął z jej twarzy i cofnęła się w głąb klatki. Na moją propozycję nie odpowiedziała nawet słowem. Na odchodne przydybałem ją, jak łypie na pustkę w jednej z nogawek moich spodni, a potem na laskę. Byłem pewny, że fuknęła coś z kpina. Miała taką samą minę jak feldfelbel w punkcie mobilizacyjnym prawie dokładnie przed trzynastu laty. Pogarda, kpina, niedowierzenie. Najgorsze chyba było to ostatnie, bo sprowadzało mnie do rzędu jakichś gorszych istot, które nawet nie zasługują na marzenia.

A marzeń nie można odbierać nikomu.

Kiedy tylko Jaroszowa postawiła nogę na stopniu, chwyciłem ją za włosy. Ściągnąłem na piętro i, nim zdążyła krzyknąć, zawlokłem do mieszkania. Laską pchnąłem drzwi. Nie byłem aż takim kaleką. Więcej życia przeżyłem z jedną nogą niż z dwiema. Mimo to straciłem równowagę i przewróciłem się na swoją ofiarę. Opadłem na nią całym ciężarem, a kiedy zaczęła krzyczeć, brutalnie zatkałem jej usta. Starła się gryźć.

– Nie odpowiada ci moje towarzystwo? Jest aż tak złe?!

Dyszając z wysiłku i nie podnosząc się z podłogi, zaciągnąłem ją do kuchni. Próbowwała walczyć, ale mimo słusznej jak na kobietę postury nie miała szans. Przy dziecku tylko traci się siły. Zapamiętajcie to sobie.

W tamtej chwili całkowicie odeszła mnie chęć korzystania z jej towarzystwa. Nie miałem ochoty na seks. W głowie tkwiło mi coś zupełnie

innego. Wielkie namiętności zwyciężają z największymi przyjemnościami, chyba tak mógłbym to nazwać. Przynajmniej brzmi nie najgorzej.

Dwoma solidnymi ciosami w szczękę pozbawiłem Jaroszową ochoty wzywania pomocy. Uderzenia rozdarły jej wargi i naruszyły kilka zębów. Przynajmniej wciąż nie wyszedłem z wprawy. Z satysfakcją patrzyłem, jak jęczy i zwija się z bólu.

I kto teraz nie zasługiwał na marzenia?

Podciągnąłem się o szafkę, ale ta dziwka ciągle usiłowała wstać. Gdyby się jej udało, na pewno zdołałaby uciec. Nie miałbym szans jej dogonić, nie zamierzałem się oszukiwać.

Nóż rzeźnicki, tasak i piła musiały zaczekać.

Obróciłem się na bok i, przytrzymując ją jedną dłonią, sięgnąłem do dolnej szuflady. Opuszkami palców musnąłem niewielki młotek. Chyba nigdy wcześniej go nie używałem. Oto nadeszła wiekopomna chwila.

Podczas premierowego spektaklu sprawdził się wyśmienicie. Pierwsze uderzenia zamieniły twarz Jaroszowej w mięsną papkę. Z jej nosa i uszu ciekła krew. Z ust dobiegał jedynie cichy charkot. Zęby wypadły i razem z kawałkiem języka obkleiły jej wargi.

A ja nie zamierzałem się teraz zatrzymać.

Pełzający robak miał przed sobą wiele roboty. Nie zamierzał się hamować ani być ostrożny. Miał świadomość, że nadchodzi koniec, choć koniec jest przecież tylko następnym etapem.

Jak oszalały, wciąż tłukłem młotkiem po ładnej buzi.

**PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R.**  
**GODZINA: 10:51**  
**SĄD WOJEWÓDZKI W SZCZECINIE**  
**UL. KASZUBSKA 42**

**Przewodniczący:**

Sąd w tym momencie odczyta notatkę sporządzoną na miejscu zbrodni przez plutonowego milicji obywatelskiej Jana Kasprzaka. Proszę o ciszę.

*W toku dalszej rewizji w mieszkaniu oskarżonego Cyppka Józefa ujawniono leżące na kanapie pokawałkowane zwłoki płci żeńskiej, które rozpoznał obywatel Jarosz jako zwłoki jego żony Ireny po ogólnym wyglądzie i budowie.*

Mąż ofiary musiał tego dokonać na podstawie ubioru i cech zewnętrznych, ale pamiętajmy, że nieboszczka została pozbawiona głowy. Czy mimo tego nie pojawiły się żadne wątpliwości?

**Ob. Jarosz:**

Nie.

**Przewodniczący:**

Zwracając się do wysokiego sądu, proszę stać.

**Ob. Jarosz:**

Nie miałem żadnych wątpliwości. To chyba oczywiste, że od razu poznałem swoją żonę...

**Przewodniczący:**



**Dziękuję. Dla porządku przypomnę, że głowa obywatelki Ireny Jarosz została odnaleziona w miejscu wskazanym przez oskarżonego, co samo w sobie ma wymierne znaczenie logiczne. Czy oskarżony odniesie się i powie, skąd wiedział, że znajdowała się w jeziorze Rusałka? Odmawianie składania wyjaśnień w tym zakresie i jednocześnie utrzymywanie niewinności jest przy tym niezrozumiałe. Aczkolwiek prawnie uzasadnione.**

**Ob. Cyppek:**

**Podtrzymuję swoje stanowisko. Odmawiam składania jakichkolwiek wyjaśnień, a wskazanie miejsca proszę potraktować jako przejaw dobrej woli.**

**Ob. Jarosz:**

**Dobrej woli? Jak pan w ogóle śmie! Jak śmiesz, śmieciu?**

**Przewodniczący:**

**Przypominam o prawie zabrania głosu tylko za zgodą sądu.**

**Ob. Jarosz:**

**Ale... Rozumiem.**

**Przewodniczący:**

**W takim razie sąd jeszcze raz musi zwrócić uwagę na spójność notatek lekarzy przeprowadzających autopsje. Obaj dostrzegli znaczną wprawę sprawcy w obchodzeniu się ze zwłokami. Przy czym nic nie wiadomo na temat ewentualnych doświadczeń oskarżonego przy sekcjach, operacjach chirurgicznych lub, przepraszam za porównanie, przy jakiegokolwiek obróbce mięs. To również wzbudza uzasadnione wątpliwości. Wystarczy przytoczyć słowa z raportu doktora Malinowskiego. Chwileczkę...**

***Jednorazowe cięcia, bez powtórzeń, równo w stawach i wydobywanie narządów wewnętrznych świadczą o pewnej fachowości sprawcy.***

**Czy oskarżony zamierza się w jakikolwiek sposób odnieść do tego wyводу?**

**Wobec milczenia sądowni pozostaje jedynie przejść do dalszego procedowania. Opieramy się na materiale dowodowym zebrany w niniejszej sprawie i nie wybiegamy w sferę dywagacji.**

\* \* \*

To nie do końca tak, że coś we mnie wstąpiło. Wydaje mi się, że od dawna planowałem zabić Jaroszową. Gdy tylko nadarzyła się okazja, natychmiast dorobiłem pretekst i przyczynę zastąpił skutek. Szklanka mąki zamieniła się w patelnię mięsa. Tym razem nie zamierzałem obdarowywać Johanny ani transportować ciała do magazynu. Zrobiłem się głodny i uznałem, że zasługuję na to, by wreszcie porządnie zjeść.

Wszystko zajęło mi jednak zbyt wiele czasu. Spieszyłem się. Rozkawałkowałem ciało, ale roskopf wskazywał, że nadeszła już pora. Mój czas dobiegał końca. Poza tym sąsiedzi zaczęli chodzić po podwórzu i wydzierać się, jakby Jaroszowa ogłuchła i nie mogła trafić z powrotem do domu.

Banda pieprzonych idiotów.

Moje mieszkanie od Rusałki dzieliło zaledwie kilkaset metrów, góra kilometr wąską uliczką, o której na pewno nie można było powiedzieć, że tętniła życiem. Mimo to nie miałem szans, żeby o tej porze bezpiecznie przetransportować całe ciało. Musiałbym chodzić kilka razy, a miałem już inne plany. Poza tym znowu mogły się zacząć pytania, czy przypadkiem nie widziałem tej, która leżała w kilku kawałkach na mojej podłodze.

Widziałem.

Ale nic nie powiem.

Tamtego popołudnia w Młodej Gwardii grano Wilhelma Tella w oryginale. Widziałem ten film przed wielu laty, kiedy jeszcze wszystko było na swoim miejscu. W czasach, gdy Forms miał solidne ściany, a Ufa Theater Kammer-Lichtspiele urzekał i nazwą, i projektorem. Tego seansu nie mogłem przegapić.

Rozłożyłem na podłodze pierzynę, którą tymczasem wyniosłem z mieszkania Jaroszowej, a obok rzuciłem dwa garnitury jej męża. Nie

zamierzałem ich ukrywać. Wiedziałem, że wszystko prędzej czy później musi się skończyć, a dziś była na to doskonała szansa. Ja swoją wykorzystałem, byłem ciekaw, czy los będzie w stanie wykorzystać swoją.

Pospiesznie zjadłem kilka półsurowych kawałków mięsa i skoncentrowałem się na ich smaku. Nie spodziewałem się, bym musiał się bez niego obejść dłużej niż dotąd.

Głowę Jaroszowej zapakowałem w ostatni z jutowych worów, które miałem. To mógł być jedynie zbieg okoliczności, a może właśnie odbywało się przeznaczenie. Co za różnica?

Resztę zwłok postanowiłem zabrać po powrocie z seansu. Na deser zostawiłem sobie większość przysmażonego mięsa, choć pewnie znowu bym się złamał i zaniósł je Johannie. Musicie przyznać, że miałem do niej cholerny sentyment.

Z workiem pod pachą wyszedłem z mieszkania. Sąsiadki wciąż łąziły po podwórzu, jedna z nich zajmowała się dzieckiem Jaroszów, a ktoś w kółko powtarzał, że trzeba wezwać milicję. To mógł być poczciwy Jarosz, ale nie musiał. Jego twarzy nigdy nie pamiętałem. Był jednym z tych irytujących ludzi, których istnieniem nie warto zaprzętać sobie myśli.

Tym razem nikt mnie nie zaczepiał. Szybkim krokiem przeszedłem przez podwórze i skierowałem się tam, gdzie zwykle. Wybierałem jedno z dwóch ustronnych miejsc, ale tym razem nie chciałem się zmoczyć. Poza tym przecież całe jezioro nasiąka szczątkami i staje się uroczym cmentarzem. Jest jak woda w szklance, do której dodano ziarnko cukru. A ja wciąż mogłem wzbogacać jego smak.

Obciążony głową worek jutowy tonie naprawdę szybko. Mimo to nie czekałem, aż się całkiem zanurzy. Nie chciałem się spóźnić na seans, a zostało mi już tylko niewiele ponad kwadrans. Reszta szczątków musiała poczekać. Wsłuchałem się w bulgotanie, przymknąłem na chwilę oczy i pomyślałem o Jadwidze. Żałowałem, że zamiast wrzucić je do jeziora, jej zwłoki bezsensownie upchnąłem w walizce. Zmarnowałem je i słusznie czas zatarł moje wspomnienia. Zaczynałem zapominać nawet kształt jej twarzy. Niech to szlag.

Kiedy półtorej godziny później Wilhelm Tell celował w jabłko ustawione na głowie swojego syna, wybuchnąłem głośnym śmiechem. Jako jedyny w całej sali.

Inni jak zwykle obrzucili mnie pełnymi wyrzutu spojrzeniami.

**NIEDZIELA, 2 LISTOPADA 1952 R.**  
**GODZINA: 19:04**  
**ARESZT ŚLEDczy W SZCZECINIE**  
**UL. KASZUBSKA 28 (DAWNIEJ:**  
**ELISABETHSTRASSE)**

Celę dzieliłem z dwoma osadzonymi. Jednym z nich był niemiecki zbrodniarz wojenny w stopniu kapitana, drugim – szabrownik. Kapitan miał prawie dwa metry wzrostu, zapadnięte policzki i ponure spojrzenie błękitnych oczu. Trzymał się zawsze prosto, mówił niewiele i niechętnie. Sądzę, że przez lata procesów znudziło mu się tłumaczenie tego, co zrobił. Każdą wolną chwilę spędzał na pisaniu listów. Dziwiło mnie to, że nigdy nie prosił o ich wysłanie. Kiedy go o to pytałem, zbywał mnie milczeniem.

Po pewnym czasie nawiązaliśmy jednak więź porozumienia. My dwaj byliśmy Niemcami, a szabrownik jedynie „głupim polaczkiem”. Tylko tak o nim mówiliśmy. W celi znajdowały się dwie prycze, więc szybko stało się oczywiste, kto będzie spał na podłodze. Ktoś mógłby powiedzieć, że morderca z mordercą zawsze się dogada. Ale to nie tak. W więzieniu nie wspominaliśmy dawnych czasów, nie rozmawialiśmy o tym, co zrobiliśmy, ani – za co tu trafiliśmy.

Hierarchia w więzieniu układa się sama. Siłą charakteru, pięści albo daru przekonywania. Szabrownik stanowił doskonałe przeciwieństwo kapitana. Był niewiele wyższy ode mnie, miał puciołową twarz i wylupiaste oczy. W każdym przypadku spadał na sam dół hierarchii. Wiedzieliśmy to my, wiedzieli o tym również strażnicy. Mimo że zbrodniarz wojenny mógł niegdyś trzymać za mordy ich rodziny, a ja mógłbym posiekać im synów i córki, mieli dla nas więcej szacunku niż dla tego, który niczego nigdy by im nie zrobił.

Gdybym był gwałcicielem, pewnie sytuacja byłaby inna i to ja

wylądowałbym na dole hierarchii. Skazano mnie jednak tylko za zabójstwo. Nikt jeszcze nie wiedział o moich pozostałych ofiarach. Uchodziłem za romantyka, który mógł zabić w afekcie, w wyniku zdrady lub kłótni kochanków. Szeptano, że władze utajniły mój proces, i to wystarczyło, bym zyskał kolejne punkty. Również wśród sługusów systemu.

– Piszę je do samego siebie – odezwał się któregoś dnia kapitan.

Był już wieczór i mieliśmy godzinę wolnego. Później światła miały zgasnąć, a wszyscy – udać się na spoczynek. Zakazane były rozmowy, głośne zachowywanie się, śmiech, płacz, nawet korzystanie z toalety traktowano jako wykroczenie. Swoją drogą, po ciemku człowiek miał jedyną okazję, żeby w miarę intymnie usiąść na wypustce, która robiła za kibel i która znajdowała się pomiędzy pryczami.

– Listy do samego siebie? – zdziwiłem się. – Po co?

– To pozwala mi uporządkować myśli.

– Naprawdę?

– Naprawdę. – Kapitan poważnie skinął głową. Odwrócił się i nachylił w stronę światła. Jego twarz wydawała się teraz śmiertelnie blada, a oczy – puste. – Zrobiłem dużo złego, nie mając o tym w ogóle pojęcia.

Szabrownik przysunął się do nas, ale wystarczyło spojrzenie kapitana, aby z powrotem wrócił do swojego kąta. Przez chwilę milczeliśmy. Wreszcie siadłem na pryczy i się przeciągnąłem. Byłem zmęczony, a sen zamykał mi oczy.

– Żałuje pan? – zapytałem przede wszystkim z grzeczności.

– Nie.

Kapitan całkowicie nie rozumiał, jak mógłbym o to pytać. Parsknął zirytowany. Mimo wszystko był wyraźnie zadowolony z tego, że podjąłem temat. Obrócił się na boku i spojrzał mi prosto w oczy. Przez chwilę się nie odzywał.

– Zdaje pan sobie sprawę, że zrobił wiele złego, i jednocześnie nie żałuje?

– Mówię, że porządkuję myśli – wyjaśnił. – Poza tym to inni mówią, że zrobiłem coś złego. W chwili, gdy dopuszczałem się tych czynów – ostatnie słowa przypominały prychnięcie – nie miałem takiego poczucia. Wykonywałem rozkazy. Albo w ten lub inny sposób dążyłem do ich wykonania.

– To chyba niczego nie zmienia.

Kapitan poderwał się z pryczy i nerwowo uderzył pięścią w otwartą dłoń.

– To zmienia wszystko – syknął. – Gdyby ktoś teraz panu powiedział, że trzymanie na uwięzi psów to zbrodnia, poczułby się pan zbrodniarzem? Czuje się pan nim w ogóle? Zamordował pan kobietę!

Po raz pierwszy w celi nazwano to, co zrobiłem. Nie czułem się zbrodniarzem, ale nie chciałem się też nad tym teraz zastanawiać. Przy każdym z zabójstw działałem pod wpływem impulsu lub planowania odbywającego się poza sferą świadomości. Analizowanie przyczyn niezmiennie mnie denerwowało. Gdybym chciał się podpisać na swoich ofiarach, nie wiedziałbym, czy zrobił to Józef Cyppek, czy Joseph Zyppeck. A może tylko wyobrażałem sobie, że dokonałem morderstw, o których czytałem w gazetach? Wprowadzało mnie to w nieustanną konsternację.

– Przepraszam. – Kapitan opadł na pryczę i uniósł dłonie. – Nie zamierzałem...

Umilkł, bo w drzwiach celi zabrzączał klucz, a zaraz potem przesunięto zasuwę. Po chwili w progu stanął podrostek w zbyt dużym mundurze. Mógłbym się założyć, że był to ten sam szczył, który przypatrywał się, jak przed ponad ćwierćwieczem w berlińskiej celi katuje mnie Hauptman. Tyle że to było niemożliwe. Abstrahując od tego, że nie miał prawa trafić na służbę do Polski, nie istnieją ludzie odporni na upływ czasu. Rodzimy się, starzejemy i umieramy. To wszystko naturalne etapy życia, a różnimy się tylko długością tego, co pomiędzy początkiem a końcem.

Zgodnie z regulaminem musieliśmy się wszyscy podnieść i stanąć na baczność. Najścia o tej porze niemal się nie zdarzały. Te pojedyncze razy oznaczały niespodziewaną rewizję w związku z podejrzeniem przeschmuglowania dla więźnia niedozwolonych przedmiotów. Albo z koniecznością podrzucenia mu ich.

Tym bardziej się zdziwiłem, gdy podrostek nie skierował się do naszych prycz. Wciąż stał w progu, ale wycelował we mnie długim palcem. W drugiej dłoni trzymał kilka kartek papieru.

– Prezydent Bierut... – odezwał się formalnym tonem.

– Tak? – Ugięły się pode mną nogi. – Co prezydent Bierut?

– Odmówił skorzystania z prawa łaski.

– To znaczy, że...

– Tak. – Klawisz skinął głową. – Szykujcie się, obywatelu Cyppek.

**PONIEDZIAŁEK, 3 LISTOPADA 1952 R.**

**GODZINA: 17:21**

**ARESZT ŚLED CZY W SZCZECINIE**

**UL. KASZUBSKA 28 (DAWNIEJ:**

**ELISABETHSTRASSE)**

Sprowadzony specjalnie z Warszawy kat z samego rana zważył mnie i zmierzył. Wiem, że parę godzin później sporządził sznur, a być może w samo południe odbył próbę z workiem imitującym wymiary mojego ciała. Jeżeli sznur wytrzymał, trafiał do specjalnego depozytu i czekał w nim aż do egzekucji. Zazwyczaj od dwunastu do dwudziestu czterech godzin. W tym czasie jeszcze raz sprawdzano szafot, mechanizm zapadni i drewnianą konstrukcję. Naprawdę przykładano wagę do szczegółów.

Nie chciałem klechy, pastora, popa ani rabina. Ciekawe, kogo jeszcze mieli w ofercie, ale wyliczanek przerwałem po tej czwórce.

– Dobrze – mruknął milicjant i odznaczył coś w formularzu. – Niech tak będzie.

– W Ameryce podobno oferowany jest wybór ostatniego posiłku – zagadnałem. – Czytałem o tym w jakiejś gazecie. Albo słyszałem od teścia.

Milicjant rzucił mi niechętnie spojrzenie i od razu zrozumiałem, że wiedział. Wiedział o garnkach, patelni na ogniu, a może nawet o sposobie, w jaki przyrządzałem mięso. Puściłem mu oko, a on plasnął dłonią w kartki. To był znak, że jeszcze chwila i jego pięść wyląduje na mojej gębie.

– Spokojnie...

Spuściłem głowę i odwróciłem się w głąb celi. Okłamałem was dotąd tylko dwa razy. Całkiem niedawno, pisząc, że w celi znalazłem się w hierarchii powyżej szabrownika. A nieco wcześniej, wspominając, że Franz zastrzelił się na moich oczach. To nieprawda. Tamtego dnia jedynie się ze mną



pożegnał, uściskał mnie i odszedł razem z oddziałem, który miał osłaniać ewakuację ludności cywilnej. Nigdy nie dostałem o nim żadnej informacji. Żadnej wzmianki, żadnych kondolencji albo listu z Ameryki. Wolałbym wiedzieć, że zginął, niż zastanawiać się, co się tak naprawdę stało. Wmówiłem sobie jego śmierć. Szykując się na własne odejście, muszę to sobie wyraźnie powiedzieć.

Oszukiwałem się.

Życie kazało mi być trędowatym. Wszyscy wokół mnie prędzej czy później umierali, jakbym roznosił pieprzoną zarazę. Jestem pewny, że chłopiec, którego zostawiłem tamtej nocy w piwnicy, wkrótce zamarznął na śmierć. Myszowłosa dziewczynka została zgwałcona i zamordowana może już następnego dnia po tym, jak ją uratowałem. Czułem to.

Śmierć kręciła się przy mnie niemal bez przerwy. Matka, przyjaciele, towarzysze z oddziału, potem ze Spartakusa, teść, Helena, synowie... W tym naprawdę nie ma nic nadzwyczajnego ani nic, o co należałoby mieć pretensje do losu. Tak już jest. Po prostu.

Życie bez umierania miałoby niewielkie znaczenie. A z pewnością nie miałoby żadnych perspektyw.

Siadam w kucki przy ścianie i zakładam dłonie za głowę. Właściwie to jestem ciekaw, jak wygląda umieranie. Co się dokładnie czuje, o czym się myśli i co jest potem. No a poza tym cholernie bym nie chciał, żeby moje ciało się zmarnowało. Ponoć zwłoki wszystkich skazańców trafiają do akademii medycznej.

Oby tak było w moim przypadku.

Poza tym myślę, że z wielką przyjemnością moją egzekucję oglądałaby wielotysięczna publiczność. To przecież dobra rozrywka. Ludzie lubią patrzeć na śmierć, szczególnie kiedy mogą to usprawiedliwiać wyższymi pobudkami. Nie mam pojęcia, czy wicie, ale publicznych egzekucji zaniechano po powieszeniu jedenastu tak zwanych oprawców z obozu koncentracyjnego Stutthof. Oprawcy – to brzmi dumnie, prawda?

Czy jestem oprawcą? Gdybyście mnie tak postrzegali, chyba byłbym spełniony.

Ale do rzeczy. 4 lipca 1946 roku, czyli w dniu, na który wyznaczono egzekucję skazańców ze Stutthofu, zakłady pracy zarządziły dzień wolny. Robotnicy byli zwożeni bezpłatnymi autobusami na Stolzenberg, wtedy już

chyba zwany Wysoką Górą. Zrobiono z tego cholerny festyn. Przyszły dzieci, wycieczki szkolne, rodzice, dziadkowie, wszyscy. Ponoć ponad dwieście tysięcy ludzi.

Chleba i igrzysk? O nie. Wszyscy chcą chleba i doświadczenia śmierci.

Mimo że było upalnie, gęsty tłum niecierpliwie czekał na rozpoczęcie widowiska. Jeszcze raz mówię wam, świat jest jak kino.

Tuż po siedemnastej jedenaście ciężarówek przywiozło skazańców pod przygotowane wcześniej szafoty. Wyobraźcie to sobie. Każda ciężarówka to jeden skazany. Sześciu mężczyzn i pięć kobiet, nawet proporcje płci były idealnie wyważone. Co za precyzja! Ale na tym nie koniec.

Na dumnie wyciągnięte szyje byłych obozowych nadzorców pętle zakładali ich byli obozowi podopieczni. Gdyby tego było mało, skazani ubrani zostali w obozowe pasiaki. Brakowało tylko, by przed całym wydarzeniem nakazano im solidne odchudzenie się. Wszystko musiało być dopieszczane i wymowne. Myślicie, że chodziło o żądzę zemsty? Przecież zemsta nie jest godna chrześcijanina czy żyda. Ale są chwile, kiedy każdy, jeśli tylko ma dobrą wymówkę, myśli o zabijaniu. Zastanówcie się. Co innego mogło nimi kierować?

Żeby było ciekawiej, cała jedenastka została przywiązana do krzeseł umieszczonych na odsłoniętych przedziałach ładunkowych ciężarówek. Wystarczyło założyć im stryczki, po czym kierowcy mieli ruszyć.

Odpowiedzialność się rozmywała. To zwykły mechanizm obronny przed dopuszczeniem do świadomości, że to, co kazano nam uznać za złe, piekielnie nam się podoba.

Na umówiony sygnał kierowcy uruchomili ciężarówki i powoli dodali gazu. Chociaż nie wszyscy. Jedna z maszyn się zepsuła, silnik rzęził i dopiero była więźniarka pomogła dawnej oprawczyni zlecieć z platformy. Z nieukrywaną satysfakcją.

To, co się wydarzyło później, przeszło do legendy. Tysiące ludzi przerwało milicyjne kordony i dopadło do trupów. Zachowywali się jak oszaleli. Z powieszonych zdzierano odzież, bito ich, szydzono z nich. Główną atrakcją stały się stryczki, bo według zabobonów sznur z szyi skazańca ma przynosić szczęście.

Czy te bydlaki naprawdę nie nadawały się do Stutthofu?

W każdym razie ich zbiorowy amok pozbawił mnie szansy zakończenia

życia przed szerszą publicznością. Mój film jest niskobudżetowy, a na widowni zasiądą pojedyncze osoby. Do tego część z nich zostanie sprowadzona przymusowo albo za opłatą. Biletu z pewnością nikt nie wykupi. I nie będzie uroczej Jadzi, która mogłaby skierować największych urwisów prosto do...

– Obywatelu Cyppek...

Nawet nie zauważyłem, kiedy otworzyły się drzwi celi. Szczyłowaty milicjant spogląda na mnie chmurnym wzrokiem. Uśmiecham się pokrzepiająco i zwlekam z pryczy.

– Już idę – oznajmiam. – Bez zbędnej zwłoki.

Nie mam pojęcia, czy rozumie mój żart.

\* \* \*

Wyrok na Józefie Cyppku wykonano 3 listopada 1952 roku o godzinie 17:45. Skazany do końca nie okazał skruchy.

## **NOTATKA POLITYCZNA Z MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO**

**Zarządza się utajnienie wyników przeszukania jezior Rusałka i Dąbie. Odnalezione fragmenty zwłok jedenastu osób najprawdopodobniej związane są z działalnością ob. Józefa Cypka skazanego w dniu 15 września 1952 r. na karę śmierci za zabójstwo ob. Ireny Jarosz. Wyrok wykonano. Mając na celu ochronę porządku publicznego przed rozbudzeniem niepokojów społecznych, szczególnie na tle narodowościowym (ob. Cyppek związany był z mniejszością niemiecką), podczas gdy prawdopodobieństwo jego sprawstwa ociera się o pewność, zarządza się jak na wstępie.**

\* \* \*

Szczałki Józefa Cypka spoczęły na szczecińskim Cmentarzu Centralnym w niepozornym grobie numer pięć, rzędzie ósmym kwatery jedenastej. Przez wiele lat po pochówku ktoś tam przychodził, opiekował się nim i regularnie zapalał znicze. Nic nie wiadomo, by fragmenty jego ciała trafiły do Akademii Medycznej.

\* \* \*

Kino Młoda Gwardia powróciło do dawnej nazwy, Polonia, jeszcze w latach pięćdziesiątych. Trzy dekady później częściowo zawało się przez wykopy, które prowadzono pod fundamenty wznoszonego w pobliżu wieżowca. Pozostała jedynie część, w której mieściła się kasa biletowa.

\* \* \*

Mieszkanie, w którym mieszkał Rzeźnik z Niebuszewa, do dziś stoi puste. W 1991 roku ulicę Rewolucji Październikowej przemianowano na Niemierzyńską.

\* \* \*

Losy bileterki Jadwigi pozostają nieznane. Przypuszcza się, że padła ofiarą Cyppka. Mimo licznych zeznań oraz logicznych powiązań nie udowodniono jej współwiny w jego działalności.

\* \* \*

Fragmentów ciała odnalezionego w pociągu relacji Szczecin–Poznań nigdy nie zidentyfikowano. Podobnie jak wielu innych wyłowionych z jezior Rusałka i Dąbie.

\* \* \*

Według wspomnień bywalców bazaru handlarzka Johanna zniknęła wkrótce po aresztowaniu Cyppka. Nie wiadomo, jak wiele osób zakupiło sprzedawane przez nią wyroby z ludzkiego mięsa.

--=Fade to black=--

# SPIS TREŚCI

[Okładka](#)

[Karta tytułowa](#)

[Dedykacja](#)

[Cytat](#)

[SŁOWO OD AUTORA](#)

[Z NOTATKI MILICYJNEJ](#)

[PONIEDZIAŁEK, 3 LISTOPADA 1952 R., GODZINA: 17:19, ARESZT ŚLED CZY W SZCZECINIE,  
UL. KASZUBSKA 28 \(DAWNIEJ: ELISABETHSTRASSE\)](#)

[WTOREK, 22 STYCZNIA 1952 R. GODZINA: 8:31, LINIA KOLEJOWA NR 351, TRASA  
SZCZECIN-POZNAŃ](#)

[CZWARTEK, 18 STYCZNIA 1945 R., GODZINA: 19:58, OŁAWA \(A WŁAŚCIWIE JESZCZE  
OHLAU\)](#)

[PIĘĆ, MOŻE SZEŚĆ GODZIN PÓŹNIEJ, W TYM SAMYM MIEJSCU](#)

[PONIEDZIAŁEK, 11 CZERWCA 1945 R. , GODZINA: 11:02 , STETTIN \(JUŻ ZA ROK: SZCZECIN\)](#)

[CZWARTEK, 8 LISTOPADA 1951 R. , GODZINA: 9:51 , ŻELECHOWA \(NIEM. ZÜLLCHOW\),  
OLEJARNIA ŻELECHOWSKA](#)

[PONIEDZIAŁEK, 11 CZERWCA 1945 R. , GODZINA: 14:31 , SIEDZIBA PREZYDIUM MIEJSKIEJ  
, RADY NARODOWEJ W SZCZECINIE , PL. FELIKSA DZIERŻYŃSKIEGO , \(OBECNIE: PL.  
ARMII KRAJOWEJ\)](#)

[PONIEDZIAŁEK, 11 CZERWCA 1945 R. , GODZINA: 11:55 , CIĄGLE JESZCZE STETTIN  
SZCZECIN](#)

[PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 10:08 , SĄD WOJEWÓDZKI W  
SZCZECINIE , UL. KASZUBSKA 42 , Z ZEZNAŃ JÓZEFA JAROSZA](#)

[SOBOTA, 9 MARCA 1946 R. , GODZINA: 17:01 , UL. WAWRZYNIAKA](#)

[PRZED WIELU LATY , OPPELN](#)

[PIĄTEK, 1 WRZEŚNIA 1939 R. , OPPELN](#)

[NIEDZIELA, 9 WRZEŚNIA 1939 R. , OPPELN](#)

[PONIEDZIAŁEK, 22 WRZEŚNIA 1941 R. , ROSJA](#)

[PONIEDZIAŁEK, 8 GRUDNIA 1941 R. , ROSJA](#)

[ŚRODA, 22 KWIEŃNIA 1942 R. , ROSJA](#)

[PONIEDZIAŁEK, 30 LISTOPADA 1942 R. , ROSJA](#)

CZWARTEK, 11 MARCA 1943 R. , W POLU , M. WAGNER, MAJOR I DOWÓDCA DYWIZJONU ,  
NUMER POCZTY POLOWEJ 26 701B

PONIEDZIAŁEK, 18 GRUDNIA 1944 R. , GODZINA: 12:17 , HOTEL HUCH , OPPELN  
PIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ

PIĄTEK, 31 SIERPNI 1951 R. , GODZINA: 11:41 , SZCZECIN NIEBUSZEWO  
ŚRODA, 2 PAŹDZIERNIKA 1946 R. , GODZINA: 5:27 , SZCZECIN NIEBUSZEWO  
CZWARTEK, 2 STYCZNIA 1947 R. , SZCZECIN

SOBOTA, 8 MARCA 1947 R. , GODZINA: 21:19 , UL. WILSONA 7/3

PONIEDZIAŁEK WIELKANOCNY , 7 KWIETNIA 1947 R. , GODZINA: 10:27 , UL. WILSONA 7/3  
17 STYCZNIA 1945 R. , GODZINA: 16:58 , OPPELN

WTOREK, 22 KWIETNIA 1947 R. , GODZINA: 19:02 , UL. WILSONA 7/3

NASTĘPNE 11 DNI

PONIEDZIAŁEK, 5 MAJA 1947 R. , GODZINA: 18:21 , UL. WILSONA 7/3

TRZY GODZINY PÓŹNIEJ

SOBOTA, 4 WRZEŚNIA 1948 R. , GODZINA: 18:12 , UL. ŻŁOTOWSKA 11

PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 9:37 , SĄD WOJEWÓDZKI W SZCZECINIE  
, UL. KASZUBSKA 42 , Z ZEZNAŃ ZOFII SZEPTUCKIEJ

CZWARTEK, 9 WRZEŚNIA 1948 R. , GODZINA: 10:27 , UL. WILSONA 7/3

DZIEWIĘĆ GODZIN PÓŹNIEJ

KOLEJNE MIESIĄCE

NIEDZIELA, 2 STYCZNIA 1949 R. , GODZINA: 17:31 , UL. TARCZYŃSKIEGO 1

POCZĄTEK

CZWARTEK, 17 SIERPNI 1916 R. , GODZINA: 11:07 , OKOPY

NADAL NA FRONCIE

PIĄTEK, 2 LUTEGO 1917 R. , GODZINA: 7:41 , NADAL W OKOPACH  
GODZINĘ PÓŹNIEJ

SOBOTA, 10 GRUDNIA 1949 R. , GODZINA: 17:31 , UL. WILSONA 7/3

CZTERDZIEŚCI MINUT PÓŹNIEJ , MAGAZYNY DZISIEJSZEJ WYŻSZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ  
(PODCZAS WOJNY: SKŁAD FARMACEUTYCZNY) , UL. SŁOWACKIEGO

NIEDZIELA, 11 GRUDNIA 1949 R. , GODZINA: 12:17 , UL. WILSONA 7/3

PONIEDZIAŁEK, 12 GRUDNIA 1949 R. , GODZINA: 7:09 , BAZAR PRZY UL. CEGIELSKIEGO

PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 10:21 , SĄD WOJEWÓDZKI W  
SZCZECINIE , UL. KASZUBSKA 42 , Z ZEZNAŃ JÓZEFA JAROSZA ,  
POCZĄTEK STYCZNIA 1919 R.

KOLEJNE TRZY MIESIĄCE

CZWARTEK, 13 KWIETNIA 1950 R. , GODZINA: 17:21 , UL. JAGIEŁŁY

DWIE GODZINY PÓŹNIEJ , MAGAZYNY DZISIEJSZEJ WYŻSZEJ SZKOŁY ROLNICZEJ  
(PODCZAS WOJNY: SKŁAD FARMACEUTYCZNY) , UL. SŁOWACKIEGO

KOLEJNE MIESIĄCE

[PIĄTEK, 9 LUTEGO 1951 R. , GODZINA: 15:38 , UL. WILSONA 7/3](#)

[6 GODZIN PÓŹNIEJ , POD KINEM MŁODA GWARDIA](#)

[JESIEŃ 1951 R.](#)

[11 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 23:11 , KOMISARIAT MILICJI PRZY AL. JEDNOŚCI  
NARODOWEJ 37 \(OBECNIE: AL. JANA PAWŁA II\)](#)

[21 STYCZNIA 1952 R. , GODZINA: 17:24 , KINO MŁODA GWARDIA , UL. WILSONA 28](#)

[SOBOTA, 20 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 10:18 , ARESZT ŚLED CZY W SZCZECINIE , UL.  
KASZUBSKA 28 \(DAWNIEJ: ELISABETHSTRASSE\)](#)

[CZWARTEK, 11 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 14:34 , UL. WILSONA 7/3 \(PRZEMIANOWANA  
WŁAŚNIE NA UL. REWOLUCJI PAŹDZIERNIKOWEJ\)](#)

[PONIEDZIAŁEK, 15 WRZEŚNIA 1952 R. , GODZINA: 10:51 , SĄD WOJEWÓDZKI W  
SZCZECINIE , UL. KASZUBSKA 42](#)

[NIEDZIELA, 2 LISTOPADA 1952 R. , GODZINA: 19:04 , ARESZT ŚLED CZY W SZCZECINIE , UL.  
KASZUBSKA 28 \(DAWNIEJ: ELISABETHSTRASSE\)](#)

[PONIEDZIAŁEK, 3 LISTOPADA 1952 R. , GODZINA: 17:21 , ARESZT ŚLED CZY W SZCZECINIE  
, UL. KASZUBSKA 28 \(DAWNIEJ: ELISABETHSTRASSE\)](#)

[NOTATKA POLITYCZNA Z MINISTERSTWA BEZPIECZEŃSTWA PUBLICZNEGO](#)

[Karta redakcyjna](#)



Copyright © by Max Czornyj, 2019  
Copyright © by Wydawnictwo FILIA, 2019

Wszelkie prawa zastrzeżone

Żaden z fragmentów tej książki nie może być publikowany w jakiegokolwiek formie bez wcześniejszej pisemnej zgody Wydawcy. Dotyczy to także fotokopii i mikrofilmów oraz rozpowszechniania za pośrednictwem nośników elektronicznych.

Wydanie I, Poznań 2019

Zdjęcia na okładce: © Hayden Verry/Arcangel

Redakcja: Agnieszka Zygmunt/Słowne Babki  
Korekta: Lena Marciniak-Cąkała/Słowne Babki  
Skład i łamanie: TYPO Marek Ugorowski

Konwersja publikacji do wersji elektronicznej:  
„DARKHART”  
Dariusz Nowacki  
darkhart@wp.pl

eISBN: 978-83-8075-873-5

# FILIA

Seria: FILIA Mroczna Strona  
mrocznastrona.pl

Wydawnictwo Filia  
ul. Kleeberga 2  
61-615 Poznań  
wydawnictwofilia.pl  
kontakt@wydawnictwofilia.pl